ROZMOWA „DO RZECZY”

Platforma przypomina dziś „Titanica” – wyrokuje Patryk Jaki

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 28/637 7–13 LIPCA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Semka o dwóch konfliktach targających polskim Kościołem

„Nie” dla powrotu do ekshumacji w Jedwabnem

OŚMIESZENI

NA WŁASNE ŻYCZENIE

Upadek autorytetów prawniczych

Od lewej: Andrzej Zoll, Małgorzata Gersdorf i Marek Safjan

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
28 >
9 772299 850000

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ABP FULTON J. SHEEN: „DEKLARACJA PODLEGŁOŚCI" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~933~~ ZŁ

465,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 468 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ad30e406bf

Platforma ma twarz Giertycha

PAWEŁ LISICKI

Trzeba przyznać, że nie doceniłem polityków PO. Chyba żadna inna partia tak szybko, wyłącznie wskutek głupoty własnych przywódców, nie była w stanie tracić poparcia politycznego. A tu proszę. Myślałem, że tuskowy gang Olsena nic nie potrafi i niczym mnie nie zaskoczy, a jednak się myliłem. Dzięki kolejnym szarżom a to samego premiera Donalda Tuska, a to jego najbardziej zaufanych, przybocznych aktywistów, Adama Bodnara i Romana Giertycha, Platformie udało się zbić poparcie dla siebie do poziomu 25 proc. Najpierw ekipa Tuska przegrała wybory prezydenckie, a następnie poszła za ciosem i postanowiła dokonać spektakularnego seppuku.

Nie wiem, kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby podważać wyniki wyborów prezydenckich i nie dopuścić do zaprzysiężenia na prezydenta Karola Nawrockiego. Czy był to efekt chwilowej frustracji? Czy niezbyt przemyślany plan? Początkowo sądziłem, że chodzi o trzy cele.

Pierwszy, banalny, ma charakter kompensacyjny. Działacze i aktywiści PO nie potrafili przyznać się do porażki i dlatego potrzebowali opowieści, która dałaby im poczucie wygranej. Przekaz o sfałszowanych przez PiS wyborach miał służyć zachowaniu poczucia godności własnej. „Nie, nie pomyliliśmy się, po prostu zostaliśmy oszukani" – tak działa klasyczny mechanizm kompensacyjny.

Po drugie, nie da się ukryć, że pojawienie się spisku chroni przed rozliczeniami. Nie trzeba się zastanawiać i badać własnych błędów i wpadek: Dlaczego Rafał Trzaskowski był nieprzygotowany do debat? Dlaczego nie miał jasnego przekazu? Dlaczego miotał się i dlaczego w ostatnim okresie kampanii pojawił się w niej robiący wrażenie niezrównoważonego Donald Tusk? Nie, to wszystko nieznaczące drobiazgi, skoro i tak był SPISEK. Z mrocznymi siłami zła wygrać nie sposób, one są zawsze potężniejsze. Narracja spiskowa pozwalała skutecznie uciec przed odpowiedzialnością, co jest zresztą cechą charakterystyczną niedojrzałych polityków.

Wreszcie był i cel trzeci: im częściej będzie się powątpiewać i podważać zwycięstwo Karola Nawrockiego, tym bardziej i skuteczniej ogranicza się jego przyszłe możliwości polityczne.

Wszystkie te cele były na swój sposób racjonalne i dobrze opisywały sposób myślenia liderów PO. Nie podejrzewałem ich przecież o to, by kierowali się czy to racją stanu, czy troską o interes publiczny, co musiałoby ich prowadzić po prostu do uznania zwycięstwa byłego szefa IPN. Nie, co to, to nie! Jednak nawet przyjmując, że kierowali się ciasnym egoizmem, łatwo zauważyć, iż opowieść o sfałszowaniu wyborów niespodzianie wymknęła im się spod kontroli.

Nagle, po kolejnych wypowiedziach czy to samego premiera, czy jego totumfackich, można było sądzić, że oni nie tylko udają, że wierzą w sfałszowane wybory, lecz także naprawdę w nie wierzą. Nagle Roman Giertych wykrył spisek rodaków – kamratów, grupki dość tajemniczej i marginalnej. Nagle minister Bodnar wysłał do Sądu Najwyższego prokuratorów. Nagle propagandowe zaplecze PO, czyli m.in. „Gazeta Wyborcza", zaczęło promować dość niedowarzone analizy bliżej nieznanego dr. Kontka, z których to miało wynikać, że Rafałowi Trzaskowskiemu ukradziono… kilkaset tysięcy głosów. Nagle pojawił się pomysł, żeby marszałek Sejmu, tj. Szymon Hołownia, nie przyjął przysięgi od Karola Nawrockiego i zamiast tego sam ogłosił się głową państwa. Nagle przed Sądem Najwyższym pojawiły się prorządowe bojówki na czele z aktywistką Martą Lempart. Nagle obecny na wtorkowym posiedzeniu SN prokurator generalny Adam Bodnar zażądał wyłączenia wszystkich sędziów orzekających w Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, a także skierowania sprawy ważności wyborów do Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych SN. Wniosek ten, co oczywiste, został odrzucony.

Nie da się nie zauważyć, że rzecznikiem tych coraz bardziej absurdalnych koncepcji unieważnienia wyborów prezydenckich stał się Roman Giertych, który to wyrósł z dnia na dzień na najważniejszego polityka obozu rządzącego. Niemal w tym samym czasie, kiedy to znany mecenas prowadził swoją coraz bardziej szaloną krucjatę, ukazało się uzasadnienie umorzenia prokuratorskiego śledztwa przeciw niemu w związku z zarzutami wyprowadzenia pieniędzy z Polnordu. Nie trzeba być wybitnym znawcą prawa, by zauważyć, że tak uzasadnienie, jak inne ujawnione materiały sugerują, że sprawie najzwyczajniej ukręcono łeb i że zrobiono to na polityczne zlecenie zapewne ministra Bodnara.

Wniosek nasuwa się sam: w całej historii o sfałszowanych wyborach chodzi o to, by mecenas Giertych zapewnił sobie odpowiednią polisę ubezpieczeniową. PO stała się instrumentem gwarantującym świeżo upieczonemu członkowi partii bezkarność. Operacja „sfałszowane wybory" stała się w rękach Platformy wybuchającym w rękach granatem. To, co miało być niegroźną gadaniną, przekształciło się w nieudolny zamach stanu mający przykryć interesy pana mecenasa.

Morał z całej historii jest jasny: czeka nas szybki i dramatyczny spadek notowań obozu rządzącego. ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRAWO SZURIATU
Rokosz prawników: obłuda czy obłęd?

20 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
WSZYSTKIE STRACHY GIERTYCHA

KRAJ

24 ŁUKASZ WARZECHA
KACZYŃSKI: BYLIŚMY DOSKONALI
W Przysusze bez zmian

27 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM
PO CO NAM POLSKA?

30 KRYSTIAN KRATIUK
NIE ZMARNOWAĆ KATOLICKIEGO MANDATU

33 PIOTR SEMKA
DWA KONFLIKTY Z EPISKOPATEM W TLE

36 MARIUSZ JAGÓRA
WYSTĄPIĆ Z WHO

40 RADOSŁAW WOJTAS
POWRÓT NA POLE POSITION

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
ZBRODNICZY TOP 7
Rozrywka na wakacje

45 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ŻYDOŻERCA GERWAZY

46 JOANNA BOJAŃCZYK
BARBARA OD PEREŁ

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

52 MAREK KAMIŃSKI
NIGDY WIĘCEJ EKSHUMACJI
Sprawa zbrodni w Jedwabnem

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ZACZADZENIE LIBERALIZMEM

HISTORIA

58 ROZMOWA Z PIOTREM KORCZYŃSKIM
KATASTROFA LEGIONÓW POLSKICH
Jak Napoleon wykorzystał naszych żołnierzy

ŚWIAT

62 WOJCIECH GOLONKA
KOMIWOJAŻER POKOJU
Sukces Donalda Trumpa na szczycie NATO

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAIŃSKI INSTYTUT PAMIĘCI NACJONALISTYCZNEJ

66 ROZMOWA Z PAWŁEM RAKOWSKIM
EUROPA JEST DLA IZRAELA WROGIM TERYTORIUM

68 JACEK PRZYBYLSKI
TO JUŻ JAWNE: Q WKRÓTCE AWANSUJE NA C

71 TERESA STYLIŃSKA
TĘCZOWA BAŃKA PĘKŁA

WAKACJE

74 CEZARY GMYZ
PORT KRAKÓW
Tratwą po Wiśle

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), GABRYEL, WARZECHA (55), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (61), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl ad30e406bf

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Radek Pietruszka, Tomasz Gzell, Jacek Bednarczyk/PAP**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Doskonały symbol

Droga Redakcjo,
użycie wielkiego głazu, który ma symbolizować pomięć Niemców o tym, co 80 lat temu uczynili Polakom, jest dla nas wołającą o pomstę do nieba kpiną. To rzeczywiście doskonale symbolizuje to, co odczuwają, i to, jak chcą to odczucie przedstawić. Od wieków zimny, bezkształtny głaz jest we wszystkich kulturach symbolem niewzruszonego chłodu, braku jakiejkolwiek emocjonalnej reakcji.

Ryszard Jankiewicz

Świecka tradycja

Kiedyś się mówiło o sezonie ogórkowym, dziś w lecie pewniejszy niż ogórki jest w lewicowo-liberalnych polskojęzycznych mediach temat koszmaru, jakim są wakacje z dziećmi. Niezawodny „Newsweek" niedawno o tym pisał, a mnie bardziej niż artykuł (który rok w rok jest przecież z grubsza o tym samym) zainteresowały komentarze na portalach społecznościowych pod tym materiałem.

Tępa propaganda antyrodzinna, antyrodzicielska, antymacierzyńska i antyojcowska już na Polaków nie działa. Ludzie są nią oburzeni, głośno przeciw niej protestują. Przeczytałem w tych komentarzach wiele ciepłych, wzruszających, zabawnych historii o rodzinnych wakacjach i w żadnej z nich nie było mowy o koszmarze. Owszem, wakacje z dwojgiem, trojgiem czy większą gromadką dzieci nie są takie, jak wakacje bezdzietnej pary czy młodego singla. Nawet jeśli fizycznie czasem odpocząć na nich trudniej, to nie zamieniłbym ich za nic. Każde wakacje z dziećmi to radość. Cieszcie się z nich, rodzice, bo przyjdzie taki dzień, gdy wasi nastolatkowie powiedzą wam: „W tym roku to ja pojadę ze znajomymi, jedźcie sami". I wtedy będzie wam dopiero smutno. Wiem, bo sam to przeżyłem. Ale na pocieszenie powiem: to był u nas etap przejściowy. Teraz przynajmniej jeden wakacyjny wyjazd w roku mamy wspólny: my, dzieci i wnuki.

A co do propagandy. Przegrzeją jak zawsze, jak z Nawrockim. Tylko od tego do większej dzietności jeszcze kawałek.

Z pozdrowieniami
Tadeusz Król

Prezydent i neoprezydent

Szanowni Państwo,
w związku z obecną atmosferą wokół wyborów prezydenckich i liczenia głosów oraz błyskotliwą aktywnością pana Giertycha, zmierzającą do podważenia wyniku wyborczego, nieuchronnie nasuwa się jeden wniosek.

Wiadomo bowiem, że co najmniej od katastrofy smoleńskiej Polacy są podzieleni niemal na dwie równe części. Z powodu nieuznania wyboru pana Nawrockiego wpadną w ekstazę zwolennicy pana Trzaskowskiego i odwrotnie.

Tak więc, aby nie zawieść obu grup, należy stworzyć dwa urzędy prezydenckie. Skoro istnieją sądy i neosądy, sędziowie i neosędziowie itp., to nie ma powodu, by nie mógł istnieć urząd prezydenta i neoprezydenta.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

eprasa.pl ad30e406bf

NA PIERWSZY OGIEŃ

Oszczędne odmładzanie PiS

PIOTR SEMKA

Prezes Jarosław Kaczyński najwyraźniej polubił Przysuchę – małe miasteczko na południowym skraju Mazowsza. 28 czerwca odbył się tu kolejny kongres PiS. „Musimy wygrać kolejne wybory" – podkreślał z trybuny kongresowej Jarosław Kaczyński. „Bardzo przestrzegam przed tym myśleniem, że mamy 30 proc., razem z Konfederacją to już większość 282 głosy i to wystarczy. Nie, proszę państwa, żadne 30 proc. Musimy dążyć do 40 proc. i więcej". Te słowa można rozumieć tak: PiS powinien zrobić wszystko, aby zdobyć samodzielną większość. Taką, aby nie był sparaliżowany żądaniami głównego kandydata na koalicjanta w postaci partii Sławomira Mentzena. Kaczyński wolałby rządzić sam, co najwyżej doprosić konfederatów do większości sejmowej, która umożliwiłaby zmiany w konstytucji.

Cel ambitny, tylko że PiS w sondażach od dwóch lat nie przekracza ok. 30 proc. Coś więc trzeba zmienić. Co? Politycy głównej partii opozycyjnej, pytani przez dziennikarzy o to, co kongres zmienił, wskazywali na wybraną nową grupę wiceprezesów partii. Owszem, Tobiasz Bocheński ma 37 lat, Anna Krupka 43 lata, a Przemysław Czarnek 48 lat, ale już kolejny nowo wybrany wiceprezes – Zbigniew Ziobro – skończy niebawem 55 lat. Co warto podkreślić, owych czworo nowo wybranych prezesów dołącza do działającego już grona siedmiu wiceprezesów, a w tym poszerzonym gronie na 11 osób aż dziewięć ma między 55 a 80 lat.

Jarosław Kaczyński nie może zdobyć się na radykalne odmłodzenie kierowniczych organów partii. Czterdziestolatkom wciąż trudno wejść na partyjne szczyty. Kpiny z PiS-owskiej gerontokracji nadal będą jedynym sposobem na rozładowanie frustracji młodszych posłów. Konfederacja znacząco odmłodziła wszystkie swoje struktury. Nadaje to tej partii bardzo wyraźny dynamizm. A PiS bez próby pościgania się z partią Mentzena w zdobywaniu głosów młodszego elektoratu nie ma co myśleć o zdobyciu ponad 40 proc.

Dalej nikt w PiS nie wie, kto będzie ich kandydatem na premiera w kampanii 2027 r. Zacznie się ona już za nieco ponad rok. Do funkcji tej wciąż aspiruje Mateusz Morawiecki. Inna część partii myśli w tym kontekście o Przemysławie Czarnku. A prezes waha się wciąż między jednym a drugim. Politycznie ideowo bliższy jest Kaczyńskiemu Morawiecki. Czarnek jest dla prezesa wciąż zbyt endecki. Problem na pewien czas zostanie zawieszony, jeśli sprawdzą się plotki, że Czarnek otrzyma funkcję szefa Kancelarii Prezydenta Karola Nawrockiego. Jeśli tak, to są dwie możliwości. Albo Czarnek zostanie z nowym prezydentem na dłużej, albo po roku porzuci kancelarię i zajmie się kampanią PiS. Ale wtedy zapewne będzie chciał, aby już w kampanii był przedstawiany jako nowy premier.

Kongres PiS w Przysusze odbywał się w dobrych nastrojach wskutek impulsu, który dostała cała prawa strona w wyniku wygranej Karola Nawrockiego. Jednak wybory prezydenckie były łatwiejsze dla PiS, bo jej kandydata poparła duża część Konfederacji i wyborców Grzegorza Brauna. W wyborach do Sejmu będzie znacznie trudniej. ©℗

MONIKA MAŁKOWSKA ODZNACZONA PRZEZ PREZYDENTA

Podczas uroczystości w Rezydencji Belweder publicystka „Do Rzeczy" Monika Małkowska została odznaczona przez prezydenta RP Złotym Krzyżem Zasługi. Aktu dekoracji w imieniu prezydenta Andrzeja Dudy dokonał pod koniec czerwca minister Andrzej Dera. ***(jap)*** ©℗

FOT. GRZEGORZ SOWULA

PROF. SŁAWOMIR CENCKIEWICZ SZEFEM BBN

Nowym szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego będzie prof. Sławomir Cenckiewicz, wybitny intelektualista, akademik, dyrektor Wojskowego Biura Historycznego, autor wielu książek z zakresu działania komunistycznych, sowieckich służb specjalnych – zapowiedział prezydent elekt Karol Nawrocki. Zastępcami szefa BBN mają być gen. Andrzej Kowalski oraz gen. Mirosław Bryś. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl ad30e406bf

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Znowu lipiec

Minister Siemoniak, odpowiedzialny za sytuację na zachodniej granicy, po weekendzie wypełnionym informacjami o masowym podrzucaniu Polsce przez Niemców nielegalnych migrantów przy współpracy, w najlepszym radzie bierności podległej mu Straży Granicznej, postanowił wyjaśnić, jak jest. Sytuacja na granicy jest stabilna – oznajmił – a pewne drobne incydenty zostały propagandowo wyolbrzymione przez Konfederację, żeby medialnie przykryć kongres PiS.

Tak. Długo obracałem tę konstrukcję myślową pod czaszką, nie mogąc się nadziwić. To już nie PiS stoi za wszystkim, co się rządowi i PO nie podoba, tylko Konfederacja? Pamiętam, jak swego czasu właśnie na Konfederację jako na najgorsze w Polsce zło wskazała sama „nadkomisarz" von der Leyen. Partia rośnie w siłę, rośnie kosztem PO i jej „przystawek", to zachęca do ataków na nią. Ale w jaki sposób akurat Konfederacja mogła nagłośnić temat, skoro – w przeciwieństwie do PO i PiS – nie ma swoich mediów? Robert Bąkiewicz, który istotnie na granicy się bardzo zasłużył, owszem, otwierał kiedyś Marsze Niepodległości, ale dawno już się z narodowcami rozstał, w atmosferze, delikatnie mówiąc, wzajemnego niezadowolenia – minister spraw wewnętrznych powinien takie rzeczy wiedzieć. Najbardziej absurdalne jest jednak stwierdzenie o „przykryciu" kongresu PiS, gdzie nie działo się literalnie nic, bo ponowny wybór Jarosława Kaczyńskiego na prezesa trudno uznać za wielki news.

Widać, że w PO postępuje proces zanikania rozumu. Teorie spiskowe, zaprzeczanie faktom i samym sobie (jednego dnia kontrole na granicy są, drugiego – przywracamy je...) – wszystko to coś mi przypomina: zachowanie komunistów 45 lat temu, gdy Wolna Europa (ówczesny Internet, można rzec) zaczęła informować o pierwszych „nieplanowanych przerwach w pracy". Nie ma żadnych strajków, zmyślili je wrogowie, coś tam było, ale już spełniliśmy postulaty i nie ma co wracać… Żaden nie rozumiał, że to początek fali, która rychło ich zatopi. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Realny uniwersalizm

W poniedziałek 7 lipca po raz pierwszy będziemy w pełni obchodzić liturgiczne wspomnienie błogosławionej Rodziny Ulmów (rok temu wypadło w niedzielę).

Kult świętych jest aktem czci dla tych, którzy otrzymali szczególną Łaskę i potrafili ją w wolny sposób podjąć. Przede wszystkim jest zachwytem nad Mocą Boga objawiającą się w słabych ludziach. Aspekt pedagogiczny jest tu tylko „wartością dodaną".

Rok temu, zaraz po beatyfikacji, poseł Braun oświadczył natomiast w Sejmie, że na ich „przypadku […] nabudowano całkowicie fałszywą doktrynę etyczną, teologiczną i politologiczną", a „przedstawianie rodziny Ulmów jako wzorca osobowego dla naszych rodaków i przyszłych pokoleń" godzi wręcz w „zasady naszej cywilizacji".

Warto te stwierdzenia skonfrontować z „Sumą" św. Tomasza, z nauką tej Karty naszej cywilizacji właśnie, na temat porządku miłości i obowiązków stanu. Pierwszeństwo miłości najbliższych polega na tym, że o nich mamy się troszczyć codziennie. Oprócz obowiązków codziennych pojawiają się i inne, dyktowane przez nadzwyczajne okoliczności. To kryterium u św. Tomasza pojawia się często. To bowiem, „co stanowi o większej bliskości […], może ulegać zmianom zależnie od miejsca, czasu i spraw; w pewnych bowiem wypadkach bardziej należy pomóc obcemu, znajdującemu się w wielkiej potrzebie, niż własnemu ojcu, niebędącemu w tak wielkiej potrzebie" (II–II, 31,3). Ulmowie, którzy chcieli ratować, a nie narażać życie, zrealizowali tę naukę w sposób doskonały.

Do Markowej pojechaliśmy z Izą, moją żoną, parę tygodni po beatyfikacji, w zwykłą niedzielę. Proboszcz Sanktuarium prosił w ogłoszeniach, by samochody zostawiać na dużym parkingu za biblioteką publiczną, bo zewsząd przyjeżdżający pielgrzymi co niedzielę blokują wieś. Mówił też o relikwiach, o które proszą coraz to nowe parafie. To jest Polska. ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

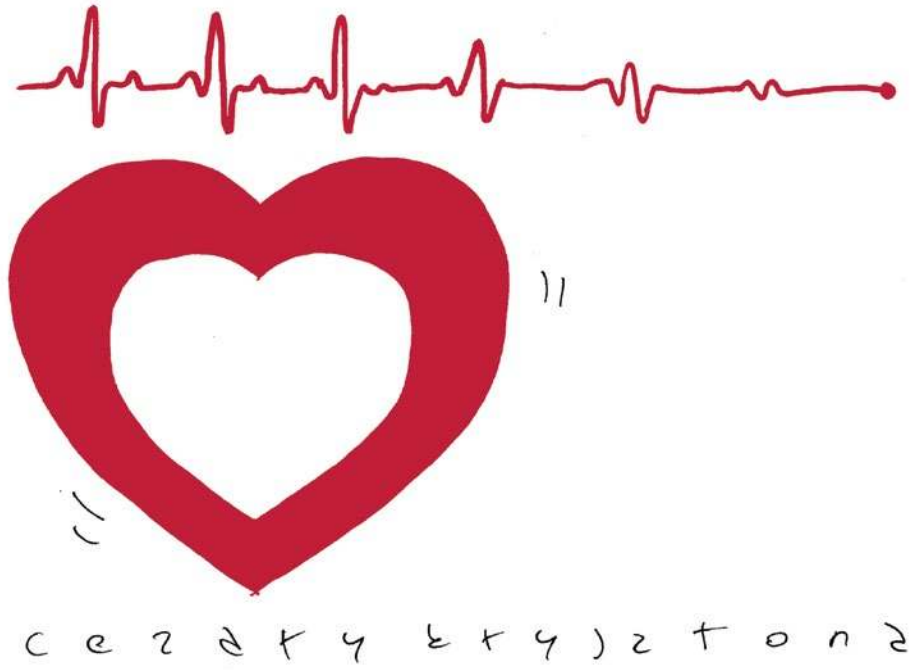

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O dwójmyśleniu

W Livorno w Toskanii od 81 lat rządzą superpostępowcy. Jak się właśnie po raz kolejny okazało, z wszelkimi konsekwencjami takiego stanu rzeczy. Władze miasta – koalicja lewicy „normalnej" z szajbolewicą – po raz drugi odrzuciły wniosek opozycji o poświęceniu jednej z ulic Orianie Fallaci, dziennikarce i pisarce światowej sławy.

Postępowcy tłumaczyli, że po pierwsze Fallaci nie miała żadnych związków z Livorno, co jest łgarstwem, bo część jej rodziny stamtąd właśnie pochodzi. Po drugie – i ważniejsze – wyjaśnili, że była postacią zbyt kontrowersyjną, dzielącą społeczeństwo.

Wydawałoby się, że skoro Fallaci ukończyła słynną antyislamską trylogię 20 lat temu, a rok później zmarła, to władze Livorno mogłyby pójść na ustępstwo. Tym bardziej że kasandryczne przepowiednie pisarki w sporej części się sprawdziły, a w Iranie, Afganistanie i Syrii dzieją się rzeczy straszne. Co więcej, Fallaci ma swoją ulicę w kilku włoskich miastach.

Niestety, jak niemal zawsze w przypadku włoskiej lewicy zwyciężyły zacietrzewienie i paraliżujące umysł zideologizowanie, a zwłaszcza wyzierająca ze sformułowania „zbyt kontrowersyjna" totalna niezdolność do akceptacji tego, że ktoś może bezkarnie myśleć inaczej.

Stąd przecież bierze się terror poprawności politycznej i kretyństwo ideologii „woke". Stąd, gdy ukazała się trylogia Fallaci, wyznający dogmaty lewicowej wiary sędziowie w Italii i Szwajcarii chcieli umierającą na raka pisarkę wsadzić za kratki. Inni porównywali jej trylogię do „Mein Kampf". Tuzy polskiej myśli postępowej też odsądzały Fallaci od czci i wiary. Nazwiska z litości zmilczę.

Co w tym kontekście arcyciekawe, włoskim postępowcom nigdy nie przeszkadzały, i do dziś nie przeszkadzają, nadal istniejące ulice Stalina (w Raffadali na Sycylii), Lenina, Związku Radzieckiego, Rewolucji Październikowej czy Josipa Broza-Tito. Domyślam się, że to osoby i wydarzenia niekontrowersyjne, zasługujące na pomnik.

Jak widać, dwójmyślenie na włoskiej lewicy ma się nadal znakomicie. Hipokryzja tudzież. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl ad30e406bf

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

MIŁOŚĆ W SIECI

Agnieszka Fitkau-Perepeczko lubi zaskakiwać. 83-latka jest aktywna w social mediach i chętnie rozmawia z mediami. Przy okazji niedawnej wizyty w Polsce (na co dzień mieszka w Australii) opowiedziała o relacjach z mężczyznami. – Wiekowo to musi być młodszy, bo nawet 70-latek to już dla mnie młodzieniec – przyznała na łamach „Świata Gwiazd". Żona Marka Perepeczki nie narzeka na brak powodzenia. – Piszą, przesyłają kasety mężczyźni, którzy mówią, że lubią dojrzałe kobiety. Ja w ogóle nie rozumiem, że można się umówić z kimś z Internetu. To nie dla mnie. Ja muszę widzieć materiał. To tak jak mięso na tatara. Ja muszę widzieć, bo uwielbiam tatara, z czego ja tego tatara zrobię. Ja go wtedy prześwietlę, zadam odpowiednie pytania i zobaczę, jak on reaguje na pewne rzeczy. Zobaczę, jaki on jest w takich bardziej zbliżeniowych kwestiach, ale nie całkowitych. Pójdziemy do teatru, ocieramy się o siebie, rozmawiamy. Zobaczę, jakie ma gierki, prawdy, nieprawdy. To są wszystko trudne rzeczy – podkreśla gwiazda, dodając, że „pchanie się do łóżka z byle kim to jest dla prymitywów". Fitkau-Perepeczko wspomniała młodego adoratora, który usilnie zabiegał o jej względy. – Był taki młody, który przysłał mi swój film, a ja posłałam ten film, żeby go obejrzał taki mój dobry znajomy, i on mówi: „No ładny chłopak. O co chodzi?". Ja mówię, że no tak, ale to jest jakieś dziwne, bo on mówi, że lubi kobiety tylko od pewnego progu wiekowego [...]. Ja poleciałam na Teneryfę z przyjaciółką i on parę razy dziennie mówił: „Kiedy wracasz?". A myśmy w ogóle nie widzieli się na oczy [...]. On mówił: „Ja będę bardziej precyzyjny, jak się spotkamy. Możemy się tylko spotkać i omówić". Ja mówię, że co mamy omawiać [...]. To w ogóle nie wchodzi w grę – podkreśla. Jak mówi, kobiety powinny uważać na internetowe znajomości. – Samotność i chęć bycia kochanym jest ponad wszystko. Jeszcze nad tym, niestety, jest naiwność kobiet [...]. Ludzie chcą wierzyć, ale ja jak nie mam tego „tatara" przed sobą i nie sprawdzę, to nie wchodzi w rachubę – podsumowała. To nie koniec. Okazuje się, że Fitkau miewa propozycje od tzw. swingersów. – Jak moi niektórzy znajomi uprawiają takie wspólne party, to mnie to w ogóle nie interesuje. Żadne swingowanie – oznajmiła twardo. Bardzo słusznie. Swoją wartość trzeba znać.

FOT. TOMASZ URBANEK/DOTYK/EAST NEWS

POCIESZAMY

Niemiłe wieści z uniwersum Edzi Górniak. W relacji na Instagramie diwa wyznała, że przeżywa ostatnio wyjątkowo trudny okres w życiu, pełen stresu, co negatywnie wpływa na jej wygląd. Wokalistka zwróciła się do fanów. – Gdybym wam pokazała, co ten miesiąc zrobił ze mną, ilość stresu, adrenaliny, niedospania, niedojedzenia, zmartwień, problemów, zmian, to byście mnie nie poznali – zaczęła. Górniak wyznała, że ma problem z zaakceptowaniem siebie. Przeróżne metody poprawienia wyglądu nie działają i w efekcie „nienawidzi patrzeć na siebie na ekranie". Chodzi przede wszystkim o sylwetkę. – Wiecie, co mnie jeszcze wkurza? Że już chyba sprawdziłam wszystkie diety i byłam taka surowa, taka restrykcyjna dla siebie i nic to nie daje. Jestem gruba, we wszystkim wyglądam grubo i już nienawidzę patrzeć na siebie na ekranie. Nienawidzę – żali się Edyta. Choć to rubryka humorystyczno-kpiarska, to całkiem na poważnie: jak się ma taki talent, to parę kilogramów na plusie nie robi różnicy. Serio!

PRZYKŁADY POCIĄGAJĄ

Tutaj też nie będzie kpiarstwa, bo idzie o sprawy naprawdę ważne. Modelka Dżoana Krupa nie wstydzi się wiary i – jak zapewnia w kolejnych wywiadach – chce wychować swoją córkę w duchu wartości. Okazuje się, że to kwestia rodzinna. W rozmowie z reporterem Pudelka opowiedziała historię jej mamy, która jako dziecko miała zobaczyć Jezusa. – Moja mama, jak była mała chyba – nie chcę skłamać, miała 11 albo 12 lat – nie chcę wyjść na jakąś taką wariatkę, ale z piątką dzieci widziała Jezusa w niebie. I mama zawsze nas wychowywała, żeby wierzyć, chodziliśmy do kościoła i nigdy nie czułam się, że muszę się bać na ten temat mówić – przyznała celebrytka. – Jestem otwarta, czy ktoś wierzy czy nie wierzy – czy jesteś dobrą osobą, to jest najważniejsze – podkreśliła, wskazując, że każdy ma inną historię i nie należy oceniać drugiego człowieka również przez pryzmat wiary i prywatnych wyborów. – Każdy przechodzi przez różne historie w życiu, pochodzi z różnych rodzin, nie każdy musi wierzyć, bo tego się nie uczą albo tego nie czują, albo nie wiedzą od rodziny. Ale wiesz, dla mnie jest najważniejsze, żeby ktoś miał dobre serce, żeby nie krzywdził innych – wyznała Krupa. Gwiazda pytana, czy byłaby gotowa na związek z niewierzącym partnerem, odparła: – Wiesz co, nie miałabym problemu, ale może bym chciała go w tym kierunku przekonać albo mu pokazać, albo wziąć go do kościoła. Nie miałam takiej osoby, która by nie wierzyła, to ciężko mi jest powiedzieć. Ale myślę, że jakby relacja była dobra i by był dobrym człowiekiem, to byłoby OK. ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, tydzień temu podzieliliśmy się z Wami naszymi wątpliwościami dotyczącymi misji kosmicznej z udziałem Polaka, a także sensu takiego wyjazdu w Kosmos, w sytuacji gdy jest to technologia przestarzała, iż eksplorujemy Kosmos od wielu, wielu lat.

A teraz dowiadujemy się, iż Sławosz zabrał na orbitę – uwaga, to hit – pierogi. Rozumiecie? Najbardziej „polskie" danie – to, z czym ten kraj jest najszerzej kojarzony za granicami tego kraju. My serio rozumiemy, iż kulinarnie to nie mamy się czym chwalić i daleko naszym rodzimym potrawom do sushi, ramenu, chakalaki, wegańskiego burrito czy nawet burgera z buraka.

Jednak zabranie pierogów w Kosmos to trochę obraza dla wszechświata. Nie sądzicie? To tak, jakby mając do wyboru wszystkie albumy świata, Sławosz zabrał kasetę disco polo kupioną na stadionie w latach 90. Albo gdyby miał do wyboru wszystkie możliwe książki, a zabrał jakąś tenkrajową prześną fantastykę. Przecież to obciach.

Nie mamy pomysłu na to, jakie danie w zamian za pierogi mógłby wziąć nasz dzielny astronauta, ale zastanawialiśmy się, co innego ten kraj dał światu, co nie przyniosłoby nam siary w chooy przed Kosmosem. No i tak myśleliśmy, myśleliśmy i niczego nie wymyśliliśmy. Ewentualnie ten list poparcia Frasyniuka, Wałęsy i innych dla Trzaskowskiego, który powstał przed drugą turą wyborów, iż to autografy najznamienitszych Polaków i autorytetów na jednym kawałku papieru, ale nie chcielibyśmy tego Rafałowi odbierać.

No a poza tym co? Czy w ostatnim czasie w tym kraju powstały jakieś dzieła wzmacniające praworządność, demokrację, które kontrybuowały w europejskim procesie rozwijania praw człowieka i obywatela? My sobie nie przypominamy, a więc w zasadzie nie było czego pokazywać Kosmosowi, te pierogi też można było sobie odpuścić.

Wogóle zauważcie, jak silne piętno odcisnęły pierogi na polskiej narodowej psychice, iż w ogóle ktoś uznał, że to będzie dobry pomysł, aby poleciały w Kosmos. I jaka tam w tle musiała być narodowa duma z polskiego pieroga – co tylko dowodzi, iż pierogi są fashystoffskie, jako że budzą ducha narodu i podnoszą morale.

Piękna to była walka, nie zapomnimy jej nigdy, niestety przegrana. Żyjemy jednak w kraju, który – jak napisał kiedyś wielki polskojęzyczny śląski pisarz – uwielbia „obnosić zbitą doopę na sztandarach", a zatem porażki są dla nas naturalne jak 35 442 płcie.

Chodzi of kors o tę straceńczą szarżę dotyczącą protestów wyborczych, kiedy to mieliśmy odrobinę nadziei, ale na koniec przyszedł neosędzia z neosądu i zaorał resztki naszej nadziei, szansę na demokratyzację życia publicznego, powtórne liczenie głosów i końcowy triumf demokracji.

Odkryliśmy w sobie przy okazji nieuświadomione wcześniej pokłady obywatelskiego zaangażowania w życie publiczne, które wykraczają poza akt elekcyjny. Dlatego z niecierpliwością czekamy na jakąś kolejną okazję do protestów, a może – kto wie? – na nowo rozhulamy Komitet Obrony Demokracji? To byłoby piękne zwieńczenie tego trudnego doświadczenia! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Czarny pas

No i co, Andrzej? Miesiąc ci został. I co dalej?
Pracuję nad tym, Przemku, pracuję. Tu jest lista, dokąd wysłałem aplikacje.

Ukrawtodor...
No to to bym akurat odradzał...
Międzynarodowa Federacja Filatelistyki?
Ty się na tym znasz?
Prezydentem jestem, na wszystkim się znam. Listy ze znaczkami z całego świata dostaję.

Światowy Związek Hodowców Królików... Ty hodowałeś kiedyś królika?
Nie, ale znam kogoś, kto zna kogoś, kto hodował.

Europejska Unia Judo.
Stamtąd mi odpisali.

Że co?
Że muszę najpierw zrobić czarny pas. Już trenuję. Wczoraj przerzuciłem Mastalerka. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Karol Nawrocki wystąpił wyłącznie na tle biało-czerwonych flag".

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI, *dziennikarz „Gazety Wyborczej", w TVP Info zarzucający prezydentowi elektowi, że podczas prezentacji przyszłego szefostwa Biura Bezpieczeństwa Narodowego nie było flag UE i NATO*

eprasa.pl ad30e406bf

dwaj panowie g

Karma is the bitch, jak mawiają nasi anglosascy frjendzi. Kierujemy tę maksymę ku koalicji 13 grudnia. Nie podobał się wam w Kancelarii Prezydenta Szrot? Dostaniecie Czarnka. Nie podobał się wam Soloch? Dostaniecie Cenckiewicza. Nie podobał wam się Szczerski? I tak dalej. Ekipa prezydenta Karola Tadeusza to nie będzie lekki upgrade ekipy prezydenta Andrzeja Sebastiana. Odblokowano nowy level gry, w dodatku w trybie „hard". Nie sądzimy, by rządząca koalicja była w stanie przejść tę grę.

Nikt nie pyta, my odpowiadamy: Dlaczego uważamy, że Sławomir Cenckiewicz to idealny szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, a Andrzej Kowalski to doskonały zastępca? Już tłumaczymy: np. Sławek wie wszystko o polskich ruskich agentach w Polsce. A Andrzej wie wszystko o ruskich ruskich agentach w Polsce. Mało?

Niektórzy nieśmiało zauważają, że drugim zastępcą Cenckiewicza w BBN będzie z kolei bliżej nieznany szerokiej opinii publicznej gen. Mirosław Bryś. Wyjaśniamy: to ukłon w kierunku Nowogrodzkiej, a dokładnie byłego szefa MON Mariusza Błaszczaka. Bryś uchodzi bowiem za jednego z ludzi Błaszczaka. Ale takiego najbardziej strawnego dla niebłaszczakowców.

Po wygranej Nawrockiego zrobił się prawdziwy ruch w służbach mundurowych i bezmundurowych. Otóż funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego Policji zgłaszają się do służby w CBA. I to nie zwracając uwagi na to, że przecież koalicja chce tę służbę zlikwidować. Jednak policjanci zdali sobie właśnie sprawę, że przy nowym prezydencie na likwidację nie ma szans. A emerytura wyższa o jedną trzecią piechotą nie chodzi. Dodajmy, że przyjmowani są z otwartymi rękoma, bo w CBA ostatnimi czasy nie było komu robić.

Natura próżni nie znosi. Skoro aktualnie pracujący uciekają do CBA, to trzeba się ratować, sięgając po dawne kadry. I tak oto nasz znajomy funkcjonariusz CBŚP, będący od kilku lat na zasłużonej emeryturze, dostał propozycję pilnego powrotu do służby. I to mimo tego, że ma opinię prawicowca. A może właśnie dlatego. Koledzy namawiają go ze wszystkich sił, bo rąk do pracy brak tak generalnie, a ludzi, którzy na policyjnej robocie się znają, brak jeszcze bardziej. A ten niewątpliwie się zna.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem nowy rzecznik rządu, Szłapka Kropka Adam, chodzi po mediach i opowiada, że na granicy z Niemcami jest kilkudziesięciu migrantów. Rozrzewniamy się. Młodniejemy. Przypomina nam się bowiem taki stary dowcip rysunkowy Mleczki, jeszcze z PRL. Oczywiście bez związku. Dwie panie oglądają telewizję i jedna mówi do drugiej: – Taki młody, taki ładny i tak pięknie kłamie.

Taka ciekawostka – miniony kongres PiS miał być wyzywający. To znaczy odbyć się wyzywająco, w sercu terytorium wroga, czyli w hali na warszawskim Ursynowie. Nawet dostaliśmy nieoficjalne zaproszenie. Ale w ostatniej chwili wygrała koncepcja, że Przysucha to lepsze miejsce. Zwłaszcza że pod Radom nie będzie się chciało przyjeżdżać żadnym antykaczystowskim demonstrantom. Kalkulacje były słuszne. Zresztą bądźmy szczerzy: antykaczystom nawet nie chciało się jakoś licznie stawić przed Sądem Najwyższym.

W pewnej warszawskiej knajpie nasze wiewiórki podsłuchały rozmowę dwóch platformersów wspominających wieczór wyborczy Rafała Trzaskowskiego. Otóż, jak się okazuje, jakieś pół godziny przed ogłoszeniem exit poll do sztabu Rafała zadzwonił szef jednej z grup badawczych przygotowujących ten sondaż. Poinformował, że przewaga kandydata PO nad kandydatem obywatelskim wynosi jeden punkt procentowy, a to wystarczająco dużo, by odtrąbić zwycięstwo. Dodał jednak, że nieznacznie obniży wynik Trzaskowskiego, by z grubsza rzecz biorąc, zgadzał się z tym, co poda konkurencyjna stacja. Zapewnił natomiast ze wszystkich sił, że wygrana jest pewna i można otwierać szampana. No i otworzyli.

eprasa.pl ad30e406bf

Panowie G. przypominają sobie, że w czasach, kiedy jeszcze pracowali w „Rzepie", odbyli rozmowę z pewnym szefem sondażowni. W porównaniu z innymi sondażowniami nie cenił się wysoko. Był też dość świeży na rynku. Kiedy jednak zaproponował, że może dostosować wyniki do oczekiwań zamawiających, panowie G. zastosowali słynną formułkę: „Skontaktujemy się z panem". Oczywiście nigdy się nie skontaktowali. Natomiast odkryli potem, że kilka mediów z tej propozycji skorzystało i rzeczywiście wyniki sondaży były zgodne z oczekiwaniami, choć przy kolejnych wyborach okazywało się, że nie są zgodne z rzeczywistością. Panowie G. takie firmy nazywają ośrodkami kształtowania opinii publicznej.

Ciekawe wieści z europarlamentu. Otóż pojawił się tam wniosek o wotum nieufności wobec Ursuli von der Leyen. Prawdziwy, a nie fakt prasowy, bo udało się pod nim zebrać wymagane 10 proc. głosów eurodepów. Wniosek jest pokazem jedności ponadnarodowej i narodowej. Ponadnarodowej, gdyż podpisali się posłowie trzech różnych prawicowych frakcji plus niezrzeszeni. A nawet jeden odważny z Europejskiej Partii Ludowej się znalazł. Jedność narodowa wyszła na jaw, gdy okazało się, że jest to chyba jedyna inicjatywa, pod którą podpisali się zarówno europosłowie PiS, jak i Ruchu Narodowego, Nowej Nadziei oraz osobiście Grzegorz Braun jako Korona. Ursulo, przejdziesz do historii jako Wielki Zjednoczyciel!

Dalej było bardzo zabawnie, gdyż – uwaga! – Włosi się wściekli. Ciocia Meloni nie wiedziała o tym, że wniosek jest szykowany. A nie chce denerwować cioci Ursuli, gdyż pogrążeni w tarapatach finansowych Włosi boją się, żeby ich Unia nie zaczęła dojeżdżać, wstrzymując pieniądze tak jak Polsce. Ludzie cioci Meloni zaczęli więc zakulisowo naciskać na europosłów EKR, by wycofali podpisy i uniemożliwili wniesienie wniosku. I nawet udało im się namówić czworo Polaków (z PiS, niestety). Ale jednocześnie innych chętnych przybywało tak szybko, że i tak udało się zebrać wymaganą liczbę podpisów. Włosi nie mają więc ani ciastka, ani pończoch, ani cnoty, ani rubelka – czy jak to tam było w tym przysłowiu.

Tymczasem eurodep Michał Dworczyk założył think tank. Oczywiście nie sam, choć my akurat uważamy, że sam też dałby sobie doskonale radę. Zrobił to z Jadwigą Emilewicz, zwaną niegdyś na Nowogrodzkiej „naszą Emilką". Think tank nie jest jednak polski, lecz międzynarodowy i ma się zajmować sprawami polityki wschodniej. W związku z tym w gronie zakładających znalazło się też bodaj ze dwóch byłych ukraińskich wicepremierów. Wspominamy o tym fakcie, by przypomnieć innym eurodepom, że mają środki, by robić coś więcej, niż tylko chodzić po korytarzach Brukseli i oburzać się na Tuska. Trzeba tylko chcieć. ©℗

REKLAMA

Zamów na **www.esprit.com.pl** lub pod numerem telefonu: **12 262 35 51**

eprasa.pl ad30e406bf

WALKĄ Z NIELEGALNĄ IMIGRACJĄ. KONTROLE NA GRANICACH

Od poniedziałku 7 lipca zostaną przywrócone kontrole na granicy z Niemcami i z Litwą. Celem decyzji rządu w Warszawie ma być zredukowanie niekontrolowanego przepływu migrantów.

W czwartek 3 lipca Komendant Główny Straży Granicznej gen. dyw. SG Robert Bagan rozmawiał z prezydentem Prezydium Policji Federalnej Niemiec dr. Dieterem Romannem na temat incydentu, do którego doszło w nocy 3 lipca na granicy polsko-niemieckiej w Gubinie. Jak zauważyła w komunikacie Straż Graniczna, „niemiecka Policja nie czekając na przybycie patrolu polskiej Straży Granicznej, pozostawiła na granicy obywatela Afganistanu". Komendant Główny Straży Granicznej zaznaczył, że „takie działania służb niemieckich są niedopuszczalne i niezgodne z naszymi wcześniejszymi ustaleniami".

Zarówno na wspomniany incydent, jak i na skalę problemu nielegalnych przerzutów zwrócili uwagę wolontariusze Ruchu Obrony Granic. Członkowie ROG zaczęli organizować na granicy patrole obywatelskie, aby przeciwdziałać wwożeniu na teren Polski imigrantów z Afryki i krajów Bliskiego Wschodu. Ich działania spotkały się jednak z krytyką obecnych polskich władz, w tym premiera Donalda Tuska. Osobom, które zaangażowały się w obronę polskich granic, podziękowali z kolei prezydent Andrzej Duda. Również prezydent elekt Karol Nawrocki podziękował Robertowi Bąkiewiczowi za powołanie Ruchu Obrony Granic. – Bardzo mi przykro, że państwo polskie przez wiele miesięcy nie radziło sobie z kryzysem na granicy. Nie radziło sobie w ten sposób, że Niemcy podrzucali Polsce nielegalnych migrantów, reagowali na to obywatele państwa polskiego i za to im dziękuję – oznajmił Karol Nawrocki.

Władze Niemiec przywróciły kontrole na swoich granicach 16 października 2023 r. I wciąż przedłużają obowiązywanie kontroli. ***(jap)*** © ℗

FOT. MICHAŁ NIEDZIELSKI/FORUM

oprasa.pl ad30e406bf

Rafał A. Ziemkiewicz

Gdy u władzy był PiS, walczyli z nim, powołując się na konstytucję. Gdy jednak za rządu Donalda Tuska jej zapisy okazały się niekorzystne dla PO, zaczęli się domagać odrzucenia ustawy zasadniczej jako podrzędnej wobec „prawa europejskiego"

Prawo

Jeśli nie da się wygrać z PiS w sposób zgodny z prawem, to tym gorzej dla prawa – ta warcholska postawa rządzącej PO i jej „stronnictw sojuszniczych", które w dodatku, iście po orwellowsku, nazwały się „obozem demokratycznym", sama w sobie stanowi symptom poważnej choroby, toczącej współczesną Polskę. Ale kiedy do łamania prawa w imię utrzymania władzy nawołują otwarcie utytułowani prawnicy, pełniący niegdyś najwyższe funkcje, szanowani jako wychowawcy pokoleń praktykujących obecnie jurystów, to mamy do czynienia z sytuacją trudną do opisania językiem przyjętym w cywilizowanej debacie publicznej. Dlatego prof. Andrzej Nowak, znany z dystynkcji i powściągliwości w słowach, by podsumować w Radiu Wnet postawę liderów prawniczego establishmentu III RP, sięgnął po uczoną łacinę. „Pereat Polonia, fiat superbia mea" – niech Polska zginie, byle stało się zadość mojej pysze.

To celne podsumowanie aktywności „prawniczych autorytetów", ale ujęte w ten sposób nie brzmi wystarczająco mocno. Niestety, w polszczyźnie cisną się do ust i pod pióra słowa, delikatnie mówiąc, nieparlamentarne. Najłagodniejsze wydaje się użyte na wstępie słowo „warcholstwo", mimo skojarzeń, którymi obciążyła je propaganda PRL. Byli przewodniczący Sądu Najwyższego czy Trybunału Konstytucyjnego kolportujący propagandowe kłamstwo o rzekomym „chaosie prawnym" i konieczności sięgania przez władzę po „nadzwyczajne" działania, by zablokować objęcie urzędu przez zwycięzcę wyborów, stali się kontynuatorami zasady „trybunał z dekretem, Radziwiłł z muszkietem", haniebnej tradycji bezkarnej magnackiej samowoli, rokoszów, zrywania sejmów, wszystkiego, co symbolizuje pojęcie „liberum veto" i co doprowadziło niegdyś do rozkładu i upadku państwa polskiego.

WOLTA „AUTORYTETÓW"

Liderzy tego prawniczego rokoszu nie dbają nie tylko o dobro wspólne, lecz także o własne dobre imię. Marek Safjan, były przewodniczący TK i polski delegat w TSUE, nie wahał się ośmieszyć, zmieniając diametralnie głoszone poglądy wraz z polityczną sytuacją. Dopóki sondaże zapowiadały wybór Rafała Trzaskowskiego, dopóty prof. Safjan twierdził, że „wątpliwości" co do statusu Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego nie mają znaczenia dla ważności wyboru i zaprzy-

eprasa.pl ad30e406bf

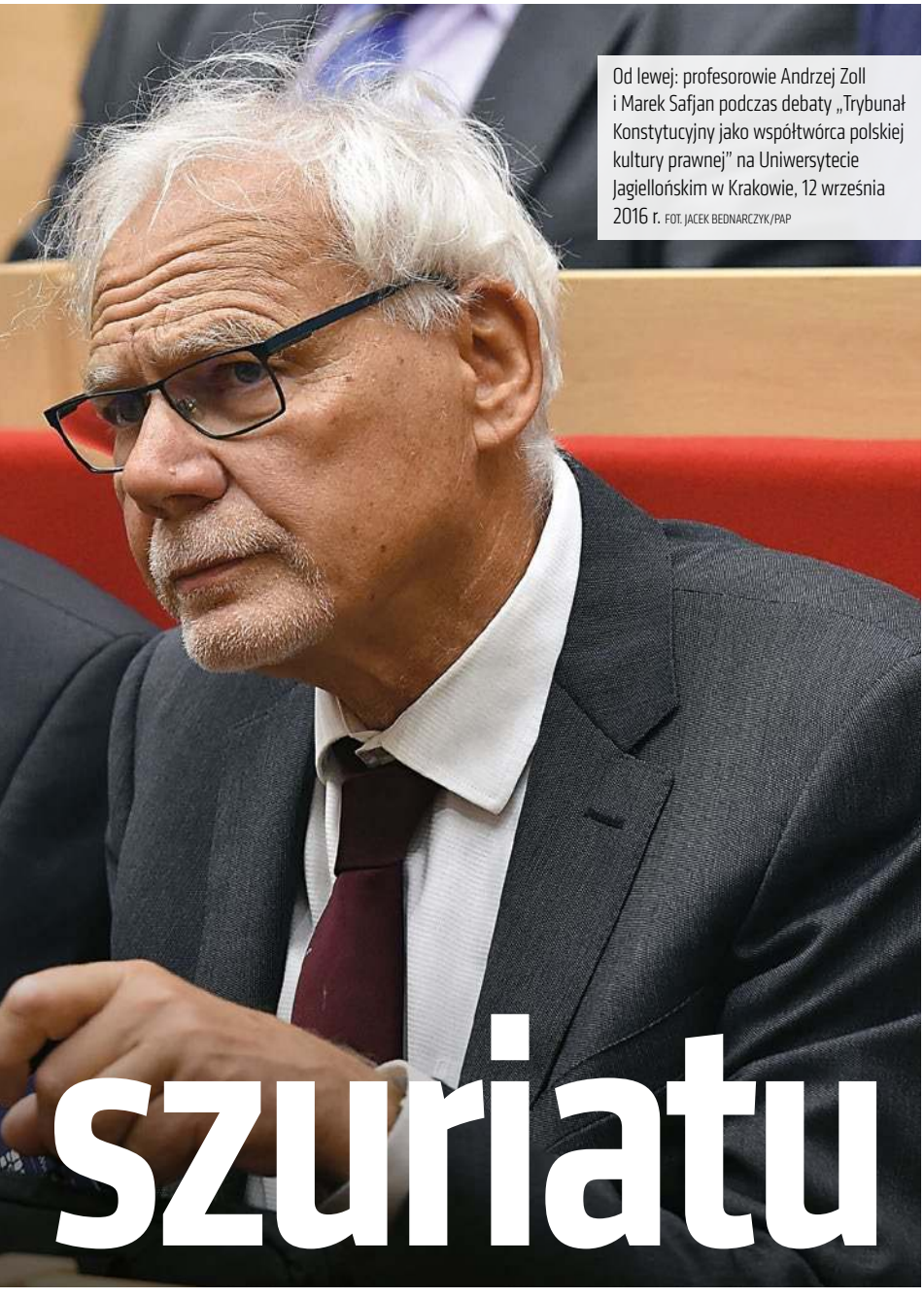

Od lewej: profesorowie Andrzej Zoll i Marek Safjan podczas debaty „Trybunał Konstytucyjny jako współtwórca polskiej kultury prawnej" na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, 12 września 2016 r. FOT. JACEK BEDNARCZYK/PAP

szuriatu

sięzenia prezydenta. Gdy jednak na tego prezydenta wybrali Polacy „pisowca" – pan profesor ogłosił ze swego cokołu, że właśnie z uwagi na owe „wątpliwości" „nie ma konstytucyjnych warunków do zaprzysiężenia".

Do podobnych wolt „autorytety" lewicowo-liberalnych mediów zdążyły nas już przyzwyczaić. Roman Giertych przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. opublikował – dla przeciwdziałania demobilizacji zwolenników PO – filmik, w którym zapewniał ich, że obawy przed sfałszowaniem wyborów to „strachy na Lachy", ponieważ sfałszować protokołów znaczącej części z ponad 32 tys. komisji zwyczajnie fizycznie się nie da. Obecnie, jak wiemy, głosi „z całą odpowiedzialnością", że „większość komisji została nielegalnie przejęta" przez spisek, który masowo przypisywał głosy na Trzaskowskiego kandydatowi opozycji. Ale Giertych jest tylko zwykłym, choć ponadprzeciętnie ustosunkowanym adwokatem. Przykład przyszedł z samej góry – swego czasu prof. Andrzej Zoll, który kiedyś, jako przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego, wykluczył tzw. przesłankę socjalną do aborcji jako sprzeczną z Konstytucją RP, krytykował w mocnych słowach analogiczne wykluczenie przez obecny skład Trybunału przesłanki genetycznej. Gdy zwrócono mu uwagę, że ta druga decyzja jest tylko logiczną kontynuacją jego własnego orzecznictwa, odparł bez cienia wahania, że dzisiaj by zdecydował w sprawie przesłanki socjalnej inaczej. A przecież konstytucja ani żadne inne prawo dotyczące sprawy od czasu jego kierowania Trybunałem nie zmieniły się w najmniejszym stopniu. Zmieniła się tylko partia rządząca i wraz z nią polityczne rachuby profesora.

Warto o tym pamiętać, słuchając dziś filipik Zolla przeciwko Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, którą – a jakże – uznaje za „nieistniejącą" i w związku z tym wzywa Szymona Hołownię, by poprzez obstrukcję Zgromadzenia Narodowego (ogłoszenie bezterminowej przerwy natychmiast po otwarciu obrad) uniemożliwił Karolowi Nawrockiemu złożenie ślubowania, następnie ogłosił, że wobec zakończenia kadencji Andrzeja Dudy i niezłożenia ślubowania przez jego następcę „urząd prezydenta jest opróżniony" i sam, jako marszałek Sejmu, przejął jego uprawnienia. Temu chytremu planowi pełnego poparcia udzieliła Małgorzata Gersdorf, była prezes Sądu Najwyższego, przy okazji uspokajając zwolenników siłowego przejęcia prezydentury, że wprawdzie sam Szymon Hołownia od wyznaczonej mu roli w „antykoronacyjnym spisku" się na razie odżegnuje, ale „jak dostanie to na tacy [tzn. funkcję głowy państwa] to weźmie". Trudno o bardziej dobitny dowód, że nikt z prawniczych warchołów bynajmniej nie sądzi, by tak lekceważąco przez nich postrzegany marszałek Sejmu miał jakiekolwiek atuty predestynujące go do pełnienia funkcji prezydenta uzurpatora. Po prostu gotowi są mieć w tej roli każdego, byle z własnej paczki.

Stopień odrealnienia rokoszan dobrze obrazuje fakt, że wspomniany już prof. Zoll, ogłosiwszy publicznie scenariusz przejęcia prezydentury

eprasa.pl ad30e406bf

przez sparaliżowanie Zgromadzenia Narodowego, spuentował swe widzenia argumentem: „to jedyny sposób uregulowania chaosu, w jakim się znajdujemy". Uregulowania chaosu – były przewodniczący TK wydaje się nie brać pod uwagę możliwości, że gdyby go posłuchano, chaos dopiero by nastał, być może nawet prowadząc do wojny domowej. Jest najwyraźniej przekonany, że bezprawne uniemożliwienie objęcia urzędu przez zwycięzcę wyborów, popartego przez ponad 10,5 mln wyborców, i powierzenie go kandydatowi, który przegrał w pierwszej turze, zdobywając raptem milion głosów, zostałyby przez ogół społeczeństwa przyjęte spokojnie i ze zrozumieniem, a także zaakceptowane przez zagranicznych partnerów Polski, nie tylko tych z UE, lecz także Amerykanów.

CZY ISTNIEJE „CHAOS PRAWNY"?

W przekonaniu o mocy własnej wykładni umacnia zapewne Andrzeja Zolla świadomość, że jest tylko jednym z „prezesów Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku" (taki oficjalnie przysługuje im tytuł), który „zdelegalizował" wybór wspomnianych 10,5 mln Polaków. Obok niego przecież pod wspólnym oświadczeniem podpisali się także Andrzej Rzepliński, Jerzy Stępień, Bohdan Zdziennicki i wspomniany już Marek Safjan. Oświadczenie to zresztą – być może była to cena za któryś z podpisów – jest w porównaniu z medialnymi wypowiedziami jego sygnatariuszy „lajtowe" i ogranicza się do ogólnikowego stwierdzenia, że „wybór Prezydenta RP nie może wywoływać najmniejszych wątpliwości zarówno co do procedury wyboru, jak i organu ostatecznie rozstrzygającego w kwestii ważności wyboru – Sądu Najwyższego". Zważywszy, że pod tym zdaniem mamy podpisy osób, które właśnie nic innego nie robią, tylko zasiewają takie wątpliwości, trudno nie spytać: Obłuda czy obłęd?

A może – zapyta ktoś naiwnie – „chaos prawny", ogłaszany przez emerytowanych luminarzy prawa i polityków, naprawdę istnieje? Może w istocie występują oni w obronie idei prawa, znajdując godziwe powody do kwestionowania zarówno rzetelności Państwowej Komisji Wyborczej i osobistej uczciwości ponad ćwierci miliona członków komisji rejonowych, obwodowych i okręgowych, jak i statusu sędziów orzekających w Sądzie Najwyższym? W końcu do niedopuszczenia objęcia urzędu przez Karola Nawrockiego wzywają osoby o wielkim autorytecie instytucjonalnym – oprócz tu wspomnianych także np. były przewodniczący PKW Wojciech Hermeliński. Można odmówić bezstronności kwestionującym prawomocność orzeczeń Sądu Najwyższego ludziom takim jak Roman Giertych, Ryszard Kalisz czy Michał Wawrykiewicz (były lider inicjatywy Wolne Sądy, wynagrodzony za swe zasługi dla PO mandatem europosła), którzy łączą zawody prawnicze z otwartą działalnością polityczną. Można lekceważyć – przyznajmy nawet, że trudno inaczej – „autorytety" pomniejszej rangi, jak gorliwie wspierający każdą decyzję rządu i PO z Australii prof. Wojciech Sadurski, którego mądrzeniu się wielokrotnie zaprzeczały fakty (choćby w kwestii, czy Marcinowi Romanowskiemu przysługuje immunitet jako członkowi Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy). Ale czy można kwestionować zawodową rzetelność i elementarną uczciwość (bo przecież nie wiedzę) zasłużonych luminarzy prawniczego establishmentu, wychowawców pokoleń studentów, swego czasu pełniących najwyższe funkcje prawnicze w państwie?

Trudno opisać bezmiar lekceważenia dla imponderabiliów, którym wykazują się ludzie głoszący nadrzędność prawa obcego nad krajowym tylko dla ochrony własnych grupowych interesów

Tak. Nie bądźmy naiwni. Nie trzeba być prawnikiem, nie trzeba być nawet studentem prawa, wystarczą lektura konstytucji i odrobina zdrowego rozsądku. Koronnym, a w praktyce jedynym argumentem, na który powołują się uparcie zasiewacze wątpliwości co do legalności wyboru Karola Nawrockiego, jest opinia TSUE, jakoby sposób ustanowienia IKNiSP SN przez polskiego ustawodawcę „nie spełniał kryteriów niezależnego sądu w rozumieniu prawa europejskiego". Mniejsza z tym, że TSUE nie potrafi tutaj wskazać konkretnego naruszenia konkretnego „prawa europejskiego" i do porządku dziennego przechodzi nad podobnymi, co w Polsce rządzonej przez PiS, sposobami mianowania, niekiedy nawet odwoływania sędziów bezpośrednio przez polityków w krajach „starej Unii" – z jakiegoś powodu ich za zagrożenie dla sędziowskiej niezależności nie uznając. Istota sprawy w tym, że głos TSUE jest opinią właśnie, niczym więcej – i tylko jako opinia może być traktowany. Żaden zresztą z krajów Unii Europejskiej nie przyznał orzeczeniom TSUE mocy prawa podlegającego bezpośredniemu zastosowaniu, nie daje im też takiej mocy żaden z unijnych traktatów. Aby weszły one w życie, muszą zostać implementowane do prawa krajowego ustawą bądź orzeczeniem odpowiedniego sądu krajowego. Stąd wiele z tych orzeczeń pozostaje od wielu lat w zawieszeniu (rekordzistami w ich ignorowaniu, nawiasem mówiąc, są Francja i Niemcy). Nie inaczej jest w Polsce. TSUE może twierdzić, że Izbę bądź jej skład powołano w „nieeuropejskim" trybie, ale dopóki o jej statusie nie orzeknie polski Trybunał Konstytucyjny bądź polski ustawodawca, w przewidzianym konstytucją trybie, dopóty Izba jest sądem właściwym dla orzekania o ważności wyborów. Tak mówi ustawa, tak wynika z Konstytucji RP i niczyje opinie ani wykładnie, choćby podparte nie wiedzieć jakimi tytułami czy życiorysami, nie mogą tego zmienić.

GORZEJ NIŻ W DAWNYCH KOLONIACH

Powoływanie się na TSUE jako źródło prawa obowiązującego w Polsce, i to podlegającego natychmiastowemu, bezpośredniemu zastosowaniu, jest nie tylko otwartym kwestionowaniem konstytucyjnego porządku prawnego RP – a w wypadku sędziów, co dopiero przewodniczących Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego, po prostu zdradą państwa, której w wypadku takich osób nie można wytłumaczyć niewiedzą. Jest także przejawem skrajnie kolonialnej, niewolniczej mentalności. A nawet czegoś jeszcze gorszego, bo przecież

eprasa.pl ad30e406bf

w dawnych koloniach – przynajmniej tych brytyjskich – prawo metropolii nie obowiązywało „z automatu", a tylko w zakresie przyjętym lege artis, choć niesuwerennie, przez lokalne, kolonialne władze.

Rzeczpospolita Polska jest wedle konstytucji „państwem prawa" i wszystkie organy wszystkich rodzajów władz muszą działać w ramach i na podstawie tegoż prawa. Jedynymi źródłami prawa, wymienionymi w konstytucji, są: ona sama, konstytucja, ustawy, umowy międzynarodowe w zakresie, w jakim zostały ratyfikowane przez parlament, oraz rozporządzenia rządowe, w zakresie ustaw, których wykonywaniu służą. I koniec – nie ma na tej liście żadnej instytucji zagranicznej, niczyich „wątpliwości" ani opinii czy wykładni profesorów, zwłaszcza wygłaszanych w telewizyjnych czy internetowych wywiadach.

Trudno w krótkim tekście wymienić wszystkie negatywne dla Polski konsekwencje hipotetycznego przyjęcia za konstytucyjne i obowiązujące stanowiska reprezentowanego przez prawników, którzy kwestionują status IKNiSP SN na podstawie rekomendacji TSUE: oznaczałoby to po prostu utratę niepodległości ze wszystkimi tego konsekwencjami, bo w każdej sprawie, także cywilnej, ostateczny głos miałby sąd spoza Polski, kierujący się innym niż polskie prawem. Trudno opisać tu bezmiar lekceważenia dla imponderabiliów, którym wykazują się ludzie głoszący nadrzędność prawa obcego nad krajowym tylko dla ochrony własnych grupowych interesów. Trudno opisać także ich hipokryzję. Przecież cały ten prawniczy rokosz, którego kontynuacją są wspomniane oświadczenie i publiczne wypowiedzi profesorów prawa, wzniecony został po podjęciu przez PiS próby reformy konstytucji, pod hasłem obrony konstytucji – które, gdy jej zapisy okazały się niekorzystne dla PO, zastąpiono hasłem diametralnie odmiennym: odrzucenia krajowej konstytucji jako podrzędnej i, by użyć ulubionego słowa prawniczych warchołów, „nieistniejącej", poprzez uznanie jej za podrzędną wobec „prawa europejskiego".

A i to – by dopełnić obrazu bezmiernej obłudy i załgania prawniczych elit – „prawa europejskiego jak my je rozumiemy". Bo przecież ten sam TSUE, na który

Dopóki trwa obecna władza, dopóty rokoszanom trzeba przypominać, że po jej upadku tylko nieliczni mają szansę znaleźć azyl i immunitet „w Europie"

powołują się Safjan, Zoll, Rzepliński czy Gersdorf, jasno, wyraźnie i stanowczo orzekł, że „powoływanie sędziów przy udziale KRS ukształtowanej ustawą z roku 2017 nie może być podstawą podważania ich statusu". I tutaj jednoznaczne orzeczenie TSUE nie przeszkadza zbuntowanym przeciwko prawu prawnikom powtarzać w nieskończoność tezy o „neosędziach", którzy nie mają jakoby prawa orzekać, bo tak kiedyś uznały nijak nieumocowaną w porządku konstytucyjnym uchwałą – przy bezczynności ówczesnych władz, niestety – trzy arbitralnie wybrane przez prezes Gersdorf „stare" izby Sądu Najwyższego. Krystian Markiewicz, jako przewodniczący sędziowskiego stowarzyszenia Iustitia, posunął się nawet do publicznej, medialnej zapowiedzi, że jeśli projektowana przez Adama Bodnara kontrreforma, odwracająca zmiany wprowadzone przez PiS, nie będzie zawierała usunięcia „neosędziów" za stanu sędziowskiego, to „sędziowie wycofają swe poparcie dla rządu". Prezes sędziowskiego stowarzyszenia, które łamie prawo już samym swym istnieniem, zachowuje się otwarcie jak polityk grożący wycofaniem swej partii z koalicji rządzącej, jeśli ta nie przegłosuje mu jego projektu ustawy – i nic się nie dzieje! Artykuł 178 konstytucji (pkt 3: sędzia nie może należeć do partii politycznej, związku zawodowego ani prowadzić działalności publicznej niedającej się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów) też jest „nieistniejący".

KOŁACZĄC O POMOC U OBCYCH DWORÓW

Tak więc nie konstytucja, nie ustawy ani rozporządzenia, ani nawet ukazy „europejskie" są dla panów Safjana i Zolla czy pani Gersdorf źródłami prawa – jedynym źródłem prawa, które uznają, są oni sami. Trafnie użyte przez prof. Nowaka słowo „pycha" nie wyczerpuje jednak sprawy, bo oprócz niej widać, że motywują prawników warchołów interesy – jeśli nie własne, to swego środowiska, które przez wiele lat cieszyło się wielkimi przywilejami, było właściwie, na mocy niepisanej umowy z Magdalenki, zamkniętym dla niespokrewnionych i niezaprzyjaźnionych państwem w państwie, a po roku 2017 nagle zaczęło te przywileje tracić. I zgodnie z tradycją „polskiej anarchii" i targowicy bronią się przed ich utratą „prawem i lewem", kołacząc o pomoc u obcych dworów, niszcząc lub próbując uczynić „nieistniejącymi" instytucje, nad którymi tracą kontrolę, zasiewając w państwie chaos i agregując kłamstwa o jakimś „chaosie prawnym" wymagającym użycia nadzwyczajnych, dyktatorskich metod, negując prawo na rzecz jakichś tworzonych ad hoc konstruktów w rodzaju „rozproszonej kontroli konstytucji", „domniemania podpisu prezydenta". A wreszcie – próbując zablokować zaprzysiężenie legalnie wybranego prezydenta i kwestionując wynik wyborów na podstawie wyliczeń statystycznych, zgodnie z którymi (sięgam tu po ekspertyzy zamówione i przedstawione przez nikogo innego, jak przez Adama Bodnara) skala ewentualnych nieprawidłowości przy liczeniu głosów była ponad 100 razy mniejsza od różnicy dzielącej ostatecznie kandydatów, w dodatku w różnych komisjach prawdopodobnie wzajemnie się one znosiły.

Wszystko to – w poczuciu całkowitej bezkarności. Nawet jeśli ich pomysły – motywowane zawziętością, by raczej spalić Polskę, niż oddać władzę nad nią znienawidzonym „pisowcom" – nie przełożą się na konkretne działania polityków, którym podbijają bębenka, rokoszanie uważają, że za wszystko to nie spotka ich nawet nagana. Nestorzy rokoszu są już faktycznie w wieku emerytalnym i niewiele może im Polska zrobić, poza, mam nadzieję przynajmniej na to, symbolicznym odebraniem podeptanych przez nich samych tytułów i zaszczytów. Pozostałym trzeba jednak, dopóty, dopóki trwa obecna władza, przypominać, że po jej upadku tylko nieliczni mają szansę znaleźć azyl i immunitet „w Europie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

Wszystkie strachy Giertycha

FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Stając na czele politycznych rewolucjonistów, domagających się ponownego liczenia głosów, Roman Giertych wyrządził koalicji niedźwiedzią przysługę. Mecenas ma jednak własne cele

W tych dniach porażki postanowiłem dać przykład. Jak państwo wiecie, byłem bezpartyjny. Dzisiaj przedłożyłem akces do Platformy Obywatelskiej – ogłosił krótko po wyborczym zwycięstwie Karola Nawrockiego Roman Giertych. W filmie opublikowanym w serwisie YouTube zapowiedział, że chce wnieść do partii „lekki odcień konserwatyzmu, ale również pewien entuzjazm, dynamikę w rozwijanie tej partii, tak aby stanowiła ona trzon, na którym może oprzeć się polska demokracja".

Szybko okazało się, czym są owe „entuzjazm i dynamika". Niebawem mecenas rozpoczął medialno-polityczną akcję podważania wyniku wyborów. Zaczął od przedstawiającej rzekomo masowe anomalie na niekorzyść kandydata KO analizy jednego z użytkowników portalu Wykop, który przyznał później, że wrzucił ją do sieci, będąc pod wpływem alkoholu. Teorie mecenasa zaczęły jednak szybko znajdować swoich zwolenników wśród grupy tzw. Silnych Razem, czyli internetowych radykałów sprzyjających Platformie Obywatelskiej. Giertych zachęcał do masowego wysyłania do Sądu Najwyższego protestów wyborczych, udostępniając w sieci wzór takiego protestu. Później okazało się, że wiele z protestów przekazanych po apelu polityka KO zawierało błędy formalne.

– Bardzo duża liczba – parę tysięcy protestów – ma PESEL-e posła Giertycha, bo ludzie nie potrafili nawet wpisać swojego PESEL-u – powiedziała I prezes SN prof. Małgorzata Manowska.

Do ostatnich chwil mecenas próbował wywierać nacisk zarówno na sąd (aby przekazał protesty do rozpatrzenia Izbie Pracy; Izby Kontroli Nadzwyczajnej, która się nimi zajmowała, Roman Giertych i inni politycy obozu władzy nie uznają), jak i na prokuratora generalnego Adama Bodnara. Mecenas sugerował, że Bodnar działa zbyt delikatnie i opieszale, doma-

eprasa.pl ad30e406bf

gał się śledztw w tysiącach obwodowych komisji wyborczych.

Kiedy 1 lipca Sąd Najwyższy zdecydował o ważności wyborów, poseł KO nie krył oburzenia. „Przebierańcy i uzurpatorzy, z pogardą do obywateli i lekceważąc przepisy Konstytucji, wydali oświadczenie, że wybory były ważne. To oświadczenie nie jest orzeczeniem SN i nie może być podstawą jakichkolwiek działań, a już w szczególności działań Marszałka Sejmu" – przekonuje Giertych. W jego internetowych wpisach wybrzmiewa gorycz wobec Szymona Hołowni, który złożył jasną deklarację zwołania Zgromadzenia Narodowego i nieutrudniania zaprzysiężenia Karola Nawrockiego.

Wcześniej Giertych zaproponował, by 6 sierpnia Zgromadzenie Narodowe przegłosowało przerwę, a wtedy to Szymon Hołownia przejąłby obowiązki prezydenta i byłby czas na ponowne przeliczenie głosów. W odpowiedzi lider Polski 2050 stwierdził, że Roman Giertych jest bardzo kreatywnym prawnikiem, który nie chce się zgodzić z wynikiem wyborów. – Ja mówię, przy całej mojej sympatii do Romana Giertycha, ale on może pisać na Twitterze, a ja odpowiadam za państwo – podkreślił marszałek Sejmu.

Poseł KO nie odpuszcza: „Zażalenia pana Wąsika i Kamińskiego Marszałek Sejmu wysłał do Izby Pracy, bo nie uznawał Izby Kontroli. Rozumiem, że tym bardziej będzie czekał na orzeczenie Izby Pracy w daleko ważniejszej sprawie rozpoznania protestów dziesiątek tysięcy obywateli na oszustwa wyborcze 2025".

SPOKOJNA GŁOWA TUSKA

– Przyglądam się tej historii, słucham głosów oficjalnych i nieoficjalnych, i mam rosnące wrażenie, że ta historia raczej ma się ku końcowi. W koalicji rządowej zaczyna narastać przekonanie, że ta wojna jest przegrana – stwierdził Konrad Piasecki z TVN24. – Roman Giertych, mam wrażenie, że w nim takie napięcie rewolucyjne opada […]. Jest w PO, w KO przekonanie, że Giertych powiódł na wojnę, która była z góry przegrana […]. Już po pierwszej turze wyborów prezydenckich było widać, jak bardzo nastrój sprzyja prawicy, jak wyniki wskazują, że drugą turę wygra Karol Nawrocki. Wojna, na którą powiódł koalicję Roman Giertych, budzi wśród nie tylko koalicjantów, nie tylko w PO przekonanie, że wojna z góry była przegrana. Niedobrze jest, że partia, która zawsze nawoływała do racjonalnego myślenia o Polsce, dała się na taką wojnę poprowadzić – oceniał dziennikarz.

Wtórowała mu Agata Adamek. – Nadmuchanie tego balona było łatwe, tak usłyszałam ostatnio, natomiast bardzo trudno wyjść z tego tematu, a najwyższa pora, żeby już wyjść […]. Napięcie w Giertychu było ogromne. Chyba sam zrozumiał albo ktoś mu pomógł zrozumieć, że to jest temat, który nie pomaga już obecnie rządzącej koalicji, o ile w ogóle kiedykolwiek pomagał – takie stawianie sprawy, jak czyni to Roman Giertych. On dużo dalej idzie w swoich ocenach wyborów niż pozostali politycy koalicji, mówiąc, że wybory były sfałszowane, mówiąc o jakichś „braciach kamratach", którzy zasiadali w komisjach wyborczych – wskazała reporterka w programie „W kuluarach".

Wydaje się, że to właśnie głośny wywiad Giertycha u Moniki Olejnik stanowił punkt kulminacyjny, a jednocześnie zwrotny w snuciu niepopartych twardymi danymi teorii o masowych fałszerstwach. – Obwodowe komisje wyborcze zostały w sposób nielegalny, i mogę to powiedzieć z całą odpowiedzialnością, przejęte w większości przez ludzi typu pana Olszańskiego, jakichś braci kamraci, którzy się zbierali w jakiś grupkach – przekonywał poseł. Zarówno Wojciech Olszański, jak i jego najbliższy współpracownik Marcin Osadowski przebywają od początku czerwca za kratami (postawiono im zarzuty nawoływania do przemocy). Co prawda, są rozpoznawalni w Internecie, ale większość użytkowników traktuje ich jako swoisty folklor i mem.

Na słowa Giertycha zareagowała m.in. Anna-Maria Żukowska, przewodnicząca Klubu Parlamentarnego Lewicy. Zastanawiała się, „dlaczego Donald Tusk pozwala Romanowi Giertychowi na to szaleństwo". „Otóż dlatego, żeby nikt zbytnio nie roztrząsał, czemu Rafał Trzaskowski przegrał wybory. Warto zauważyć, że sam zainteresowany (kandydat) nie obwołał się prezydentem, nie bierze w tej szurii udziału, nie organizuje żadnego Ruchu Przeliczenia Wyborów i zajął się po prostu swoją pracą prezydenta miasta" – napisała.

Trudno nie zauważyć, że tuż po 1 czerwca w opinii publicznej dominowały głosy domagające się rozliczeń kampanijnych błędów, a nawet głowy samego Tuska. Gdy do akcji wkroczył Giertych, dyskusję zdominowało rzekome „przekręcenie wyborów" i szybko narrację o słabej kampanii zastąpiła ta o „ukradzionych wyborach".

Opozycja nie miała dla mecenasa litości. Były kandydat na prezydenta, Sławomir Mentzen z Konfederacji, komentował: „Jacek Murański, Roman Giertych, Bracia Kamraci, Donald Tusk. W jakich wspaniałych czasach przyszło nam żyć, że te wszystkie postacie trafiły na siebie, a ich losy zaczęły się krzyżować!". Eurodeputowany Prawa i Sprawiedliwości Tobiasz Bocheński stwierdził, że „Giertych walczy o żółte papiery", a poseł PiS Radosław Fogiel kpił: „Obawiam się, że Sławosz Uznański będzie dopiero trzecim Polakiem, który odleciał w kosmos. Na ostatniej prostej wyprzedził go Roman Giertych". O przyczynach powyborczej działalności Romana Giertycha pisał komentator Grzegorz Sroczyński z portalu gazeta.pl. Zwrócił uwagę, że „hasło »sfałszowane wybory« ratuje PO z piekła trudnych rozliczeń własnych błędów, ratuje też Tuska, bo nagle piosenka jest o czymś innym". „Platforma chce zbudować swój własny »mit smoleński« o sfałszowanych wyborach, którym można będzie grać, pocieszać się, wachlować, nasładzać w trudnych czasach opozycji i przede wszystkim mamić liberalny rozczarowany elektorat" – zauważa Sroczyński. I dodaje, że kolejną warstwą jest osłabienie mandatu prezydenckiego Karola Nawrockiego. Publicysta ocenia, że wchodząc w narrację o fałszerstwach, PO szykuje mentalnie swoich wyborów na przejście do opozycji.

„Uprzedzam, że za atakowanie premiera będę banował. Nikt nie musi się z nim zgadzać, ale to on jest szefem projektu i zna wszystkie uwarunkowania. I bez niego niczego byśmy nie wygrali" – napisał poseł KO Roman Giertych po tym, jak Donald Tusk de facto uciął snute na skrajnej flance obozu władzy scenariusze o możliwości odwrócenia wyniku wyborów prezydenckich. – W mojej ocenie mało prawdopodobnym wydaje się, aby skala

eprasa.pl ad30e406bf

nieprawidłowości wypaczyła w zasadniczy sposób wynik – powiedział premier kilka dni przed tym, jak Sąd Najwyższy zdecydował o ważności głosowania z 1 czerwca. „Co będzie dalej, Panie Romanie?" – zapytała Giertycha jedna z zasmuconych użytkowniczek portalu X. Poseł odparł: „Nie wiem, ale wiem, że polityka jest nieprzewidywalna". W ten sposób, pomimo wygaszania narracji o „ukradzionych wyborach", mecenas Roman Giertych próbował podtrzymywać rewolucyjną iskrę wśród swoich sympatyków.

POWAŻNE WĄTPLIWOŚCI

Pod koniec czerwca Wirtualna Polska ujawniła uzasadnienie prokuratorskiej decyzji o umorzeniu śledztwa w sprawie działalności Romana Giertycha odnoszącej się do Polnordu. Umorzenie nastąpiło w styczniu. Mecenas był podejrzany o działanie na szkodę spółki i przywłaszczenie mienia wielkiej wartości w kwocie ponad 72 mln zł. Poseł KO wielokrotnie jednak nie stawiał się w prokuraturze, która chciała mu ogłosić zarzuty. W uzasadnieniu umorzenia wskazano, że adwokat nie odgrywał roli decyzyjnej, a jedynie wykonawczą. Śledczy nie doszukali się w jego działaniach znamion o charakterze przestępczym.

Jednak wątpliwości budzi to, że podobne oskarżenia wciąż ciążą na bliskich współpracownikach i klientach Romana Giertycha – chodzi m.in. o Sebastiana J. ps. Foka, wieloletniego asystenta. „Z akt śledztwa wynika, że Sebastian J. 29 listopada 2010 r. utworzył spółkę New Industry sp. z o.o. Miał w niej 100 proc. udziałów. Kapitał zakładowy wynosił 5 tys. zł, a na siedzibę spółki wybrano mieszkanie w Błoniu. Żona Sebastiana J. wynajęła New Industry jeden pokój o powierzchni 13 mkw. 25 stycznia 2011 r. w tym samym pokoju i na tych samych zasadach Foka założył spółkę TG sp. z o.o. 24 stycznia 2011 r. New Industry zawiera umowę na obsługę prawną w zakresie obrotu wierzytelnościami z kancelarią Romana Giertycha. 31 stycznia 2011 r. umowę z kancelarią Romana Giertycha zawiera TG. Spółki – co dostrzega prokuratura – nie mają środków finansowych na zapłatę za właściwą obsługę prawną" – opisuje WP.

Założone przez „Fokę" spółki stały się właścicielami wierzytelności Prokomu w toczącej się sprawie sądowej z warszawskim MPWiK i miastem stołecznym Warszawą – mimo złej sytuacji finansowej. Kilka miesięcy później wierzytelności odkupił Polnord. Były one warte prawie 73 mln zł, ale Polnord zapłacił za nie 58 mln zł. „Prokuratura uznała, że w ten sposób doszło do narażenia Polnordu na stratę znacznej wartości i wyprowadzenia kilkudziesięciu milionów, za co postawiono zarzuty uczestnikom tej operacji. Ale prokurator Markowski w postanowieniu o umorzeniu śledztwa przeciwko Romanowi Giertychowi nie wyjaśnia bliżej tego wątku: dlaczego Prokom zawarł umowę ze spółkami bez jakiegokolwiek majątku ani doświadczenia?" – opisywał portal.

Na początku marca były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro ostrzegał przed Romanem Giertychem. – To jest człowiek niezwykle groźny dla polskiej demokracji i polskie państwo powinno zrobić wszystko, aby doprowadzić go do odpowiedzialności – mówił w Telewizji Republika

Giertych zareagował na materiał Wirtualnej Polski w charakterystyczny dla siebie sposób. „W ciągu ostatnich dwóch tygodni spadła na mnie i na protestujących fala kłamstw ze strony interesariuszy zwycięstwa Nawrockiego pracujących na odcinku medialnym. Już sama ta fala świadczy o strachu. Strachu przed przeliczeniem głosów" – pisał. „Proponuję suwartom i pisowcom uczcić kolejne dwie komisje, gdzie fałszowali na szkodę Trzaskowskiego, kolejną taśmą Giertycha. Bo na razie na zarzut, że fałszowano głosy, odpowiedzią jest jedynie atak personalny na mnie" – dodał, przypominając też ujawnienie przez Telewizję Republika taśm (to m.in. rozmowy z Donaldem Tuskiem z 2019 r., które np. poseł Dariusz Matecki z PiS komentował tak: „Roman Giertych nagrywał rozmowy z Donaldem Tuskiem? To już wiemy, dlaczego takiego całkowitego oszołoma wzięli na listę, a później pozwolili kompromitować cały ich obóz. Donald jedzie na smyczy Romana?").

RAMIĘ W RAMIĘ Z ROMANEM

Poseł KO przekonuje, że niekorzystne dla niego materiały prasowe to zemsta za to, iż walczy o prawdę na temat wyborów. „PiS wstawił poprzez fejkowe komitety, które nazwałem »bracia kamraci PiS«, dziesiątki tysięcy członków obwodowych komisji wyborczych i to oni liczyli nasze głosy. Jedna partyjka pana Starosielca obsadziła ponad tysiąc przewodniczących obwodowych komisji wyborczych. PiS zrobił to, zmieniając Kodeks wyborczy i utrzymując władzę w PKW i jej organie KBW. Gdy podnoszę ten temat, to się rozlega wręcz nieprawdopodobne zawodzenie, jęki i skamlenia ze strony »braci suwartów«. Czyżbyśmy dotknęli istoty problemu naszej demokracji?" – grzmiał w sieci.

Po stronie Giertycha stanął m.in. Tomasz Lis. „Stawia logiczne pytania, wyraża uzasadnione wątpliwości wielkiej rzeszy obywateli. Najważniejsze, co mówi: zdecyduje sąd opinii publicznej. Czyli zdecydujemy my" – skomentował wywiad mecenasa w TVP Info. Z kolei prokurator Ewa Wrzosek nie traci nadziei, że teorie Giertycha zwyciężą: „Opisując poszczególne etapy tego, jak co poniektóre media odnoszą się do Romana Giertycha i jego wniosków o powtórne przeliczenie głosów w wyborach prezydenckich – to jakby cytować klasyka: najpierw ignorują, potem się śmieją, później walczą. A na końcu? No właśnie :)".

Na początku marca były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro ostrzegał przed Romanem Giertychem. – To jest człowiek niezwykle groźny dla polskiej demokracji i polskie państwo powinno zrobić wszystko, aby doprowadzić go do odpowiedzialności. On wie, że my wiemy. On wie, co ma na sumieniu. Że my wiemy dużo więcej, niż jest to znane, i stąd ta jego determinacja, aby nas zniszczyć, bo on broni, walczy o życie. Życia w rozumieniu życia na wolności, a nie za kratkami, za którymi mógłby spędzić długi czas – mówił w Telewizji Republika.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

Oni mają co świętować!

25 lat wsparcia, które zmienia życie

Monika była stypendystką Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia" przez 13 lat. Do programu przystąpiła w gimnazjum i uczestniczyła w nim aż do ukończenia studiów filologicznych na Uniwersytecie Warszawskim. O Fundacji dowiedziała się od swojego katechety, który pomógł jej także przebrnąć przez kolejne etapy rekrutacji. Jak przyznaje, był to moment przełomowy w jej życiu. Szybko okazało się, że wraz z otrzymaniem stypendium zmieniła się perspektywa patrzenia na jej przyszłość. Wybór liceum nie ograniczał się już do placówek w najbliższej okolicy a dodatkowe lekcje, np. z języka obcego, czy pomoce naukowe przestały być barierą nie do przeskoczenia. Ukończyła studia i założyła rodzinę. Zamieszkała w Warszawie, ale fundacyjnych przyjaciół ma w całej Polsce i poza jej granicami. Wspiera finansowo program stypendialny, chcąc dać kolejnym młodym ludziom szansę, którą sama świetnie wykorzystała.

Marek dzięki stypendium Fundacji podjął studia na czołowej uczelni technicznej w Polsce – co zawsze było jego marzeniem. Swoją ciężką pracą, dzięki stypendium Fundacji, zdobył wykształcenie i kontynuował pracę na uczelni nad innowacyjnymi rozwiązaniami z dziedziny motoryzacji. Dziś jest mężem i ojcem trojga dzieci. Formacja, której doświadczył w ważnym dla siebie okresie, ukształtowała jego system wartości, a wspólnota ludzi, których poznał w Fundacji, jest nieocenionym wsparciem na co dzień.

Takich historii jest wiele. Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia" rok po roku towarzyszy ok. 2 tys. bardzo zdolnych, młodych ludzi z małych miejscowości całej Polski. Uczniowie, którzy przystąpili do programu stypendialnego w szkole podstawowej, mają szansę korzystać z pomocy przez cały okres edukacji aż do ukończenia studiów. W tym czasie otrzymują wsparcie finansowe, nawiązują trwałe i piękne przyjaźnie, a także uczestniczą w stałej formacji w duchu nauczania św. Jana Pawła II. Wielu absolwentów programu wkroczyło już w dorosłe życie i założyło rodziny. Wielu odkryło swoje powołanie na drodze zakonnej lub kapłańskiej. Wielu z nich zachowało w sercu ten czas jako przełomowy, czas czerpania i inwestycji w siebie. Z wdzięcznością w sercu starają się przekazywać otrzymane dobro dalej.

W roku 2025 w Kościele powszechnym obchodzony jest Rok Święty pod hasłem „Pielgrzymi nadziei". W tym wyjątkowym roku także Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia" świętuje 25-lecie swojego istnienia. Z tej okazji odbędzie się pielgrzymka całej fundacyjnej rodziny. Około 1,5 tys. stypendystów, kilkuset absolwentów wraz z rodzinami, darczyńców i przyjaciół Fundacji spotka się na Jasnej Górze. **19 lipca** o godz. **11.00 na Wałach Jasnogórskich** odbędzie się Msza św., której przewodniczył będzie nuncjusz apostolski abp Antonio Guido Filipazzi.

Jubileusz jest dla społeczności Fundacji okazją, by spojrzeć z wdzięcznością w przeszłość na to, co udało się osiągnąć, i z nadzieją na to, co czeka w przyszłości. Zapraszamy do wspólnego świętowania wszystkich, którzy mają Fundację w sercu.

Małgorzata Kucharska

25 LAT DZIEŁO NOWEGO TYSIĄCLECIA

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl ad30e406bf

Łukasz Warzecha

Wniosek dla liderów partii prawdziwej prawicy z tego, jak zachowuje się PiS półtora roku po utracie władzy, powinien być jasny: wiązanie się z tak zachowującym się Prawem i Sprawiedliwością byłoby ze wszech miar ryzykowne

FOT. PIOTR POLAK/PAP

Kaczyński: Byliśmy doskonali

Byliśmy znakomici, wprost genialni, rządziliśmy niemal bez potknięć, a jeśli coś się komuś nie podobało, to najwyraźniej nie dorósł do naszej światłej polityki – taka przez lata była narracja protoplastów obozu, który dzisiaj sam siebie nazywa „demokratycznym". Podobne jest także przekonanie części twardych wyborców kandydata tego obozu po wygranej Karola Nawrockiego: nasz kandydat był znakomity, tylko ciemne masy nie były w stanie tego zrozumieć. I oto niemal identyczną interpretację zaordynował członkom PiS, zgromadzonym w poprzednią sobotę w Przysusze na VII Kongresie partii, jej nowy-stary prezes, Jarosław Kaczyński.

Żeby docenić niesamowite kongresowe wystąpienie prezesa, najpierw trzeba zobaczyć koleje losu PiS w trochę dłuższej perspektywie, sięgającej przegranych w 2023 r. wyborów. Dla wielu obserwatorów polityki było jasne przed październikiem 2023 r., że powtórki z samodzielnych rządów nie będzie. Złożyło się na to wiele czynników. Przypomnijmy jedynie hasłowo, co zniechęciło wyborców oraz zmobilizowało bezprecedensowo zwolenników opozycji.

KATALOG WIN

Po pierwsze – narastająca arogancja władzy, kolesiostwo, przekonanie, że „nie mamy z kim przegrać". Symbolem tego trendu stał się środkowy palec poseł Lichockiej, pokazany przy okazji głosowania nad gigantyczną dotacją dla TVP, pełniącej rolę propagandowego biuletynu władzy. Mniej znany, a także reprezentatywny epizod to efektowne zaręczyny Michała Moskala, modelowego partyjnego karierowicza i teczkowego Jarosława Kaczyńskiego. Miały one miejsce w państwowej kopalni „Bogdanka", 960 metrów pod ziemią, na przełomie lat 2022 i 2023. Dla partyjnego działacza miano wstrzymać prace wydobywcze.

Po drugie – kształt mediów państwowych, zamienionych w propagandową maszynę PiS, która o odruch wymiotny przyprawiała nawet zwolenników tej partii.

Po trzecie – niezrealizowanie obietnic przekierowania polskiej polityki zewnętrznej na bardziej asertywne tory. Było dużo wojowniczej retoryki, ale w sferze czynów wyglądało to inaczej. Polska dbała, żeby pozostać w głównym europejskim nurcie, zwłaszcza gdy idzie o politykę klimatyczną. Nie zdecydowano się – wbrew obietnicom – wypowiedzieć konwencji stambulskiej. Zgodzono się na system „pieniądze za praworządność". Epatując propagandową sumą ponad 60 mld euro, zdecydowano o włączeniu naszego kraju w system wspólnego długu związanego w funduszem NextGeneration EU, na którym opiera się KPO. W spłacaniu tego wspólnego długu uczestniczyliśmy od samego początku (najpierw odsetki, a od 2028 r. kapitał – o czym pisałem w poprzednim wydaniu „Do Rzeczy"), choć przez długi czas nie spływały do nas żadne fundusze z KPO.

Po czwarte – „piątka dla zwierząt" i inne przykłady realizacji prozwierzęcej obsesji prezesa, w tym absurdalne podwyższenie kar za przestępstwa wobec zwierząt czy wprowadzenie do obiegu

eprasa.pl ad30e406bf

prawnego szkodliwego pojęcia „praw zwierząt".

Po piąte – zgoda na kolejne elementy Zielonego Ładu, nie tylko w postaci kierunkowych decyzji podejmowanych przez Radę Europejską z Morawieckim w składzie, lecz także poprzez włączenie takich zagadnień do „kamieni milowych" i celów zawartych w KPO.

Po szóste – fatalna polityka covidowa, skutkująca 200 tys. nadmiarowych zgonów, krachem wielu przedsiębiorców z powodu absurdalnego zamknięcia znacznej części gospodarki, a także pogwałcaniem wolności obywatelskich i wprost prawa.

Po siódme – żenująco wręcz uległa postawa wobec Ukrainy. Cenzurowanie (przy pomocy ABW i ówczesnej ustawy Prawo telekomunikacyjne) mediów, które z taką linią się nie zgadzały. Wyzywanie krytyków takiej postawy od sojuszników Putina. Nieochronienie interesów polskich rolników i transportowców.

Po ósme – szeroko otwarte drzwi dla imigracji zarobkowej bez planu i analizy wynikających z tego zagrożeń.

Po dziewiąte – traktowanie prywatnego biznesu i przedsiębiorców jak dojnych krów i zła koniecznego. Ubóstwienie państwa w gospodarce i zwieńczenie tego Polskim Ładem, który ostatecznie przekonał wielu przedstawicieli małego biznesu, że trzeba wesprzeć przeciwników PiS (co skończyło się potężnym rozczarowaniem nową władzą, ale to już inna opowieść).

Po dziesiąte wreszcie – doprowadzony do absurdu paternalizm państwowy, owocujący niezliczonymi regulacjami dotykającymi każdej dziedziny życia, w połączeniu z nieznośnym aktywizmem prawnym, skutkującym np. bezrefleksyjnym zaostrzaniem kar dla kierowców.

Ten katalog jest oczywiście niepełny, a wymienione konkrety to przykłady. Jednak każda z tych spraw, każda z tych dziedzin zniechęcała wobec PiS mniejszą lub większą grupę jego wcześniejszych wyborców, co skończyło się utratą władzy.

ŻADNEJ REFLEKSJI

Po zmianie rządu w grudniu 2023 r. – co poprzedziła nieudana próba zawiązania koalicji z PSL, wcześniej bezmyślnie przez PiS atakowanym przy każdej okazji – część elektoratu szeroko pojętej prawicy oczekiwała rzeczy w takiej sytuacji naturalnej: rozliczenia własnych błędów i win. Jasne jest, że nie mogłoby to polegać na całkowitym zdezawuowaniu dwóch kadencji swoich rządów, bo w polityce dobrze co prawda przyznawać się do błędów, ale nie można także tworzyć poczucia, że uprawiało się niemal całkowicie błędną politykę. A jednak w paru sprawach – COVID, Ukraina, podejście do przedsiębiorców, próby cenzurowania debaty publicznej oraz kształt mediów państwowych – wyborcy mieli prawo oczekiwać, że partia Kaczyńskiego posypie głowę popiołem. To samo powinno było dotyczyć kluczowych postaci, które firmowały osiem lat tej polityki, z premierem Mateuszem Morawieckim na czele, a także z ludźmi takimi jak wspomniana już Joanna Lichocka czy Jacek Sasin, którego nazwisko połączyło się trwale z aferą niedoszłych wyborów kopertowych.

W żadnym przypadku nie padło stwierdzenie, że PiS cokolwiek zrobił źle – nawet w przypadku podwyżki ZUS

Nic jednak takiego nie nastąpiło. Żadna ze skompromitowanych postaci nie zniknęła czy nie została odsunięta na dalszy plan. Nawet Jacek Kurski, winny sprowadzenia TVP na dotychczas niewidziane dno, nie został za to nawet delikatnie przez prezesa zbesztany.

Przede wszystkim zaś nie było żadnej refleksji, przeanalizowania własnych win, choćby częściowego przyznania racji krytykom. Owszem, pojawiały się w PiS dość nieśmiałe głosy, że ten lub inny aspekt rządów tej partii nie był może perfekcyjny. Odzywały się osoby takie jak Przemysław Czarnek czy Tobiasz Bocheński. Były to jednak ich indywidualne opinie.

Jarosław Kaczyński bodaj tylko jeden raz całkiem wprost przyznał się do błędu. Było to w styczniu 2024 r. w Kielcach. PiS uznał wówczas, że przez moment opłaca się odpowiadać na pytania zawiedzionych wyborców, i takie właśnie pytanie o podwyższenie składki ZUS w ramach Polskiego Ładu zadał jeden z uczestników spotkania, przedsiębiorca. Prezes PiS oznajmił: „To się okazał po prostu błąd. Przyznaję to. Myśmy błędy też popełniali. I, jeżeli dojdziemy do władzy, to tę sprawę załatwimy". Tę wypowiedź należy jednak uznać za błąd w Matriksie – coś takiego nigdy się już nie powtórzyło. Obowiązujący ton nadał bowiem Kaczyński w październiku 2024 r., podczas VI Kongresu PiS w Przysusze. Tam wygłosił pamiętną „instrukcję" dla działaczy swojej partii: „Nie biadać, nie bić się w piersi, nie przeprowadzać ekspiacji, to nie ma dzisiaj żadnego sensu. To jest tylko działanie na korzyść naszych przeciwników!". Tę wypowiedź zwieńczyły frenetyczne oklaski.

Kolejnym ważnym punktem była kampania prezydencka. W jej trakcie sytuacja zrobiła się ciekawa. O ile wspierający Karola Nawrockiego PiS trzymał się konsekwentnie instrukcji z Przysuchy – pamiętajmy, że prezes wygłosił ją zaledwie miesiąc przed ogłoszeniem kandydatury prezesa IPN – co mogło obciążać ich kandydata, o tyle emancypujący się Nawrocki coraz śmielej sygnalizował swój dystans wobec niektórych elementów polityki prowadzonej przez ugrupowanie Kaczyńskiego. Nie było to oczywiście twarde odcinanie się – w tamtym momencie nie byłoby to rozsądne politycznie, skoro poparcie dla kandydata nie sięgało nawet notowań PiS. Jednak zdanie odrębne w kwestiach takich jak COVID czy Ukraina wybrzmiewało wyraźnie, a tym samym coraz mocniejszy stawał się kontrast pomiędzy postawą Nawrockiego a konsekwentnym kursem PiS na nieprzepraszanie za nic.

W pierwszej turze okazało się, że PiS przestał być po prawej stronie hegemonem. W sumie ponad 20 proc. głosów, które padły na Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna, było wyraźnym sygnałem. Zwycięstwo kandydata PiS niespełna 370 tys. głosów powinno było pobudzić kierownictwo Prawa i Sprawiedliwości do zadania pytania: Czy bardziej te wybory wygrał Nawrocki czy może jednak bardziej przegrał je Trzaskowski? Wiele wskazuje na to, że właściwa jest ta druga odpowiedź. Że bardzo duża grupa wyborców opowiedziała się za Nawrockim nie jako zapowiedzią powrotu PiS do jedynowładztwa i jako za politykiem uosabiającym kurs z lat 2015–2023, ale dlatego, że nie był kandydatem obozu obecnie rządzącego, oraz dlatego, że udało mu się skutecznie wytworzyć

eprasa.pl ad30e406bf

przekonanie, iż nie będzie bezwolnie popierał każdej propozycji i projektu Kaczyńskiego.

I tak lądujemy ponownie w ulubionej przez PiS Przysusze – 28 czerwca tego roku. 76-letni Jarosław Kaczyński jest jedynym kandydatem na prezesa – na siódmą kadencję. Oczywiście zostaje wybrany. To nikogo nie zaskakuje, ale jest znamienne: PiS jest partią ułożoną w taki sposób, żeby nie powstał w niej nigdy naturalny mechanizm wymiany kierownictwa. Wszystko kręci się i opiera na Jarosławie Kaczyńskim, nawet jeśli jego pozycja delikatnie osłabła. To partia jednego człowieka. Nie przez przypadek oczywiście – taka miała być i tak ją ukształtował sam prezes, co oczywiście będzie mieć dramatyczne dla niej konsekwencje, gdy jego zabraknie.

Jak poinformował „Fakt", podczas przeliczania głosów miało dojść do kłopotliwej dla zaangażowanego aktywu partyjnego sytuacji. Wśród przeliczanych – jedynie dla formalności – głosów znalazł się głos na „nie". Na karcie do głosowania był dopisek: „Prawdziwi patrioci uratowali twój zad". Do karty dołączony był manifest, którego autor – działacz PiS od kilkunastu lat – oskarżał Kaczyńskiego m.in. o zmarnowanie potencjału partii oraz o to, że dał się owinąć wokół palca Mateuszowi Morawieckiemu. Trudno tej ostatniej diagnozie odmówić celności. Od mojego informatora dowiedziałem się, że w komisji skrutacyjnej wybuchła panika – jak poinformować prezesa o odstępcy. W końcu jedna z pracujących w komisji pań w bohaterskim porywie zabrała kartę i manifest, po czym wyniosła je w nieznanym kierunku. Dobre samopoczucie Naczelnika uratowano.

Wystąpienie powyborcze prezesa robiło porażające wrażenie, a dawna instrukcja o niebiciu się w piersi bladła przy tej erupcji samozachwytu. Owszem, pozornie Jarosław Kaczyński poświęcił wiele czasu na wyliczanie działań PiS, które przyczyniły się do trwałego spadku notowań tego ugrupowania. Choć nie wszystkie wymienił – nie wspomniał np. o kształcie mediów państwowych.

Jednak w żadnym przypadku nie padło stwierdzenie, że PiS cokolwiek zrobił źle – nawet w przypadku podwyżki ZUS dla przedsiębiorców nie powtórzyła się deklaracja z Kielc. Kaczyński oznajmił, że była to zmiana słuszna, bo likwidowała „degresywność" składki, a żadnemu przedsiębiorcy „nie zmieniała sytuacji ekonomicznej" – tyle że niektórym się nie podobała. I tak było z każdą kwestią: działania były konieczne, słuszne i absolutnie trafne, tyle że jakiejś grupie się nie spodobały. Innymi słowy: ludzie niestety nie dorośli do genialnych poczynań PiS. Tak jak kiedyś nie dorośli do demokracji, skoro nie głosowali na Unię Demokratyczną. Jarosław Kaczyński powiedział to właściwie całkiem wprost pod koniec swojego wystąpienia: „Nie doprowadziliśmy do tego, by nasze społeczeństwo doceniło te osiem lat, kiedy myśmy rządzili".

OSTRZEŻENIE DLA PRAWICY

W szczegółach „rozliczenie" wygląda jeszcze gorzej.

O COVID: „Robiliśmy to, czego oczekiwali lekarze", „Innego wyjścia nie było", „Obroniliśmy gospodarkę", „Nie było żadnej możliwości, żeby podejmować decyzje inaczej".

Gospodarkę to PiS sam niszczył, a lekarzy słuchał wyłącznie tych, którzy namawiali, żeby zamykać jeszcze bardziej i stosować jeszcze większe restrykcje, choć było całkiem wielu takich, którzy mieli odmienne zdanie. Ci jednak byli prześladowani przez samorząd lekarski przy entuzjazmie PiS-owskiego ministra zdrowia, Niedzielskiego.

O Ukrainie: „Później to [relacje z Kijowem] się popsuło i nie popsuło się z naszej winy", „Musieliśmy bronić polskiego rolnictwa, musieliśmy domagać się godnych pochówków dla pomordowanych w ludobójczej akcji na Wołyniu".

Przyczynami złych relacji Polski i Ukrainy były całkowita uległość naszych władz wobec Kijowa i abdykacja z normalnej polityki transakcyjnej. Za „obronę polskiego rolnictwa" PiS zabrał się zaś ze sporym poślizgiem i nieskutecznie. Jeszcze w czerwcu 2022 r. sam Kaczyński oznajmiał, że ukraińskie zboże nie stanowi dla Polski żadnego zagrożenia, a kto twierdzi inaczej, ten gra z Putinem. Passus o domaganiu się godnych pochówków ofiar ukraińskiego ludobójstwa trudno zaś określić inaczej niż jako skrajną bezczelność. Każdy, kto się tej sprawie przyglądał, wie, że poza nieśmiałymi, okazjonalnymi bąknięciami nic takiego nie miało miejsca.

O wpuszczaniu imigracji zarobkowej bez kontroli: „Robiliśmy to, bo tego oczekiwali przedsiębiorcy". Już samo to, że Jarosław Kaczyński oznajmia, iż PiS realizował bezwolnie dezyderaty przedsiębiorców, jest niezwykle zabawne.

Mowa była także o wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji oraz „putinflacji".

Na koniec zaś prezes grzmiał: „Bardzo przestrzegam przed takim myśleniem, że mamy 30 proc., razem z Konfederacją to już jest większość. Nie, żadne 30 proc., musimy dążyć do 40 i więcej!". Była w tym okrzyku całkiem słuszna obawa, że koalicja z Konfederacją może być najtrudniejsza w historii PiS. Dlaczego tak miałoby być – pokazuje samo wystąpienie prezesa. Całkowita i planowana niezdolność PiS do uznania, że jakiekolwiek elementy jego strategii mogły być błędne, wyraźnie powracająca buta, podkreślanie trafności podejmowanych w przeszłości decyzji, radykalnie sprzecznych z linią Konfederacji – to wszystko sprawia, że uznawane za niemal pewne przymierze obu partii wydaje się wcale nie tak oczywiste. Przynajmniej dopóty, dopóki na czele PiS stoi Jarosław Kaczyński.

Mówiąc o tym, że PiS przyniosła szkody epidemia COVID, prezes oznajmił, iż przyczyniła się także do „wzmocnienia pewnych sił na prawo od nas, które przedtem nie odgrywały w naszym życiu publicznym większej roli". Ten lekceważący i arogancki sposób mówienia o potencjalnych przyszłych koalicjantach (Konfederację wymienił prezes z nazwy tylko raz) stawia pod znakiem zapytania koalicyjną zdolność PiS, a przede wszystkim przypomina, że celem Jarosława Kaczyńskiego było zawsze bezwzględne wyduszenie wszelkie politycznej konkurencji, również gdy – jak niegdyś Liga Polskich Rodzin czy potem Suwerenna Polska – wchodzi ona w przymierze z jego partią.

Wniosek dla liderów partii prawdziwej prawicy z tego, jak zachowuje się PiS półtora roku po utracie władzy, powinien być jasny: wiązanie się z tak zachowującym się Prawem i Sprawiedliwością byłoby ze wszech miar ryzykowne – i wizerunkowo, i politycznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

Z Patrykiem Jakim, przewodniczącym Europejskich Konserwatystów w Parlamencie Europejskim
rozmawia Ryszard Gromadzki

Po co nam Polska?

RYSZARD GROMADZKI: Na jaki skutek obliczona jest awantura związana z podważaniem wyboru Karola Nawrockiego na prezydenta, w którą brną Tusk, Giertych, Bodnar et consortes?

PATRYK JAKI: Myślę, że ich pierwszym i głównym celem było anulowanie wyniku tych wyborów. Oni, mówię o Tusku i jego Europejskiej Partii Ludowej, mają już ten wariant przećwiczony w Rumunii. Jest wiele przesłanek, które przemawiają za tym scenariuszem. Po pierwsze, pozbawione podstaw prawnych masowe kwestionowanie działań poszczególnych komisji wyborczych przez rządowego prokuratora generalnego. Dodajmy do tego prawników i układ III RP, którzy forsują pogląd, że tymczasowym prezydentem – do czasu ponownego przeliczenia głosów – powinien być marszałek Hołownia.

Gołym okiem widać, że cała akcja związana z podważeniem wyboru Karola Nawrockiego została zorganizowana z udziałem zaplecza medialnego i różnej maści aktywistów. Sam Tusk lekko zmienił retorykę. Moim zdaniem dlatego, że obserwuje drastyczny spadek notowań Koalicji Obywatelskiej w sondażach. Platforma jest dziś jak „Titanic", na którym wciąż gra orkiestra, ale widać już górę lodową.

To jest jedna hipoteza, moim zdaniem najbardziej prawdopodobna. Jest też inna. Myślę, że w zamyśle Tuska i jego otoczenia to uporczywe podważanie wyboru Karola Nawrockiego ma przygotować grunt do niestosowania się do weta za każdym razem, kiedy nowy prezydent go użyje. Jestem przekonany, że w rzeczywistości nikt z nich nie wierzy, że wybory zostały sfałszowane.

Krótko mówiąc, Platforma wzięła ostry kurs na destabilizację prezydentury Nawrockiego.

Tak, choć myślę, że chodzi tu o coś więcej, czyli pełną destabilizację ustrojową państwa w interesie Niemiec i oligarchii brukselskiej. Trójpodział władzy w Polsce już został zlikwidowany. Symbolem tego stała się była prezes Sądu Najwyższego, pani prof. Gersdorf. Odpowiadając na pytanie dziennikarza Telewizji Polskiej w likwidacji, kto miałby stwierdzić, czy wybory są ważne, skoro dotychczas robił to sąd, odpowiedziała bez cienia żenady, że premier. Trzecia władza chce się zatem zlikwidować, podporządkowując się władzy wykonawczej jak rządzi „ich człowiek", a zabrać całą władzę, gdy rządzą ludzie nie z namaszczenia układu III RP.

Swoją drogą zabawnie brzmią dzisiaj hasła niezależności sądów przy takiej skali ich zależności od układu oligarchicznego III RP, za którym są w stanie przekraczać wszystkie granice „autokompromitacji", z prof. Safjanem na czele, opowiadającym jakieś kocopoły o tym, że jego zdaniem nie ma podstawy do tego, aby przyjmować zaprzysiężenie prezydenta, bo Izba Kontroli jest źle ukształtowana. Tymczasem kilka miesięcy temu, kiedy wszystko wskazywało na to, że wygra Trzaskowski, napisał, że ukształtowanie tej Izby jest bez znaczenia dla zaprzysiężenia prezydenta. Jest to więc prostytucja prawnicza w czystej postaci. I on był jednym z twórców i heroldów doktryny o blokowaniu Polsce pieniędzy ze względów czysto rasistowskich – czyli że my reprezentujmy gorszą kulturę, więc nie możemy wybierać sędziów tak jak Niemcy i Hiszpanie. A teraz wygłosił w TVP w likwidacji, że ma w czterech literach demokrację i wybory Polaków. To on z podobnymi sobie sędziami będzie decydował za was.

> **Zabawnie brzmią dzisiaj hasła niezależności sądów przy takiej skali ich zależności od układu oligarchicznego III RP**

Prawnik, profesor i niby-autorytet wygłosił też tezę, że ma gdzieś prawo. Jego opinia jest wyżej niż konstytucja zatwierdzona w referendum przez Polaków.

Jest tylko jedno uczciwe rozwiązanie. Powołać komisję „panowie, policzmy głosy" z Murańskim na czele. Jak Murański uzna, że wygrał Trzaskowski, profesorowie Safjan z Markowskim uznają wyniki; jak nie, to wyślą Murańskiego do Rumunii, aby się douczył „praworządności" i wrócił.

Druga władza została zlikwidowana wcześniej, bo obecnie rządzący nie respektowali od początku prawa weta ze strony prezydenta Dudy, co przecież jest integralną częścią procesu legislacyjnego i prawa drugiej władzy. W tej chwili mamy w Polsce sytuację, w której nominalnie demokracja obowiązuje, bo wybory prezydenckie się odbyły. Jednak w istocie demokracja w sensie zachodnim, z klasycznym trójpodziałem władzy, w Polsce już nie istnieje. To wielkie wyzwanie, przed którym stoi nowy prezydent.

O konstruktywnej kohabitacji prezydenta Nawrockiego z rządem Tuska można zapomnieć już na starcie?

eprasa.pl ad30e406bf

To na pewno będzie bardzo trudna kohabitacja. Z całą pewnością rząd Tuska będzie robił wszystko, żeby rzucać pod nogi prezydentowi Nawrockiemu kolejne kłody. Poważnie liczę się ze scenariuszem, w którym rządząca koalicja nie będzie respektowała praw konstytucyjnych prezydenta. Znajdą sobie, jak to widać dzisiaj, uprawianą na szeroką skalę prostytucję prawniczą, która im uzasadni wszystko, co będą chcieli przeprowadzić.

To droga do głębokiego paraliżu państwa. Nasi wrogowie mogą zacierać ręce, bo Rzeczpospolita znów nierządem stoi...

To prawda. Niestety, nie bez podstaw historycy wskazują na pewne analogie do czasów saskich, pamiętając, że proces upadku Rzeczypospolitej trwał długo, ponad 80 lat, a u jego źródeł tkwiła niezdolność prawdziwych elit państwa do właściwej i stanowczej reakcji, kiedy widać było raka zżerającego państwo.

Czy kryzys na granicy zachodniej, związany z niekontrolowanym napływem migrantów wypychanych z Niemiec do Polski, może skończyć się upadkiem rządu Tuska?

Sytuacja, którą pan opisuje, prowokuje do postawienia fundamentalnego pytania, które powinni zadać sobie wszyscy Polacy: Czy naprawdę chcemy mieć państwo? Bo to z państwa zrobił taksówki dla niemieckich interesów. Niemcy wpychają nam ludzi, których przyjmujemy bez żadnego sprawdzenia, i upychają po domach dziecka bądź przewożą w głąb kraju z pouczeniem, że raz w tygodniu mają się stawiać na lokalnej komendzie policji. Jak pan myśli, czy ktoś się stawił? To jeden wielki skandal. Przecież to oni zaprosili tych ludzi do Europy, Polacy od początku się temu zdecydowanie sprzeciwiali. Później Berlin wymuszał przez UE i TSUE, żeby wszystkie kraje przyjmowały migrantów. A dzisiaj, kiedy okazało się, że to my mieliśmy rację, my mamy płacić koszty tej operacji?!

Godząc się na niemiecki dyktat, na własne życzenie rezygnujemy z suwerenności...

Nie tylko z suwerenności, lecz także z ludzkiej godności. Jeżeli uznajemy, że jesteśmy niegodni, aby podejmować decyzje dotyczące naszego bezpieczeństwa, w szczególności bezpieczeństwa naszych kobiet, i nie ma w tym żadnej przesady. W każdym państwie, w którym policja publikuje dane na ten temat – w Niemczech, we Włoszech, Francji czy w Szwecji – wynika jasno, że migracja spowodowała wzrost liczby gwałtów. Jeśli nie mamy w sobie nawet tyle honoru, żeby bronić naszych kobiet, żon, córek czy sióstr, to może w ogóle zapiszmy się do Niemiec? Po co nam Polska? To zasadnicze pytanie.

A po co nam Unia Europejska? Przecież bilans strategicznych polityk realizowanych przez Brukselę jest dla Polski destrukcyjny. Czy to nie najwyższy czas na rzetelny rachunek naszego uczestnictwa w Unii i być może decyzję o jej opuszczeniu w imię dobrej przyszłości dla Polski?

Myślę, że jest to niestety bardziej skomplikowane. Na to pytanie nie ma prostej odpowiedzi. Mnie interesuje tylko to, żeby Polska była silna. To, czy jakieś instytucje międzynarodowe temu służą lub nie, powinno podlegać naszej ciągłej ocenie. Nie zgadzam się z poglądem, że obecność Polski w Unii Europejskiej to samo zło. Dzięki obecności w Unii mamy dostęp do wielkiego i bogatego wspólnego rynku i to jest coś, dzięki czemu Polska cały czas zyskuje. Twarde dane gospodarcze nie kłamią.

Największy problem polega na tym, że priorytetem Unii jest integracja polityczna, a nie gospodarcza. Gdyby było odwrotnie, korzyści dla Polski byłyby zdecydowanie większe. Dalej czekamy na otwarcie rynku usług. To powinno być naszym priorytetem.

To pobożne życzenie. Unia wyrywa kolejne obszary suwerenności państwom narodowym i nie zamierza się zatrzymywać.

Niestety, to prawda. Współpraca gospodarcza jest dobra dla tych, którzy potrafią ciężko pracować. A Polacy potrafią pracować bardzo ciężko, są kreatywni. Dzięki temu nasz kraj szybko odrabia dystans do państw „starej Unii". Faktem jest, że integracja polityczna Unii idzie do przodu, ale ciągle nie tracę nadziei, że ta sytuacja może się zmienić. Mam poczucie, mogę się oczywiście mylić, że kierunek polityczny, który determinował dotychczas Unię Europejską, powoli upada.

eprasa.pl ad30e406bf

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

Żeby tak się stało, potrzebna jest szeroka europejska koalicja sił opowiadających się za suwerennością państw tworzących Unię. Do tego jeszcze bardzo daleko.

Oczywiście zwolennicy Stanów Zjednoczonych Europy nadal mają większość. Elementy ich agendy nadal są realizowane. Jednak Parlament Europejski obecnej kadencji znacząco różni się od tego z poprzedniej. Przesunięcie w prawo jest bardzo mocno zarysowane. Wierzę, może na wyrost, że to może być ostatnia kadencja liberalno-lewicowego towarzystwa, które rządzi w Brukseli. Musimy pamiętać, że Unia jest wciąż przestrzenią, która daje szanse na rozwój naszego państwa. Pod warunkiem że będziemy w stanie skutecznie zakreślić naszą agendę. Usługi, ubezpieczenia, sektor AI, chmury etc. Polacy mają wielu zdolnych matematyków czy informatyków. Nasze hasła powinny iść zatem w kierunku większego otwarcia gospodarczego w UE, a zamknięcia politycznych narzędzi uderzających w równość państw w UE, takich jak TSUE.

Na razie priorytetem Polski powinno być zablokowanie umowy Mercosur, która może dosłownie zaorać polskie rolnictwo, a także ocalenie suwerenności energetycznej. Jeśli zamkniemy kopalnie i elektrownie zasilane węglem, to definitywnie ją stracimy.

To celne uwagi. Jeśli chodzi o umowę Mercosur, to prawda, że jej widmo wisi nad nami. Polska ma silny, dobrze rozwinięty sektor rolno-spożywczy, więc musimy zrobić wszystko, żeby nie dopuścić do wejścia tej umowy w życie. Co do energetyki, mamy w ręku ważny atut. Myślę o orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, zgodnie z którym sposób wdrażania przepisów Zielonego Ładu jest niezgodny z polską konstytucją. Wystarczy ten wyrok opublikować, czego Tusk nie chce zrobić, żeby w pełni legalnie uwolnić się od skutków tych złych dla polskiej energetyki przepisów.

Mówię o tym od dawna, również na waszych łamach, że wszystkie decyzje dotyczące polskiego miksu energetycznego miały miejsce z naruszeniem prawa. Powinny być uchwalane jednomyślnie, a były przyjmowane kwalifikowaną większością.

Wrócę do sprawy kryzysu na zachodniej granicy. To, co obserwujemy teraz, to tylko preludium do sytuacji, która będzie miała miejsce po wejściu w życie paktu migracyjnego, co ma nastąpić już w przyszłym roku. Inwazja migrantów wywróci polską politykę do góry nogami?

Jeśli miałoby to pójść w stronę, w którą idzie obecnie, to obawiam się, że moglibyśmy nie poznać za dwa lata własnego państwa. Szwecja przerabia obecnie ten problem. Oni chcieliby go rozwiązać, ale nie wiedzą jak. W rodzinach muzułmańskich rodzi się tam wielka liczba dzieci, które automatycznie nabywają szwedzkie obywatelstwo. Powinniśmy się uczyć na ich błędach.

Będzie koalicja PiS-Konfederacja? Czy obu partiom zbyt daleko do siebie?

Będziemy walczyć o to, żeby rządzić samodzielnie. Dlatego, że im dłużej rządzi Tusk, tym bardziej widać, jak dobrze my rządziliśmy. Proszę pamiętać, że przez osiem lat naszych rządów Polska miała najwyższy wzrost gospodarczy w Unii Europejskiej. Nie było szturmu migrantów na polską granicę zachodnią, bo myśmy Niemcom twardo odmawiali. Oni dobrze wiedzieli, że na ten temat nie ma sensu z nami rozmawiać. A jeśli chodzi o koalicję z Konfederacją, to na pewno będziemy otwarci na różne warianty, jeśli będzie to warunkiem odsunięcia Tuska od władzy.

Mówi pan o pozytywnym bilansie rządów PiS w latach 2015–2023. Jednak wielu wyborców odwróciło się od Prawa i Sprawiedliwości za politykę w czasie pandemii czy kapitulancką postawę premiera Morawieckiego wobec UE.

Popełniliśmy pewne błędy, jak każda władza. Polecam jednak analizę, którą przeprowadził prezes Jarosław Kaczyński na Kongresie. To było szerokie spojrzenie na dwie ostatnie dekady, w których za każdym razem, kiedy PiS był u władzy, Polska stawała się silniejsza we wszystkich wymiarach. Wyraźniej to widać nawet z dłuższej perspektywy – od rozwoju gospodarczego, społecznego, wzrostu wydatków inwestycyjnych, uniezależnienia się od Rosji, bezpieczeństwa do najlepszych diagnoz w sprawie sytuacji w regionie. Jeśli słyszymy dziś pochwały ze wszystkich stron, że „Polska miała rację", to Polska, czyli kto? PO resetująca się z Putinem czy inne partie prawicy, które chciały z nią interesy robić? To obóz PiS miał rację.

Jarosław Kaczyński został wybrany na siódmą z kolei kadencję w roli prezesa PiS. Czy Prawo i Sprawiedliwość nie potrzebuje dramatycznej zmiany pokoleniowej, żeby poprawić swoją wiarygodność w oczach Polaków?

Można krytykować prezesa Jarosława Kaczyńskiego, jednak uczciwie trzeba oddać, że potrafił wygrać kolejne, i to bardzo trudne wybory. Jedyna osoba w III RP, którą tyle razy odsyłano na emeryturę, wskazała czterech prezydentów, czterech premierów. I jestem pewny, że wskaże kolejnego premiera. Polska polityka nie ma obecnie nikogo na jego poziomie.

A zmiany niżej w partii się dzieją. Tyle że – jak to bywa w partii konserwatywnej – mają one bardziej charakter ewolucyjny niż rewolucyjny. W kierownictwie formacji są ludzie z naszego środowiska politycznego, którzy mają mocno krytyczną ocenę Unii Europejskiej.

Do władz PiS wybrani zostali też Przemysław Czarnek i Tobiasz Bocheński. To na pewno przedstawiciele twardej i młodej linii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

Krystian Kratiuk

Nie zmarnować katolickiego mandatu

W trakcie kampanii wyborczej i tuż po niej Karol Nawrocki wiele mówił o wierze oraz Kościele. I to właśnie głosy katolików dały mu zwycięstwo. Już jako prezydent będzie musiał sprostać oczekiwaniom tych wyborców

Karol Nawrocki podczas patriotycznej pielgrzymki kibiców na Jasną Górę, Częstochowa, 11 stycznia 2025 r.
FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

W dniu szczególnym dla wszystkich chrześcijan, gdy obchodzimy Uroczystość Najświętszej Trójcy, skupiamy nasze myśli na gorliwej modlitwie. I właśnie dziś chcę podziękować za Państwa modlitewne wparcie w intencji mojego zwycięstwa w wyborach prezydenckich. Moc Państwa modlitwy czułem każdego dnia kampanii wyborczej. Wasza modlitwa wzmacniała mnie i moją rodzinę. Dzisiaj ja pomodlę się za Was. Z miłością do Polski i Panem Bogiem w sercu" – napisał na swoim profilu na X prezydent elekt Karol Nawrocki w niedzielę Trójcy Świętej, 15 czerwca 2025 r.

Nowo wybrany prezydent z pewnością zdaje sobie sprawę, że wygrał dzięki katolikom, i zapewne zna niepodważalne dowody potwierdzające tę tezę. A jednym z nich jest choćby badanie, którego wyniki opublikował w postaci wykresu Szymon Pifczyk prowadzący stronę internetową Kartografia Ekstremalna. Wykres przedstawia zależność między odsetkiem ludności deklarującej przynależność do Kościoła katolickiego a procentowym poparciem dla Nawrockiego w drugiej turze, w poszczególnych gminach. Można wyciągnąć z niego jasne wnioski – po pierwsze, istnieje bardzo silna dodatnia korelacja między odsetkiem katolików w gminie a poparciem dla Nawrockiego, a po drugie, wyniki sugerują silne spolaryzowanie elektoratu właśnie według kryterium religijnego.

Także według CBOS osoby regularnie uczestniczące w praktykach religijnych zdecydowanie częściej głosowały na Nawrockiego niż na jego kontrkandydata. Wśród wyborców Nawrockiego

eprasa.pl ad30e406bf

aż 52 proc. uczestniczy w praktykach religijnych co najmniej raz w tygodniu, a 15 proc. kilka razy w tygodniu. Dla porównania: wśród wyborców Trzaskowskiego aż 42 proc. w ogóle nie uczestniczy w praktykach religijnych.

Karol Nawrocki napracował się, by zdobyć takie poparcie – wielokrotnie powoływał się na swoją wiarę, chrześcijańskie wartości i tradycję. W przemówieniach podkreślał, że katolicy mają prawo do publicznego zabierania głosu zgodnie z wartościami chrześcijańskimi, co dawało nadzieję na to, że opowie się przeciwko cenzurze z paragrafu „mowa nienawiści". I tego oczekują odeń wyborcy.

W pierwszej turze jednak Karol Nawrocki nie uzyskał poparcia wyższego niż przeciętne sondażowe poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości. Wielu katolickich wyborców poparło wówczas Grzegorza Brauna oraz Sławomira Mentzena. W drugiej turze bardzo często ich wyborcy byli namawiani do poparcia Nawrockiego przeciwko Trzaskowskiemu – głównym argumentem pozostawało to, że kandydat Platformy Obywatelskiej zamierza we współpracy z rządem Donalda Tuska przepchnąć antykatolicką agendę.

I to zadziałało.

WALKA Z AGENDĄ ANTYKATOLICKĄ

Jakie zatem oczekiwania wobec Karola Nawrockiego mają katoliccy wyborcy? Otóż po pierwsze, właśnie zatrzymania antykatolickiej agendy. Pod tym sformułowaniem rozumieć należy sprzeciw wobec wszystkich przejawów walki z Kościołem, katolicką moralnością i wynikającą z niej polską tradycją.

Prezydent zatem nie może pozwolić rządowi na jakiekolwiek majstrowanie przy prawie aborcyjnym. Polskie prawo broni w tej chwili życia dzieci nienarodzonych. Zgodnie z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego gwarantuje to Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, a prezydent będzie stał przecież na jej straży. Mimo jasnego wyroku TK rządząca koalicja już raz próbowała przeprowadzić przez parlament projekt ustawy przeciw obronie życia dzieci nienarodzonych, a jej prominentni przedstawiciele odgrażają się, że zamierzają zrobić to po raz kolejny.

Jednak w tej kwestii prezydent ma jeszcze jedną możliwość, a w przypadku prezydenta katolika – wręcz obowiązek. Może np. zgłosić do Trybunału wniosek o kontrolę konstytucyjności aktów prawa niższego rzędu (np. rozporządzeń). Wiadomo, że na początku swego urzędowania w Ministerstwie Zdrowia Izabela Leszczyna wydała wytyczne dla szpitali, mające na celu poluzowanie dostępu do aborcji, np. ze względu na niezwykle efemeryczne „zagrożenie zdrowia psychicznego matki". To właśnie na tej podstawie w Oleśnicy zabito chłopca tuż przed terminem porodu.

RODZINA KONTRA REWOLUCJA

Już po wyborach prezydenckich przegrany Rafał Trzaskowski zrzucił garnitur oraz wszystkie bardziej symboliczne maski i mimo delikatnego dystansowania się od ruchu LGBT w trakcie kampanii ponownie maszerował na czele warszawskiej parady równości. W tym roku m.in. w towarzystwie satanistów domagających się, tak jak i inni tęczowi paradnicy, legalizacji „związków partnerskich", ewentualnie „małżeństw jednopłciowych" oraz prawa do adopcji dzieci przez pary homoseksualne.

Karol Nawrocki wielokrotnie deklarował natomiast przywiązanie do normalnego modelu rodziny zwanego czasami „tradycyjnym". To również dość klarownie opisuje Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, definiując małżeństwo jako „związek kobiety i mężczyzny", podkreślając, że znajduje się ono pod specjalną ochroną państwa.

Prezydenta Nawrockiego czeka tutaj nie lada bój – nie ma bowiem w dzisiejszym świecie ważniejszego, bardziej symbolicznego tematu, kwestii mocniej popieranej przez międzynarodowe korporacje, wielką finansjerę i organizacje ponadnarodowe. Na promocję dewiacji i homoseksualnego stylu życia wydawane są ogromne pieniądze, a mimo to Polska przez wiele lat utrzymała w tej sprawie normalność.

Zadaniem nowego prezydenta będzie utrzymanie tego status quo, ale nie tylko. Należałoby zająć się bowiem także problemem gorszenia serwowanego polskim dzieciom w szkołach. Chodzi o deformę edukacji przeprowadzaną przez minister Barbarę Nowacką pod płaszczykiem „edukacji zdrowotnej". Ministerstwo Edukacji Narodowej wprowadza zmiany w programie nauczania właśnie poprzez rozporządzenia, a i one mogą być kierowane do Trybunału Konstytucyjnego na zasadzie tzw. kontroli następczej. Wprowadzenie bowiem do polskich szkół permisywnej edukacji seksualnej, choć pod inną nazwą, także może być niezgodne z konstytucją zapewniającą wszak rodzicom prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Jeśli MEN zdecyduje się wprowadzić od kolejnego roku szkolnego obowiązkowy przedmiot o wulgarnej treści, niezgodny z przekonaniami katolickich rodziców, to prezydent powinien natychmiast interweniować.

PAMIĘĆ I TOŻSAMOŚĆ

Wybory prezydenckie są, jak żadne inne, wyborami tożsamościowymi – nie tylko wskazuje się kandydata ze względu na tożsamość, którą zbuduje sobie podczas kampanii, lecz także dokonuje się wyboru ze względu na to, z jaką tożsamością samemu jest się związanym. Przez ostatnie dziesięciolecia w Polsce coraz silniej atakowano i wyszydzano katolików. To zaowocowało u nich na powrót poczuciem pewnej wspólnoty tożsamościowej, a to właśnie polityka antytożsamościowa wytworzyła nowe linie podziału w Europie.

Mianem „identytarystycznych" (od angielskiego „identitiy" – „tożsamość") określa się dzisiejsze ruchy prawi-

Już po wyborach prezydenckich przegrany Rafał Trzaskowski zrzucił garnitur oraz wszystkie bardziej symboliczne maski i mimo delikatnego dystansowania się od ruchu LGBT w trakcie kampanii ponownie maszerował na czele warszawskiej parady równości

eprasa.pl ad30e406bf

cowe na Starym Kontynencie. To one sprzeciwiają się dalszej integracji w ramach coraz bardziej lewackiej Unii Europejskiej, one protestują przeciwko niekontrolowanej masowej migracji, globalizmowi i marksizmowi kulturowemu. I zyskują coraz większe poparcie. Ta sama emocja w pewien sposób obecna jest także wśród wielu polskich katolików – właśnie dlatego, wskutek wlewanej do ich domów za pośrednictwem mediów europropagandy, sprzeciwiają się coraz bardziej otwarcie także masowej migracji. Miejmy nadzieję, że nowy prezydent będzie umiał odczytać te nastroje i rzeczywiście – jak deklarował to w rozmowie ze Sławomirem Mentzenem – uzna liczne błędy spośród niechlubnych dokonań Prawa i Sprawiedliwości.

Należy zachęcać prezydenta, by nie poprzestawał w tej kwestii wyłącznie na symbolach czy przemówieniach. Nie zapominajmy, że prezydent Rzeczypospolitej dysponuje również inicjatywą ustawodawczą i powinien stosować ją jak najczęściej, w imieniu wszystkich tych, którzy zaufali mu w drugiej turze wyborów.

Jednym z tego rodzaju sprawdzianów będzie postawa Nawrockiego m.in. w stosunkach z Ukrainą, tak ważnych dla niemałej części elektoratu Brauna i Mentzena. Wiemy, że ostatniego dnia kampanii Nawrocki odwiedził pomnik ofiar rzezi wołyńskiej w Domostawie – ofiar, które do dziś nie mogły zostać godnie pochowane, a grzebanie zmarłych jest przecież obowiązkiem katolika. Pierwszym symbolicznym gestem w tej sprawie powinno być przyznanie Orderu Orła Białego, niestety pośmiertnie, ks. Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu za jego niezłomną pamięć o naszych rodakach zamordowanych przez Ukraińców. Byłoby to doprawdy symboliczne przejęcie urzędu po Andrzeju Dudzie, który w tej sprawie zawiódł, a w dodatku publicznie upokorzył śp. ks. Tadeusza.

KONIEC ABORCYJNEGO STRASZAKA

Wróćmy jeszcze do aborcji. Zwróćmy uwagę, że tercet Mentzen–Braun–Nawrocki już w pierwszej turze otrzymał ponad 50 proc. poparcia, mimo że każdy z tych kandydatów opowiadał się przeciwko zabijaniu nienarodzonych. Pewną ważną zmianę społeczną widać szczególnie w postawie wyborców Sławomira Mentzena – otóż zdecydowanie zwyciężył on wśród najmłodszych wyborców, otrzymując aż 36,1 proc. poparcia w grupie 18–29 lat (drugi kandydat w tej grupie, Adrian Zandberg, otrzymał 19 proc., więc przewaga jest miażdżąca). Ten oszałamiający wynik lider Konfederacji uzyskał, mimo że przez miesiąc był – jak nikt inny w tych wyborach – intensywnie „grillowany" za sprzeciw wobec abortowania ciąży poczętej w wyniku gwałtu.

To doprawdy olbrzymi przełom, który cała prawica musi zauważyć! I nie, nie mam złudzeń, że ta grupa młodych wyborców to radykalni przeciwnicy aborcji albo ludzie jakoś szczególnie wyróżniający się wśród rówieśników moralnością. Sądzę jednak, że niezwykle istotne pozostaje to, że taki wynik Mentzenowi udało się zdobyć pomimo deklarowanych przez młodych poglądów na temat aborcji. A więc na naszych oczach temat ten przestał działać jako straszak na wyborców przed prawicą! Okazuje się, że można otrzymać świetny wynik w wyborach mimo jednoznacznej deklaracji światopoglądowej, niepopularnej w wielkich mediach.

TE GŁOSY ŁATWO STRACIĆ

Karol Nawrocki zdobył ponad 10,5 mln głosów Polaków mimo – a może właśnie dlatego – że deklarował się przeciwko aborcji i LGBT. Niech nie schodzi z tej drogi. Niech nie próbuje, niczym PiS przed kilkunastoma miesiącami, szukać mitycznego centrum.

Obejmie urząd po Andrzeju Dudzie. Przypomnijmy sobie, jak wielkie nadzieje po latach rządów Donalda Tuska i Ewy Kopacz oraz prezydenturze Bronisława Komorowskiego budziły pierwsze katolickie gesty krakowskiego polityka. Któż nie wzruszył się, gdy Andrzej Duda próbował „ratować" porwaną przez wiatr konsekrowaną Hostię podczas Mszy Świętej polowej, jeszcze jako prezydent elekt. Gdy po latach smuty rządów PO-PSL obejmował urząd w święto Przemienienia Pańskiego, 6 sierpnia 2015 r., wielu chciało widzieć w tym symboliczną przemianę Polski.

Niemało rzeczy ustępującemu prezydentowi się udało, zwłaszcza w sferze symbolicznej. Totalnym ignorantem i człowiekiem złej woli byłby ktoś, kto nie zauważyłby, że w wielu sprawach Duda stanowił olbrzymią jakościową zmianę wobec Komorowskiego. Ale i on uwierzył, że należy szukać czegoś w centrum, aby być „prezydentem wszystkich Polaków", co nie jest konstytucyjnym obowiązkiem głowy państwa, ale wyborczym frazesem ukutym przez Aleksandra Kwaśniewskiego.

Politykę ukraińską w wykonaniu Andrzeja Dudy przemilczę, pisano już o niej wiele na łamach „Do Rzeczy". Jednak warto też pamiętać, że „szukając centrum", prezydent Duda 2 maja 2019 r., podczas wystąpienia z okazji Dnia Flagi RP, ogłosił, iż chciałby wpisać do polskiej konstytucji przynależność do Unii Europejskiej. Już po ponownym zwycięstwie w 2020 r., w czasie protestów proaborcyjnych, bronił decyzji Trybunału, ale jednocześnie skierował do Sejmu ustawę, która… wprowadziłaby możliwość zabijania dzieci w przypadku stwierdzenia u nich wad letalnych. A już za ponownych rządów Tuska, w grudniu roku 2023, Duda podpisał ustawę o finansowaniu in vitro z budżetu państwa…

Dobrze byłoby, gdyby Karol Nawrocki przeanalizował sobie poglądy własnych wyborców i tych, którzy „pożyczyli mu głosy" w drugiej turze. Nie ma co oglądać się na centrum. Nie ma co odsuwać się od swoich postulatów. Głosów Trzaskowskiego czy innego pomagiera Tuska tak łatwo się przecież nie zyska. Jednak głosy katolików można stracić z dnia na dzień.

Bycie „prezydentem wszystkich Polaków" nie jest konstytucyjnym obowiązkiem głowy państwa, ale wyborczym frazesem ukutym przez Aleksandra Kwaśniewskiego

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl ad30e406bf

Dwa konflikty z Episkopatem w tle

Piotr Semka

Każdy konflikt, w którym konserwatywna większość Episkopatu przeforsowuje swoje stanowisko, z racji braku umiejętności większości biskupów do wytłumaczenia społeczności wiernych, o co chodzi w danym sporze, jest gratką dla tych krytyków medialnych, którzy już od lat głoszą, że „polskiego Kościoła nie da się uratować". Właśnie mamy kolejny tego przykład

Formalnie rzecz biorąc, 401. zebranie plenarne Konferencji Episkopatu Polski, które odbyło się między 10 a 12 czerwca br., miało być uwieńczeniem 100. rocznicy powstania archidiecezji katowickiej. Głównymi tematami obrad miały być ponadto katecheza parafialna i status lekcji religii w publicznych szkołach. Takie były założenia, ale dwie inne sprawy spowodowały, że spotkanie biskupów stało się obiektem zainteresowania mediów.

Pierwszą z nich była decyzja biskupów, że to biskup diecezjalny gliwicki Sławomir Oder zostanie szefem komisji do spraw wyjaśnienia przypadków molestowania w Kościele po 1945 r. w miejsce prymasa Wojciecha Polaka – dotychczasowego szefa zespołu przygotowującego statut komisji. Drugim powodem, przez który spotkanie w Katowicach stało się głośne, jest kwestia przyszłości Katolickiej Agencji Informacyjnej (KAI) i ewentualnego włączenia jej do Biura Prasowego Episkopatu Polski.

Dlaczego te tematy wywołały tak ogromną medialną burzę? W tym tekście postaram się wyjaśnić stanowiska i argumenty w obu tych skomplikowanych i złożonych problemach. Jednocześnie warto z góry zaznaczyć, że pisanie o tych sprawach jest niezwykle trudne. W obu tych sporach po jednej stronie znajdują się zwolennicy radykalnych zmian w Kościele, którzy doskonale radzą sobie z nagłaśnianiem swoich racji w mediach liberalno-lewicowych, po drugiej zaś mamy większość biskupów wchodzących w skład Episkopatu, których cechuje „kultura sekretu". Odczuwają oni daleko posuniętą niechęć do mówienia o sporach wewnątrz KEP. A ponieważ sami hierarchowie unikają jasnego i głośnego mówienia o swoich racjach w konflikcie, tym bardziej od komentowania takich sporów uchylają się ci katolicy, dla których główną zasadą jest nieszkodzenie Kościołowi. Niewiele o obu tematach można wyczytać w „Gościu Niedzielnym" czy „Niedzieli". Ta nierównowaga medialna sprawia, że zwolennicy opcji progresywnej wygrywają ze swoim definiowaniem istoty konfliktu nad nieruchawym i milczącym gronem większości biskupów.

SPÓR O PRYMASA POLAKA

O powstaniu komisji do spraw zbadania i ujawnienia szczegółów wszystkich wypadków molestowania małoletnich wiernych w Kościele przez osoby duchowne po 1945 r. Episkopat zadecydował dwa lata temu. Szefem zespołu, który przygotowywał zasady jej działania, został arcybiskup gnieźnieński, prymas Polski Wojciech Polak. Jej działanie miało być finansowanie z zasobów Fundacji św. Józefa, na którą idą pieniądze z datków zbieranych przez wszystkie diecezje. W trakcie prac nad przygotowaniem statutu komisji z jednej strony bardzo aktywne stało się środowisko aspirujące do reprezentowania wszystkich pokrzywdzonych, którego najbardziej rozpoznawalnymi liderami stały się trzy osoby, które same doznały krzywd. Najbardziej znani to Tośka Szewczyk (nazwisko jest pseudonimem), Jakub Pankowiak i Robert Fidura.

Środowisko to w ostatnim czasie rozwinęło bardzo szeroką działalność medialną. W oczach krytyków ich stylu działania aspirują oni do roli swoistej awangardy zmieniania Kościoła od wewnątrz. Część konserwatywnych publicystów katolickich, oceniając stylistykę ich wypowiedzi oraz ogromne wsparcie, które udzielają im media Kościoła otwartego, takie jak „Więź", „Znak" i „Tygodnik Powszechny", zaczęła przyrównywać ich działania do niemieckich inicjatyw wewnątrzkościelnych świeckich typu „Wir sind Kirche". W tym kontekście wśród biskupów pojawiły się głosy, że prymas Polak, szukając osobistej popularności medialnej, dał się zdominować przez grupę byłych ofiar mających ambicję bycia liderami reform w Kościele.

Kolejną kwestią sporną było to, w jaki sposób mająca powstać komisja ma badać sprawy z przeszłości. I tutaj wśród biskupów pojawiły się przestrogi przed powtarzaniem praktyk niezależnej komisji do spraw nadużyć seksualnych w Kościele we Francji (francuski skrót CIASE), także powołanej z inicjatywy francuskiego Episkopatu w 2019 r. Komisja badała przypadki nadużyć w Kościele w latach 1950–2020. Otrzymała pełny dostęp do archiwów kościelnych. W raporcie, który stanowił zwieńczenie prac, ogłoszonym w 2021 r., oszacowano, że ofiarami duchownych katolickich (księży, diakonów lub zakonników) padło aż 216 tys. osób. Dodając do tego ofiary osób świeckich związanych z Kościołem – katechetów, nauczycieli szkół katolickich czy aktywistów kościelnych organizacji młodzieżowych – liczba ofiar takich praktyk

eprasa.pl ad30e406bf

wzrosła do 330 tys. Raport szacował, że między 1950 a 2020 r. w Kościele francuskim operowało od 2,9 do 3,2 tys. osób, które można uznać za drapieżników seksualnych.

Praktyka francuskiej komisji wywołała dużo kontrowersji. Zarzucano jej, że w wielu sprawach z przeszłości w stosunku do osób, które nie żyją i nie mogą się bronić, w imię szczytnego hasła oddania sprawiedliwości ofiarom każde doniesienie i każde oskarżenie uznawano za obiektywny fakt. Co więcej, kontrowersje wywołała też praktyka Episkopatu, który w obawie przed oskarżeniem o niechęć ujawnienia prawdy bez większych zastrzeżeń akceptował modus operandi komisji.

Doświadczenia francuskie skłoniły do wyrażania swoich wątpliwości przez komisję prawną polskiego Episkopatu, której szefem był biskup Sławomir Oder. Niewiele wiemy o polemikach pomiędzy prymasem Polakiem a komisją prawną KEP. Jeden z księży, którzy znają okoliczności tych wymian opinii, wypowiadając się anonimowo, wskazuje: „Prymas Polak wyrobił sobie w dużej części Episkopatu opinię duchownego, który całkowicie uległ stylowi, który narzucają nieformalni liderzy środowiska ofiar. Stawiał on kwestie rozliczenia się z ofiarami ponad zgłaszane sensowne pytania o to, w jakim stopniu można badać historie sprzed osiemdziesięciu czy sześćdziesięciu lat w sytuacji, kiedy zarówno domniemani sprawcy, jak i domniemane ofiary już dawno nie żyją. We Francji większość takich wypadków uznawano za sprawdzone fakty. Komisja prawna jednak wskazywała, że takie arbitralne werdykty mogą być na przykład zaskarżone przez rodzinę postawionych w stan oskarżenia duchownych".

Wszystko to doprowadziło do odwołania przez KEP w Katowicach prymasa Polaka z funkcji szefa zespołu przygotowującego komisję i powołanie w jego miejsce bp. Sławomira Odera. Decyzja ta wywołała ostre ataki tej grupy publicystów, która wzywa do radykalnych zmian w Kościele. Dobrą próbką tonu, w którym pisano o nominacji bp. Odera, był komentarz Tomasza Terlikowskiego: „Konferencja Episkopatu Polski właśnie pogrzebała wiarygodność Kościoła w Polsce. Komisji ds. Pedofilii nie będzie.

401. Zebranie Plenarne Konferencji Episkopatu Polski, 10 czerwca 2025 r. FOT. JAREK PRASZKIEWICZ/PAP

I czas to powiedzieć zupełnie otwarcie. Osoby skrzywdzone, wierni i pewna grupa księży zostali OKŁAMANI przez Episkopat [...]. Biskup Sławomir Oder znany jest z tego, że utopił uczciwe dochodzenie w sprawie Jana Pawła II i jego podejścia do pedofilii. To on – a sam o tym opowiadał – w ramach zbadania tej sprawy zadał pytanie kardynałowi Sodano (który tuszował i krył na potęgę) i kardynałowi Ratzingerowi, a gdy ci powiedzieli, że wszystko było super, to nie badał już nic więcej. Bo po co, skoro kardynałowie mówią, że było OK? Tak wyglądało jego dochodzenie. I można – bez ryzyka większego błędu – przypuszczać, że tak będzie i teraz".

Podobne tony pojawiły się w większości mediów liberalnych. Ale na forach dyskusyjnych zagościły też głosy potępiające tak histeryczne stawianie sprawy. Na Facebooku bloger Bartosz Dulęba tak reagował na tyradę Terlikowskiego: „Tak, decyzja o zmianie personalnej w sprawie Komisji może budzić pytania. I tak, można mieć różne opinie o poszczególnych biskupach. Ale to, co Pan robi, nie jest troską o prawdę, tylko kolejnym odcinkiem Pana osobistego serialu: »Zawiedziony katolik obnaża Kościół«. Zarzut, że biskup Sławomir Oder »jest tak wiarygodny jak Głódź w sprawie trzeźwości«, to już nie jest opinia. To czysta insynuacja. Opiera się na tym, że nie przekroczył on kompetencji, gdy był postulatorem procesu beatyfikacyjnego, i nie zamienił go w dziennikarskie śledztwo. To nie był jego mandat".

Pojawiają się też głosy uznające racje komisji prawnej KEP. Profesor Cezary Kościelniak, zajmujący często głos w sprawach Kościoła, napisał: „W archiwach są sprawy zgłoszeń, które nie zostały rozstrzygnięte. Mając na uwadze, w jaki sposób media podchodziły do takich przypadków, gdzie dziennikarze bardzo swobodnie sobie interpretowali orzeczenie o winie i wzburzeniu o braku kary, to uruchomienie dostępu do takich przypadków oznacza ryzyko pogwałcenia zasady, że bez udowodnienia winy oskarżony jest niewinny. W znakomitej większości przypadków komisja weszłaby w akta osób zmarłych, nie tylko księży, lecz także potencjalnych ofiar. Zmarły nie może się bronić".

CZYM MA BYĆ KAI?

Kolejną sprawą, którą rozpatrywali biskupi na spotkaniu KEP w Katowicach, była kwestia następcy Marcina Przeciszewskiego jako szefa Katolickiej Agencji Informacyjnej. Marcin Przeciszewski ukończy we wrześniu 67 lat. Już od marca

eprasa.pl ad30e406bf

było jasne, że w najbliższych miesiącach opuści on swoje stanowisko. Przeciszewski stworzył KAI w 1993 r. i przez wszystkie te lata razem ze swoim zastępcą Tomaszem Królakiem potrafił zdobyć dla działania agencji szacunek i dobrą opinię nie tylko w Kościele, lecz także wśród świeckich mediów. Tyle że cała działalność KAI zbudowana była w dużej mierze dzięki dyplomatycznym zdolnościom Przeciszewskiego, który potrafił utrzymać balans między pewną niezależnością KAI od Episkopatu a zachowywaniem lojalności wobec Kościoła w sytuacjach kryzysowych. Przeciszewski nie krył, że jego intencją jest, aby zastąpił go na stanowisku szefa Tomasz Królak – postać kojarząca się bardziej ze środowiskiem katolików otwartych. Na taką zmianę nie miała ochoty część biskupów o bardziej konserwatywnych poglądach.

Na dodatek sytuację skomplikowało to, że pełniący od 2020 r. misję rzecznika Episkopatu jezuita o. Leszek Gęsiak postulował włączenie KAI do biur jako składnik całego konglomeratu medialnego Episkopatu, wraz z portalem Opoka.org.pl, co de facto oznaczało podporządkowanie agencji biuru prasowemu KEP. Jakby było mało jeszcze napięcia wokół KAI, po ogłoszeniu, że bp Sławomir Oder zastąpi prymasa Wojciecha Polaka na stanowisku szefa przyszłej komisji do spraw badania nadużyć seksualnych, w bardzo ostrym tonie głos zabrał sam Przeciszewski. Nazwał on posunięcie Episkopatu katastrofalną dla Kościoła decyzją biskupów. Zapowiedział, że osoby skrzywdzone odbiorą tę nominację jako dowód, iż ich sprawy przestały być traktowane poważnie, a w życiu publicznym oznaczać to będzie dalszy i prawdopodobnie dość gwałtowny spadek autorytetu Kościoła.

Osoby znające wrażliwość biskupów, przeczytawszy to oświadczenie, uznały, że Przeciszewski odchodząc, postanowił trzasnąć drzwiami i zademonstrować swoje poparcie dla frakcji progresywnej w Kościele. Czy zrobił to dlatego, że nie wierzył w możliwość przetrwania agencji w dotychczasowej formule bez zwierzchnictwa o. Gęsiaka? Czy też w ogóle uznał, że można odłączyć KAI od Kościoła i stworzyć z niego niezależną, samofinansującą się agencję? Trudno na te pytania odpowiedzieć, ale faktem jest, że tak ostra krytyka KEP w sprawie nominacji dla bp. Odera oznaczała, że na żadne negocjacje nie ma już specjalnie dużo miejsca. W tej sytuacji obwieszczenie Przeciszewskiego, że rezygnuje z funkcji szefa KAI, było już tylko medialną demonstracją.

Ponieważ KAI uznawana jest przez większość świata dziennikarskiego za medialny sukces, natychmiast posypały się głosy poparcia dla Przeciszewskiego. Mało kto jednak zwracał uwagę na to, że Przeciszewski w momencie decyzji biskupów na temat losów agencji porzucił swój dyplomatyczny i unikający kontrowersji sposób kierowania swoją firmą, któremu był wierny przez ostatnie 32 lata. Co się stanie z KAI – nikt nie potrafi dziś orzec.

ZWIASTUNY SZERSZYCH TENDENCJI

Oba opisane powyżej konflikty są symptomami szerszego zjawiska. Radykalizuje się spora grupa publicystów, którzy w przeszłości wydawali się pielęgnować swoje poparcie dla kościelnej „drogi środka". Dystansowali się od archaicznej wizji Kościoła „wielkopańskiego", ale jednocześnie nie szli łatwo w kierunku wizji modernizowania Kościoła polskiego lansowanego przez „Tygodnik Powszechny", „Znak" czy „Więź". Przykłady ewolucji Tomasza Terlikowskiego czy np. Moniki Białkowskiej (niegdyś z „Przewodnika Katolickiego") pokazują, jak byli sojusznicy Kościoła potrafią zamienić się w bardzo ostrych krytyków. Jednakże większość Episkopatu, dostrzegając modernizacyjny nacisk ze strony progresywnych publicystów – stawiających wybór „albo Kościół się zmieni, albo go nie będzie" – instynktownie zwiera szeregi. Tyle że w Episkopacie brakuje osobowości, które potrafiłyby w jasny i czytelny sposób przedstawić swoje stanowisko. Wybór abp. Tadeusza Wojdy na nowego szefa KEP jeszcze wzmocnił to wrażenie.

Tak ostra krytyka KEP w sprawie nominacji dla bp. Odera oznaczała, że na żadne negocjacje nie ma już specjalnie dużo miejsca

Jednocześnie konserwatywni biskupi nie umieją sięgać po dobrych, ale trzymających się środka dziennikarzy, aby zrównoważyć wspomniany już skręt w lewo części tych postaci, które dotąd pomagały polskiemu Kościołowi prezentować swoje racje. W tej sytuacji wygrywa bardzo często rutyna kościelnej hierarchii, którą lansują takie postacie jak o. Leszek Gęsiak. W imię ambicjonalnego triumfu chce on sprowadzić mającą swoją tradycję KAI do roli części biura Episkopatu Polski. A taka propozycja na pewno wzbudzi sprzeciw dotychczasowej czołówki KAI, a także być może rozczarowanie szeregowych dziennikarzy tej agencji. Nie ma ich zresztą zbyt wielu. Obecnie liczbę stałych pracowników agencji ocenia się na 10 osób.

Każdy taki konflikt, w którym konserwatywna większość Episkopatu przeforsowuje siłowo swoje stanowisko, z racji braku umiejętności większości biskupów do wytłumaczenia społeczności wiernych, o co chodzi w danym sporze, jest gratką dla tych krytyków medialnych, którzy już od lat głoszą, że „polskiego Kościoła nie da się uratować". Mówiąc skrótowo: między zwolennikami dostosowania Kościoła do nowoczesności a episkopalnym aparatem urzędniczym zieje pustka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

Wystąpić z WHO

Mariusz Jagóra

Duopol PO-PiS kontrolujący polską scenę polityczną od wielu lat, polaryzujący społeczeństwo pozornymi często różnicami programowymi, w jednej sprawie mówi zgodnym głosem: zarówno Platforma Obywatelska, jak i Prawo i Sprawiedliwość wspierają multilateralizm, godząc się na próby przyznania coraz większych uprawnień globalnego zarządzania organizacjom międzynarodowym, kosztem ograniczania suwerenności państwowej Polski

W Parlamencie Europejskim 6 maja 2025 r. doszło do głosowania nad projektem rezolucji ustawodawczej zachęcającej państwa członkowskie do akceptacji zmian w Międzynarodowych Przepisach Zdrowotnych (IHR 2005) przyjętych 1 czerwca 2024 r. przez Światowe Zgromadzenie Zdrowia WHO. Wszyscy polscy europosłowie, zarówno koalicji rządzącej, jak i partii opozycyjnych (poza trzema posłami z Konfederacji), zagłosowali za rezolucją zobowiązującą państwa członkowskie do przyjęcia poprawek. Uzasadnienie zaleceń przygotował Adam Jarubas z PSL, wyrażając „zadowolenie, że Komisja zakończyła negocjacje w sprawie zmian w Międzynarodowych Przepisach Zdrowotnych i popiera decyzję Rady zachęcającą państwa członkowskie do ich przyjęcia w interesie Unii Europejskiej".

Międzynarodowe Przepisy Zdrowotne zostały po raz pierwszy przyjęte przez Światowe Zgromadzenie Zdrowia WHO w 1969 r. W 2005 r. doszło do jej znaczącej rewizji i aktualizacji, a nowelizacja weszła w życie w 2007 r. Są one wiążące prawnie dla 196 państw, co czyni je jednym z najważniejszych narzędzi do globalnego zarządzania kryzysami zdrowotnymi. Ich celami są zapobieganie, ochrona, kontrola i reagowanie na rozprzestrzenianie się chorób, które mogą stanowić zagrożenie dla zdrowia publicznego na skalę globalną, przy jednoczesnym unikaniu niepotrzebnego zakłócania międzynarodowego ruchu i handlu.

SIŁA NAPĘDOWA RESTRYKCJI

Pandemia COVID-19 pokazała, jak olbrzymi wpływ na życie ludzi mogą mieć te regulacje. Artykuł 31 przepisów zdrowotnych w wersji z 2005 r., odnoszący się do „środków zdrowotnych dotyczących wjazdu podróżnych" w punkcie drugim zastrzega, że jeżeli podróżny, od którego jakieś państwo może wymagać badania lekarskiego, szczepienia lub innej profilaktyki, nie wyrazi zgody na zastosowanie takiego środka, to owo państwo może odmówić mu wjazdu, a także zmusić go do poddania się badaniom lekarskim, szczepieniu lub innej profilaktyce, „w tym izolacji, kwarantannie lub poddaniu podróżnego obserwacji w zakresie zdrowia publicznego". Ten artykuł był w czasie pandemii COVID-19 siłą napędową covidowych restrykcji na całym świecie, motorem wprowadzenia powszechnych testów PCR jako „rzetelnej metody diagnostycznej określającej, czy ktoś jest chory czy zdrowy". Testy napędzały statystyki pandemiczne, pozwalając na wprowadzanie coraz to

eprasa.pl ad30e406bf

FOT. ADOBE STOCK

nowych obostrzeń, nakazów i zakazów oraz wprowadzenie szybkiej ścieżki autoryzacji dla eksperymentalnych szczepionek.

Mimo że WHO nigdy nie zrobiła bilansu zysków i strat wynikających z podjętych w pandemii działań zaradczych, Rada Wykonawcza Światowej Organizacji Zdrowia podjęła decyzję o wprowadzeniu zmian w dotychczasowej wersji IHR oraz rozpoczęła pracę nad nowym dokumentem prawa międzynarodowego – traktatem pandemicznym. Przyjęte w czerwcu ubiegłego roku zmiany w IHR są znacznie mniejsze w stosunku do początkowo planowanych 300 poprawek, w tym tak kontrowersyjnych, jak dążenie do usunięcia zapisów dotyczących „poszanowania godności, praw człowieka i podstawowych wolności ludzi" czy wprowadzenia zapisów zmieniających rolę WHO z organizacji doradczej, która jedynie wydaje niewiążące zalecenia, na organizację, której postanowienia będą prawnie wiążące dla państw członkowskich. Jednak przyjęte poprawki umożliwią globalną rozbudowę ogromnego kompleksu przemysłowego szpitali farmaceutycznych, znacząco zwiększając finansową pozycję WHO, w celu wdrożenia przepisów, które „wzmocnią zdolność państw do reagowania na kryzysy pandemiczne". Obejmuje to zapewnienie dostępu do tzw. istotnych produktów zdrowotnych, które są niezbędne do reagowania na stany zagrożenia zdrowia publicznego o zasięgu międzynarodowym, którymi są pandemie. Produkty te mogą obejmować leki, szczepionki, a także terapie komórkowe i genowe. Mechanizmy finansowania nie tylko będą pozyskiwane i dystrybuowane przez władze krajowe, lecz także obejmą redystrybucję funduszy z krajów rozwiniętych do krajów rozwijających się za pośrednictwem WHO. Oznacza to, że bogatsze państwa będą finansować powstający kompleks gotowości na wypadek pandemii w krajach rozwijających się, pod nadzorem WHO.

SKRAJNY LEWICOWIEC Z ETIOPII

Przyjęte zmiany do IHR należy interpretować nierozerwalnie z traktatem pandemicznym, który został formalnie przyjęty 20 maja 2025 r., podczas 78. Światowego Zgromadzenia w Genewie. Traktat jest próbą wprowadzenia nowej międzynarodowej umowy handlowej, która daje WHO monopol na gromadzenie nowych patogenów zbieranych przez państwa członkowskie i przekazywanych nieodpłatnie do laboratoriów WHO, której szef decydować będzie o ich potencjale pandemicznym. Umowa pandemiczna, łącznie z IHR, tworzy model nieuchronnie powtarzających się „sytuacji kryzysowych związanych z pandemią": publiczne pieniądze uruchomią mechanizmy finansowe, których celem jest szukanie patogenów i ich wariantów, żeby przekazać je do laboratoriów WHO, co pozwoli na ogłaszanie stanów zagrożenia pandemicznego, wprowadzanie restrykcji związanych z zagrożeniem (lockdowny, nakazy maseczkowe itd.) oraz zalecanie obowiązkowych, masowych szczepień preparatami przygotowanymi przez firmy farmaceutyczne przez 100 dni, aż do znalezienia nowego patogenu i powtórzenia cyklu. Układ ten zapewni olbrzymie zyski dla korporacji i inwestorów Big Pharmy, stan ciągłego zagrożenia da nadzwyczajne uprawnienia dla rządów, które ochoczo pozbawią nas kolejnych praw i wolności obywatelskich, „dla większego dobra ogółu".

Nie wiadomo, jakie zdanie w sprawie WHO ma prezydent elekt Karol Nawrocki. Temat ten nie pojawił się podczas kampanii wyborczej

Przez ostatnie dwa lata wiele osób publicznych i organizacji pozarządowych ostrzegało przed zakusami WHO do zwiększenia własnych kompetencji kosztem suwerenności państw członkowskich ją tworzących. Odbyło się wiele konferencji, protestów, wysyłano petycje, pisma, prośby, zapytania, które były ignorowane przez rządzących i lekceważone bądź zamilczane przez media głównego nurtu. WHO, zdominowana przez biurokratów i technokratów, a nie przez kompetentnych pracowników służby zdrowia, jest instytucją, w której występuje olbrzymi konflikt interesów. Jest nadmiernie zależna od kompleksu farmaceutycznego, medycznego i szpitalnego, który praktykuje medycynę mającą na celu maskowanie objawów, a nie rzeczywistą poprawę zdrowia. Będąc pod wpływem producentów i promotorów szczepionek, straciła z oczu swój główny cel, którym jest promocja zdrowia, i położyła nadmierny nacisk na stosowanie szczepionek, które nie poprawiły ogólnego stanu zdrowia miliardów ludzi na całym świecie, a wręcz go pogorszyły. Zalecenia wydawane przez WHO mają kolosalny wpływ na zyski firm z branży farmaceutycznej przez tworzenie lukratywnych rynków zbytu dla ich produktów zdrowotnych w krajach rozwijających się. Dopełnieniem obrazu WHO jest postać jej szefa, Tedrosa Adhanoma Ghebreyesusa, skrajnie lewicowego polityka, który był częścią brutalnego reżimu w Etiopii, oskarżanego przez organizacje praw człowieka o systematyczne tortury, zaginięcia i represje wobec mediów oraz społeczeństwa obywatelskiego. Jego

eprasa.pl ad30e406bf

Siedziba Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) w Genewie FOT. HJBC/ADOBE STOCK

kandydaturę forsowały komunistyczne Chiny i wspierała Fundacja Billa i Melindy Gatesów.

W czasie trwania pandemii COVID-19 WHO dowiodła swojej niekompetencji. Odstąpiła od stosowania bezpiecznych i sprawdzonych leków – protokoły leczenia proponowane przez wielu lekarzy z użyciem istniejących generycznych leków retargetowanych (iwermektyna, hydroksychlorochina) były określane przez WHO jako niedopuszczalne terapie eksperymentalne, szczepienie eksperymentalnym preparatem mRNA, który nigdy wcześniej nie był użyty u ludzi, stało się zaś globalnym schematem leczenia. WHO zlekceważyła dowody pochodzące z krajów o niskich, średnich i wysokich dochodach. Kraje o najniższych dochodach zanotowały 44,9 tys. zgonów przypisywanych COVID-19, podczas gdy kraje o średnim i wysokim dochodzie to łącznie prawie 6 mln zgonów. WHO zignorowała także ogromną liczbę działań niepożądanych w swojej własnej bazie danych i nie wydała ostrzeżeń dotyczących szczepionek genowych. Zarzuty nieudolnego zarządzania pandemią COVID-19, braku reform i uzależnienia od wpływów politycznych niektórych państw członkowskich, takich jak Chiny, spowodowały, że USA podjęły kroki zmierzające do wycofania się z agendy zdrowia ONZ. W styczniu Stany Zjednoczone, jeden z największych darczyńców WHO, wznowiły (uruchomioną za już pierwszej prezydentury Donalda Trumpa, a wstrzymaną przez administrację Joe Bidena) procedurę wyjścia z tej organizacji. Śladem USA poszła Argentyna, podobne zapowiedzi słychać z Węgier i z Włoch. W Polsce poseł Grzegorz Płaczek złożył w Sejmie, w imieniu Konfederacji, projekt ustawy „O wystąpieniu Rzeczypospolitej Polskiej ze światowej Organizacji Zdrowia", w której w art. 1 czytamy: „Wyraża się zgodę na wypowiedzenie Konstytucji Światowej Organizacji Zdrowia, Porozumienia zawartego przez Rządy reprezentowane na Międzynarodowej Konferencji Zdrowia i Protokołu dotyczącego Międzynarodowego Urzędu Higieny Publicznej podpisanych w Nowym Jorku dnia 22 lipca 1946 r.". Konstytucję tę podpisywał w imieniu Polski, wtedy Ludowej, towarzysz Bolesław Bierut.

TYLKO BRAUN I KONFEDERACJA

Czy jest szansa na poparcie projektu ustawy o wystąpieniu Polski z WHO? Jest to bardzo wątpliwe – zarówno wśród polityków koalicji rządzącej skupionej wokół PO, jak i największej partii opozycyjnej (PiS) panują jednomyślność oraz zgoda na oddawanie coraz większych uprawnień międzynarodowym organizacjom pozarządowym. Multilateralizm to pojęcie odnoszące się do współpracy między wieloma państwami lub organizacjami międzynarodowymi w celu osiągnięcia wspólnych celów na arenie międzynarodowej. W praktyce oznacza dążenie do podejmowania decyzji, tworzenia polityk i rozwiązywania konfliktów poprzez niewybieralnych w demokratycznym procesie przedstawicieli instytucji ponadnarodowych, takich jak Organizacja Narodów Zjednoczonych, Światowa Organizacja Handlu, WHO czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy, co osłabia suwerenność narodową państw członkowskich.

Ustępujący z urzędu prezydent Andrzej Duda wygłosił we wrześniu 2024 r., podczas Szczytu Przyszłości na forum ONZ, przemówienie nawołujące do przywrócenia wiary w multilateralizm i wzmocnienia prawa międzynarodowego, bo „pomimo wielu zastrzeżeń do systemu ONZ nie ma lepszej alternatywy dla multilateralizmu". Duda uważa, że „globalne wyzwania są tak złożone, że wymagają zbiorowych działań, ponieważ poszczególne państwa nie mogą stawić im czoła w pojedynkę". W związku z tym zadeklarował, że „kamieniem węgielnym polskiej polityki zagranicznej jest zaangażowanie w multilateralizm z ONZ w jego centrum", że „Polska opowiada się za sprawiedliwym globalnym zarządzaniem i wzmocnieniem współpracy międzynarodowej w ramach kluczowych filarów ONZ – pokoju i bezpieczeństwa, rozwoju i praw człowieka" oraz jest gotowa współpracować, aby osiągnąć ambitne cele Agendy 2030 i w pełni wdrożyć Pakt dla Przyszłości w nadchodzących latach.

Nie wiadomo, jakie zdanie na ten temat ma prezydent elekt Karol Nawrocki – temat WHO nie pojawił się podczas kampanii wyborczej. Spośród wszystkich startujących kandydatów jedynie Grzegorz Braun otwarcie i wielokrotnie opowiadał się za wyjściem Polski z WHO. Przeciwko tej organizacji jest także Konfederacja, która złożyła projekt wspomnianej ustawy o opuszczeniu przez Polskę tej organizacji.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

REPUBLIKA

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Republiki na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny. **Zapraszają Anna Popek i Rafał Patyra.**

Od poniedziałku do piątku

5:30

sobota i niedziela

7:05

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl ad30e406bf

Radosław Wojtas

Jego życiorys to materiał na film. Mógł już powstać kilka lat temu, gdy Robert Kubica po długiej przerwie spowodowanej wypadkiem wrócił do Formuły 1. Polski kierowca wówczas odmówił, bo uznał, że ten scenariusz wciąż się pisze. Nie pomylił się. W wieku 40 lat wygrał 24-godzinny wyścig Le Mans i zapowiada, że ze ścigania się prędko nie zrezygnuje

Robert Kubica w wieku 40 lat wygrał jeden z najbardziej wymagających wyścigów na świecie. Historia polskiego sportowca inspiruje ludzi na całym globie

FOT. PAULO MARIA / ZUMA PRESS / FORUM

Powrót na pole position

Wyścigowa legenda Sonny Hayes daje się namówić na powrót z emerytury, żeby poprowadzić zmagający się z problemami zespół Formuły 1 i zostać mentorem młodego mistrza kierownicy. Przy okazji dostaje szansę, by raz jeszcze stanąć na szczycie". To streszczona do dwóch zdań fabuła filmu „F1: Film" z Bradem Pittem, który niedawno wjechał na ekrany kin. Niczego nie ujmując filmowi ani jego scenarzyście Ehrenowi Krugerowi (m.in. „Top Gun: Maverick", „The Ring" 1 i 2, „Transformers 3"), kinowa historia Sonny'ego Hayesa w porównaniu z historią Roberta Kubicy to najlepsze potwierdzenie tego, że to życie pisze najlepsze scenariusze.

W grudniu ubiegłego roku Robert Kubica świętował 40. urodziny. W czerwcu tego roku – jeden z największych w swojej karierze sukcesów sportowych: zwycięstwo w 24-godzinnym wyścigu Le Mans w najbardziej prestiżowej klasie Hypercar. Polak był najstarszym kierowcą w swoim zespole, jechali z nim dwaj 25-latkowie: Chińczyk Yifei Ye i Brytyjczyk Phil Hanson. Każdy z nich mógł spędzić za kółkiem ferrari jednorazowo nie więcej niż cztery godziny, a w całym wyścigu – maksymalnie 14. Kubica jechał najdłużej ze swojego zespołu – 10 godzin – i pokonał najwięcej, bo 44 proc. okrążeń.

– Już w 2021 r. powiedziałem, że moim celem jest zwycięstwo w Le Mans. To jeden z najtrudniejszych i najbardziej wymagających wyścigów na świecie, a tegoroczna stawka w klasie Hypercar była, moim zdaniem, najmocniejsza od 20 lat. To pokazuje wagę tego sukcesu – powiedział Robert Kubica podczas spotkania z mediami. – Otrzymałem mnóstwo gratulacji. Nawet nie sądziłem, że tyle osób ma mój numer telefonu! To tylko pokazuje znaczenie wyścigu Le Mans, który jest ważny nie tylko dla fanów motorsportu, lecz także dla wszystkich fanów prawdziwych sportowych emocji – dodawał.

PRZERWANA KUBICOMANIA

Sukces w Le Mans, który stawiany jest na równi, a przez niektórych komentatorów nawet wyżej niż dotychczasowe osiągnięcia Kubicy w F1, jest czymś, co po koszmarnym wypadku z 2011 r. wydawało się dla Polaka nieosiągalne. Jego kariera zapowiadała się fenomenalnie. Zaczynał od kartingu w wieku sześciu lat. Miał do tego dryg. Zwyciężył już w pierwszym oficjalnym starcie. W ciągu trzech lat sześciokrotnie zdobył tytuły mistrzowskie w różnych kategoriach wiekowych.

W wieku 12 lat przeprowadził się do Włoch. Jego ojciec musiał zaciągnąć kredyt, aby syn mógł się ścigać. Na nowym podwórku odnalazł się szybko. Już rok po przeprowadzce jako pierwszy w historii kierowca zagraniczny został juniorskim mistrzem Włoch. Wywalczył również wicemistrzostwo Europy. W roku 2000 rozpoczął starty jako senior, ale niebawem skończył przygodę z kartingiem, bo już od 2001 r. przeszedł do Europejskiego Pucharu Formuły Renault 2000. W kolejnych latach zmierzał konsekwentnie w kierunku F1, poprzez Formułę 3 (2003–2004) i Formułę Renault 3.5 (2005). W sezonie 2006 Kubica został trzecim kierowcą zespołu BMW Sauber, a pierwsze kilometry jako kierowca

eprasa.pl ad30e406bf

testowy F1 przejechał na torze Catalunya w Barcelonie 25 stycznia 2006 r.

Wielki debiut to 6 sierpnia 2006 r. w Grand Prix Węgier. Pojechał na tym samym torze, na którym przed laty jako 12-latek zobaczył na żywo pierwsze w życiu Grand Prix F1. – Było to jedyne Grand Prix, jakie obejrzałem na żywo. Zawsze mówiłem, że nie lubię oglądać Formuły 1 i następnym razem pojawię się na torze jako kierowca – wspominał przed tamtym startem. Zaczął jeździć regularnie jako drugi kierowca BMW Sauber.

W coraz to większej liczbie polskich domów przełączano w weekendy telewizory na wyścigi F1. Fenomen Roberta Kubicy zaczęto porównywać do fenomenu Adama Małysza. Wróżono, że tak jak Małysz wypromował skoki narciarskie, tak Kubica wypromuje motorsport. Kibice wstrzymali oddech 10 czerwca 2007 r. Podczas Grand Prix Kanady Kubica wypadł z toru i roztrzaskał bolid o betonową barierę przy prędkości 230 km/h. Koziołkował, uderzył w bandę po drugiej stronie toru. Zdarzenie wyglądało dramatycznie, ale Polak wyszedł z niego bez większych obrażeń, 11 czerwca opuścił już szpital. Rok później na tym samym torze wygrał jedyne w karierze Grand Prix F1.

Od sezonu 2010 Robert Kubica był kierowcą Renault. W przerwach zimowych startował w rajdach. W roku 2011 Polak był już związany przedwstępną umową z zespołem Scuderia Ferrari, ale w jego barwach nigdy nie pojechał. 6 lutego 2011 r. uległ wypadkowi podczas pierwszego odcinka specjalnego rajdu Ronde di Andora. Jego skoda Fabia S2000 Evo2 uderzyła w barierę, która wbiła się do środka i przygniotła kierowcę. Pilot – Jakub Gerber – wyszedł z auta o własnych siłach. Stan Kubicy był krytyczny.

POWRÓT NA SZCZYT

Przeżył, ale wypadek zostawił trwałe ślady. Najpoważniejsze w zmiażdżonej prawej ręce. Rozważano jej amputację. – Ogólne obrażenia były poważne i znajdował się w stanie krytycznym, zagrażającym życiu. Kiedy dotarłem na miejsce, sytuacja się ustabilizowała i podjęliśmy próbę ratowania ręki. Operacja była niezwykle skomplikowana, zaryzykowaliśmy i wszystko się udało. Byłem optymistą, tym bardziej że Kubica pokazał niezwykłe pokłady siły i regeneracji. Po latach widać efekty tej pracy – wspominał prof. Igor Rossello, który zajmował się polskim kierowcą.

W wieku 12 lat przeprowadził się do Włoch. Jego ojciec musiał zaciągnąć kredyt, aby syn mógł się ścigać

Ręka do dziś nie jest w pełni sprawna, ale jest sprawna na tyle, że Kubica może się ścigać i wygrywać. – Moja funkcjonalność prawej ręki jest dużo bardziej ograniczona w życiu codziennym niż na torze, kiedy prowadzę auto. Tak naprawdę to jest siła naszego mózgu, umysłu i ciała. Przez te kilkanaście lat już zapomniałem, jak to było przed wypadkiem – powiedział niedawno Kubica w wywiadzie udzielonym kanałowi youtube'owemu Hi_5. – Byłem w jednej klinice. Jeden z zespołów Formuły 1 mnie wysłał i zrobiono mi naprawdę dużo takich ćwiczeń na dokładność, na precyzyjność, na szybkość. No i okazało się, że moja lewa ręka była 30 proc. szybsza i dokładniejsza niż najlepszy wynik kierowców tej kliniki, a mieli paru kierowców Formuły 1 – dodawał.

Do ścigania się po wypadku wrócił szybko i w wielkim stylu, wygrywając już pierwszy rajd. Jeździł m.in. w WRC2 (mistrz świata w sezonie 2013) i WRC. Do F1 wrócił w 2018 r. jako kierowca rezerwowy i rozwojowy zespołu Williams, rok później – wyścigowy. W 2021 r. zaczął startować w wyścigach długodystansowych. Zdobył Mistrzostwo Europy ELMS. Wówczas 24 Le Mans w klasie LMP2 przegrał na ostatnim okrążeniu z powodu awarii. W 2025 r. fetował zwycięstwo w klasie Hypercar.

– Największą bitwą, mogę to tak określić, bo to był najgorszy okres w moim życiu, było to, że budziłem się i moja głowa nie akceptowała mojego ciała. Sporo wtedy pracowałem nad samym sobą, sporo błądziłem. Przede wszystkim musiałem zaakceptować coś, czego nie umiałem wcześniej. Że muszę zrobić pewną rzecz, ale nie tak samo jak wcześniej, bo teraz już nie potrafiłem. Choćby zawiązanie rano butów, prosta czynność, ale ja tego nie mogłem zrobić. Początkowo ułatwiałem sobie życie, nie zawiązując butów. Z czasem próbowałem to robić, ale tylko wtedy, gdy czułem się pewnie – mówił Robert Kubica w jednym z wywiadów po Le Mans 2025. W innej rozmowie, w kontekście ludzi, którym jego historia dawała nadzieję w najtrudniejszych, nie tylko zdrowotnych momentach, powiedział: – Nawet jeśli tylko 10 proc. – a nie widzę powodu, dla którego ludzie mieliby mnie okłamywać i przesadzać – z tego, co usłyszałem przez ostatnie dwa–trzy dni, jest prawdą, to cieszę się, że moja historia może pomóc ludziom, którzy nie interesują się motorsportem.

POTENCJAŁ

Instytut Monitorowania Mediów policzył, że tylko w ciągu trzech dni po Le Mans publikacje o Kubicy w mediach klasycznych „wygenerowały zasięg wynoszący blisko 90 mln, o wartości reklamowej ponad 14 mln zł. W mediach społecznościowych, dzień przed zwycięstwem Kubicy i tuż po nim, ukazało się niemal 15 tys. postów i komentarzy. Sponsor główny, Orlen, był widoczny w ponad 1 tys. przekazów medialnych […]. Zasięg medialny tych materiałów to blisko 34 mln, a wartość reklamowa – 4,7 mln zł". Jest zatem w Robercie Kubicy nie tylko potencjał sportowy, lecz także reklamowy.

Czynne ściganie się w F1 jest mimo wszystko scenariuszem mało prawdopodobnym, ale powrót w innej roli jest możliwy. Łukasz Kuczera, dziennikarz WP Sportowych Faktów przypomina, że w 2023 r. Ferrari potrafiło zorganizować Antoniowi Giovinazziemu prywatne testy bolidem F1 w formie „nagrody" za wygraną w 24h Le Mans. A poza tym wskazuje: „Z padoku docierają sygnały, że niemal każda ekipa ma gigantyczne problemy ze zrozumieniem rewolucyjnych regulacji i opracowaniem bolidów nowej generacji. Kubica w roli kierowcy inżyniera stanowiłby wartość dodaną". – Nigdy nie mów nigdy. Formuła 1 jest królową motosportów – stwierdził Kubica w rozmowie z Hi_5. – Mógłbym wrócić z kaskiem, ale w innej roli. Formuła 1 się zmieniła, rola kierowcy testowego praktycznie już nie istnieje, dlatego też skupiałem się na wyścigach długodystansowych – dodawał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

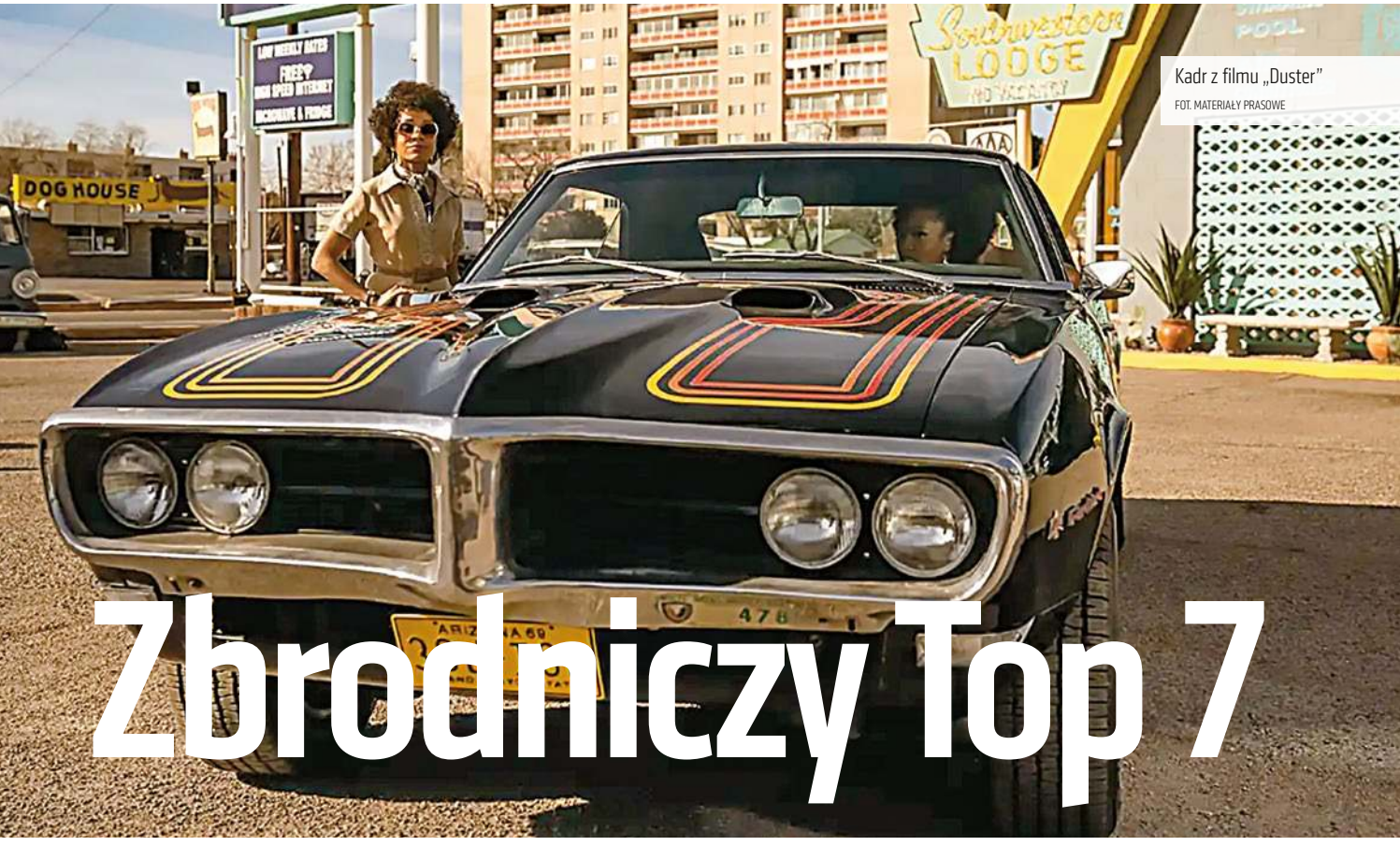

Kadr z filmu „Duster"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zbrodniczy Top 7

Piotr Gociek

Subiektywny przegląd najciekawszych kryminalnych premier lata 2025 w streamingu

Miała to być dziesiątka najciekawszych kryminalnych produkcji na lato 2025, ale gazeta nie jest z gumy, a poza tym o dwóch dobrych propozycjach („Departament Q" i „Ocaleni") zdążyłem już wcześniej napisać osobno, a o kolejnej („Pod przykrywką") napiszę za tydzień. Zatem oto subiektywny przewodnik po kryminalnych premierach wakacji na małym ekranie. W porządku alfabetycznym. Stabilnego przesyłu danych życzę wszystkim streamingującym!

„DUSTER", Max

Doświadczony producent, reżyser i showrunner J.J. Abrams sięga po jedną z gwiazd, które wylansował w serialu „Lost". Tym razem Josh Holloway gra Jima Ellisa, mistrza kierownicy pracującego dla przestępczej rodziny Saxtonów z Arizony. Saxtonów tropi zaś pierwsza w dziejach FBI czarna agentka Nina Hayes (Rachel Hilson). Akcja rozgrywa się w roku 1972, a serial stylizowany jest zarówno na mainstreamowe produkcje telewizyjne z tamtej dekady, jak i na popularne w owych latach niezależne kino blaxploitation.

Tytułowy duster to model samochodu (1970 Plymouth Duster), który po mistrzowsku prowadzony jest przez Ellisa – osobnika, który nie dość, że pracowity i lojalny, to jeszcze potrafi uciec każdej samochodowej pogoni. Sympatyczny Ellis ma ojca, który też drzewiej parał się zajęciami mało legalnymi, no i przede wszystkim szefa, którym jest sędziwy, lecz wciąż krzepki Ezra Saxton (Keith David). Świat serialu Abramsa zaludniają postacie mocno przypominające barwnych bohaterów z powieści kryminalnych Elmore'a Leonarda, czasem dostajemy wisielczy humor spod znaku kina braci Coen. Wszystko to (plus niezłe dialogi) sprawia, że ogląda się ten serial dobrze, choć bywa przygnieciony dydaktyzmem (nieustanne przypominanie o systemowym rasizmie w FBI i trudnym losie agentów outsiderów – z czarnoskórą Niną Hayes współpracuje bowiem równie mocno jak ona sekowany chłopak z plemienia Navajo). ★★★★☆☆

„DYM" („SMOKE"), Apple TV+

Po tym serialu obiecywałem sobie w wakacje najwięcej, bo twórcą i scenarzystą „Dymu" jest Dennis Lehane – nietuzinkowy autor powieści kryminalnych i thrillerów, m.in. serii z Patric-

eprasa.pl ad30e406bf

kiem Kenziem i Angelą Gennaro. Jego powieści zamieniali w dobre kino znani reżyserzy, wystarczy wspomnieć „Rzekę tajemnic" Clinta Eastwooda czy „Wyspę skazańców" Martina Scorsese. W ostatnich latach maczał palce w scenariuszach dwóch serialowych ekranizacji prozy Stephena Kinga („Pan Mercedes" i „Outsider"), ale przede wszystkim wymyślił i napisał świetny miniserial kryminalny „Black Bird" z Taronem Egertonem w roli głównej.

Na planie serialu „Dym" panowie spotkali się ponownie: Lehane rzecz wymyślił (z inspiracji prawdziwą historią), napisał i współprodukował, Taron Egerton znów zagrał główną rolę. Tym razem jest to były strażak Dave Gudsen, specjalizujący się w dochodzeniach w sprawie podpaleń – zwłaszcza seryjnych. Z pomocą przychodzi mu detektyw Michelle Calderon, policjantka zesłana do zapomnianego przez Boga i ludzi wydziału, bo uwikłała się w romans z przełożonym.

Czy Lehane i Egerton dowieźli? Nie do końca. Robota aktorska jest dobra, nawet bardzo dobra, zwłaszcza że ekipę uzupełniają Greg Kinnear i John Leguizamo. Atmosfera gęstnieje, sceny z ogniem w rolach głównych są przerażające (zwłaszcza te w koszmarach sennych naszych bohaterów), jednak opowieść rozpada się na dwie równoległe historie, które są ze sobą ściśle związane, a jednak do siebie nie przystają. Śledztwo Gudsena i Calderon emocjonuje, bohaterowie mają własne traumy do przezwyciężenia, ale wątek z pisarskimi ambicjami głównego bohatera jest zupełnie niepotrzebny, służy jedynie wprowadzeniu efekciarskich słów komentarza zza kadru. Z kolei wątek podpalacza, wyalienowanego i poniżanego, najciekawszy jest tam, gdzie zamienia się w małomiasteczkową odpowiedź na „Taksówkarza" Scorsesego. Zdarza się to jednak za rzadko. Milcząca wściekłość grającego tę rolę Ntare Guma Mbaho Mwine'a jest jednak godna uwagi. ★★★★☆☆

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„KSIĘGOWY 2" („THE ACCOUNTANT 2"), Amazon Prime

„Błaha rozrywka, ale nakręcona ze sporą elegancją" – pisałem o thrillerze „Księgowy" po jego polskiej premierze („Do Rzeczy" nr 13/2017). Był to film przedziwny – do połowy pasjonująca historia o genialnym matematyku pracującym jako księgowy mafii, a od połowy mocno odrealnione kino akcji, w którym okazuje się, że cichy Ben Affleck nie tylko jest maszyną do zabijania, lecz także ma brata, którego umiejętności są jeszcze bardziej śmiercionośne.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W tym roku ta sama ekipa serwuje nam film „Księgowy 2" i jest to – uwaga! – rzecz lepsza od jedynki. Może dlatego, że nie tracimy już czasu na przedstawianie bohaterów i ich nadmiernie skomplikowanych korzeni, tylko od razu przechodzimy do konkretów. A te są następujące: braci łączą siły, by wyjaśnić zabójstwo starego przyjaciela rodziny (J.K. Simmons), i trafiają w sam środek kłopotów z zabójcami do wynajęcia, meksykańskim kartelem, przemytnikami imigrantów oraz siatką sutenerów wykorzystujących prostytutki przymuszane do posłuszeństwa szantażem (bandyci trzymają pod kluczem ich dzieci).

Brzmi to wszystko jak fabuła taniego thrillera klasy B, ale „Księgowy 2" nie był tani (80 mln dol. budżetu), jest za to zabawniejszy i bardziej emocjonujący od części pierwszej. W dużej mierze dzięki charyzmie Bena Afflecka i Jona Bernthala w rolach głównych oraz dzięki temu, że twórcy serii (będzie i trzeci film), czyli scenarzysta Bill Dubuque i reżyser Gavin O'Connor, wyciągnęli wnioski z sukcesu franczyzy „John Wick". I zamiast trzymać się twardego realizmu, konstruują mocno odrealnione uniwersum, w którym autystyczne dzieciaki nie tylko wyrastają na kilerów, lecz także zarządzają czymś na kształt szkoły dla uzdolnionych mutantów profesora Xaviera z serii „X-Men" i są w stanie, nie ruszając się z domu, wykonać niemal każde zadanie. ★★★★☆☆

„ODLICZANIE" („COUNTDOWN"), Amazon Prime

Zaginiony odległy kuzyn serialu „24 godziny" (a dokładnie drugiego sezonu tego serialu). Tyle że w miejsce agenta Jacka Bauera dostajemy siedmiu wspaniałych – to najlepsi (lub najbardziej krnąbrni) przedstawiciele rozmaitych rządowych agencji pod wodzą specjalnego agenta FBI Nathana Blythe'a. Zwołana w trybie nagłym grupa uderzeniowa prowadzi śledztwo w sprawie skorumpowanego celnika, które szybko zmienia się w pogoń za terrorystami, którzy przemycili do USA materiały radioaktywne. Czy uda się ich schwytać, zanim w Los Angeles odpalona zostanie bomba atomowa? Będą mieli na to 13 odcinków.

Serial Dereka Haasa (twórca sukcesu serii „Chicago Fire", „Chicago P.D.", „FBI: International") to robota w stylu bardziej telewizyjnym niż streamingowym, to znaczy gładka i płytka jak produkcje typu „CSI". Szkielet fabularny przypomina grę wideo:

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

główną misją jest odnalezienie gości od atomówki, ale aby to zrobić, trzeba w każdym odcinku wykonać misję poboczną: a to przemycić ciężarówkę z Meksyku, a to sfingować ucieczkę z więzienia, by wyciągnąć z bandziora potrzebne informacje. Głupiutkie są retrospektywy rozgrywające się na Białorusi, choć oczywiście pomysł obsadzenia bandziorów z kraju Łukaszenki w roli czarnych charakterów pochwalam jak najbardziej. ★★★☆☆☆

„SQUID GAME" (SEZON 3), Netflix

Fantazja o krwawych igrzyskach śmierci, w których biorą udział zadłużeni po

eprasa.pl ad30e406bf

uszy desperaci, znalazła swój finał. Czy satysfakcjonujący? Chyba tak, ale jako że ludzka chciwość, zawiść, głupota i egoizm są wieczne, to nie mogą dziwić pozostawione w ostatniej scenie ostatniego odcinka uchylone drzwi do amerykańskiej kontynuacji „Squid Game".

Sezon trzeci jest tak naprawdę drugą połową sezonu drugiego – rozdzielono po prostu kolejnych 13 odcinków na dwie części. Siedem wyemitowano w grudniu 2024 r., pozostałych sześć – w czerwcu 2025 r. Stanowią jednak jedną fabularną całość. Przypomnijmy: trzy lata po wygraniu morderczej gry Gi-Hun powraca na wyspę zdeterminowany, by położyć kres krwawej zabawie. Jego sojusznikiem jest policjant Jun-Ho, ten sam, który zinfiltrował wyspę w pierwszym sezonie i postrzelony przez własnego brata spadł z klifu do morza. Bogaci i wpływowi organizatorzy podziemnej masakry wiedzą o planach domorosłych mścicieli, grają więc z nimi w kotka i myszkę. W finale drugiego sezonu dostaliśmy dramatyczne zawieszenie akcji: rebelia wzniecona przez Gi-Huna została stłumiona.

W kontynuacji pierwszoplanowymi postaciami stają się dwie kobiety: tajemniczy strażnik numer 11 (uciekinierka z Korei Północnej, która znajduje własny powód, by zerwać się ze smyczy organizatorom gry) oraz gracz 222, czyli ciężarna Kim Jun-hee, która urodzi dziecko na arenie rozgrywek „Squid Game". Mimo wysiłków Gi-Huna i Jun-Ho kolejna edycja gry dobiegnie końca, co oznacza, że będzie trzeba się pożegnać ze sporą liczbą znajomych twarzy. Na szczęście nie tylko wśród graczy.

„Squid Game" w tej odsłonie – szczególnie w trzech ostatnich odcinkach – przypomina, jak ponurą jest przypowieścią. Owszem, ci, którzy organizują igrzyska śmierci, to potwory. Ale i ci, którzy postawieni są w sytuacjach skrajnych – czyli gracze – rzadko zasługują na współczucie. Częściej okazują się okrutnikami bez skrupułów, wciąż zżeranymi marzeniem o złotym cielcu (który przecież dosłownie wisi pod sufitem mieszkalnej sali i wypełniany jest banknotami po każdej rundzie rozgrywek). Wszak zgodnie z regulaminem w każdej chwili mogą zrezygnować. A jednak tego nie czynią. ★★★★☆☆

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„STREFA GANGSTERÓW" („MOBLAND"), SkyShowtime

Tom Hardy stworzony jest, by grać brytyjskich twardzieli, i kiedy przeprowadza z ludźmi, których ma pobić rozmowy wychowawcze, wierzymy mu bez mrugnięcia okiem. „Teraz jadę na pierwszym biegu. Naprawdę chcesz mnie zobaczyć, jak wrzucę szóstkę?". W serialu „Strefa gangsterów" Hardy wciela się w rolę Harry'ego Da Souzy, pracującego jako gość do specjalnych poruczeń dla kryminalnej rodziny Harriganów. Głową klanu Harringanów jest Conrad (kapitalny Pierce Brosnan), a szyją jego żona Maeve (równie dobra Helen Mirren), manipulująca nim wytrawnie, niczym współczesna lady Makbet. Sama obsada jest więc tu pięciogwiazdkowa, a to nie koniec atrakcji: „Strefa gangsterów" to serial Ronan Bennett, ale przy walnym udziale Guya Ritchiego, specjalisty od postmodernistycznych brytyjskich kryminałów.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dostajemy więc miks amerykańsko-brytyjski (rzecz powstała na zamówienie Paramount+), mniej zakręcony niż „Porachunki", ale dużo ciekawszy niż standardowe kryminalne produkcje z USA. Choć na pozór jest to kolejna opowieść o rywalizujących w półświatku Londynu gangach, to tak naprawdę najważniejsze jest to, co dzieje się w rodzinie Harriganów, gdzie trwa niewypowiedziana, cicha wojna o… no właśnie: sukcesję czy zniszczenie klanu? Wiele w tym przewrotności i okrucieństwa z „Gry o tron", pobrzmiewają nuty szekspirowskie. Da Souza w wersji Toma Hardy'ego to ktoś w rodzaju Raya Donovana z głośnego serialu Ann Biderman. Z jednej strony człowiek rodziny, człowiek honoru; z drugiej – maszyna do krzywdzenia ludzi. Dziesięć odcinków pierwszego sezonu wciąga błyskawicznie, wiadomo już, że zamówiono drugi sezon. ★★★★★☆

„TO MIASTO JEST NASZE" („THIS CITY IS OURS"), Max

To samo co powyżej, tylko trochę inaczej: serial Stephena Butcharda to dzieło wyłącznie brytyjskie, nakręcone oryginalnie dla BBC One. Butchard zdobył uznanie (słusznie) za świetną adaptację powieści historycznych Bernarda Cornwella, czyli „Upadek królestwa". Teraz zabiera nas na ulice Liverpoolu, gdzie króluje przestępcza rodzina Phelanów. Jej głową jest Ronnie Phelan, którego gra Sean Bean.

Phelanowie planują rozszerzenie swego narkotykowego imperium, w czym pomóc mają zarówno zacieśnienie kontaktów z zamorskimi dostawcami towaru, jak i dojechanie lokalnych konkurentów. Na tym tle rozgrywa się walka o wpływy. Starzejący się Ronnie prędzej czy później przekaże kontrolę nad interesami kolejnej generacji. Na koronę ochotę mają zarówno jego syn, Jaimie, jak i nienależący do rodziny, ale zaufany przyboczny Ronniego, niejaki Michael Kavanagh (najciekawsza w serii rola, którą dostał James Nelson-Joyce). Sam fakt, że akcja rozgrywa się w Liverpoolu, jest mocno odświeżający, reszta to po prostu solidna robota. Na tyle solidna, by podobnie jak „Strefa gangsterów" ośmioodcinkowy serial „To miasto jest nasze" doczekał się zielonego światła dla drugiego sezonu natychmiast po ciepłych recenzjach sezonu pierwszego. ★★★★☆☆

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ad30e406bf

Żydożerca Gerwazy

Krzysztof Masłoń

Aktorski talent Daniela Olbrychskiego sprawił, że z ekranizacji naszej narodowej epopei dokonanej przez Andrzeja Wajdę bardziej wbił nam się w pamięć Gerwazy niż tytułowy bohater „Pana Tadeusza", z Hrabią, Wojskim i Podkomorzym wziętymi pospołu. No może jeszcze Andrzej Seweryn jako Sędzia dał niezły popis, ale i tak pełnię swego kunsztu artysta ten zademonstrował, dopiero domagając się, by przyp…….. PiS-owi, bo na to zasłużył. Odnośnie do Daniela Olbrychskiego to na absolutne wyżyny wspiął się już ćwierć wieku temu, na wystawie w Zachęcie, płatając szablą fotosy aktorów grających nazistów (w tym swój własny), co część opinii publicznej uznała za czyn wysoce patriotyczny, część jednak poważnie zaczęła się wtedy troszczyć o równowagę psychiczną ikony polskiego aktorstwa. Zupełnie niepotrzebnie, zważywszy na całkiem niedawne wypowiedzi 80-letniej gwiazdy naszej kinematografii odnoszące się do wyborów prezydenckich.

Aktor, choćby najsłuszniejszy i demokrata całą gębą, wciela się jednak w różne role i przychodzi mu niekiedy grywać postaci z całkiem nieswojej bajki. Tak właśnie stało się w samym końcu zeszłego stulecia, gdy Wajda obsadził Olbrychskiego w „Panu Tadeuszu" jako Gerwazego. Mógłby wprawdzie artysta grą swoją wykazać całą podłość tego nikczemnika, ale byłoby to nie tylko całkowicie niezgodne z wymową dzieła Mickiewicza, bo kto by się nią przejmował, ale przede wszystkim nie pozwalał mu na to talent, a ten ma on – jak śpiewał Jerzy Stuhr – po prostu i niestety. I chciał nie chciał wczuł się w rolę, wołając do Jankiela w te słowa: „Precz stąd Żydzie! / Nie tkaj palców między drzwi, nie o ciebie idzie!". Objawił się tu antysemityzm polski w całej okazałości.

Gerwazego – przypomnę: ostatniego sługę Horeszków – nazywano również Półkozicem, Mopanku i Szczerbcem,

Lecz on zwał się Rębajło, a o jego herbach
Nie wiadomo. Klucznikiem siebie tytułował,
Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.
I dotąd nosił wielki pęk kluczów za pasem,
Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem.

Niewątpliwie największym kutasem był sam Rębajło, nie dość, że antysemita, to seryjny morderca. Chwalił się wszak przed Hrabią, iluż to Sopliców życia pozbawił: dwóch zarąbał w kłótni, dwóch na pojedynku, jednego podpalił i upiekł się, nieszczęśnik, jak piskorz, a ilu uszu obciął swym Scyzorykiem, to już niepodobna zliczyć.

Ale szczytem wszystkiego było skrytobójcze zabójstwo dowódcy Moskali, majora Płuta, już po ich poddaniu, kładącym kres obcej interwencji w trakcie zajazdu na Soplicowo. Po fakcie miał czelność utrzymywać, że uczynił tak „pro publico bono", co nie ma związku z wokalistą popularnego zespołu przez PiS-owską szarańczę zwanego U Dwa, a oznacza podobno „dla ogólnego dobra". Tak przynajmniej utrzymują osobnicy znający łacinę, ale że to język martwy, pewnym tego być nie można. Tak czy inaczej, dla mordu dokonanego na osobie Płuta nie ma przebaczenia. W końcu ten sam Adam Mickiewicz, znany poeta litewski, białoruski, a najpewniej żydowski, napisał w natchnieniu wiersz „Do przyjaciół Moskali" i to on stanowi wykładnię naszego stosunku do wielkiego narodu rosyjskiego. Oczywiście sprzed agresji Putina na Ukrainę, bo od tego momentu Rosja jest wrogiem wszystkich sił postępu i demokracji. Wcześniej była cacy, Andrzej Wajda palił znicze na grobach czerwonoarmistów, a Olbrychski obściskiwał się z reżyserem Michałkowem, który miał się okazać rosyjskim szowinistą i imperialistą.

A wracając do Gerwazego Rębajły, to okazał się on „osobnikiem bez skrupułów moralnych" – jak podsumowała go prof. Alina Witkowska w encyklopedii „Mickiewicz", powstałej w 2001 r. „Nawet gdy dzielnie sprawia się w bitwie z Rosjanami – pisała – otacza go ponura aura krwawej bezwzględności: »Bo przeze drzwi jęk słychać, wrzask i gęste razy. / Wkrótce ucichło wszystko; wyszedł sam Gerwazy / Z mieczem krwawym«".

W oczach ciemnej, zaściankowej szlachty, w 100 proc. PiS-owskiego elektoratu, mógł uchodzić Rębajło za wybornego statystę. To jego retoryczne wygibasy doprowadziły do nieszczęsnego zajazdu na Soplicowo, ale też trzeba zauważyć, że Hrabia np. wytykał mu „niewielki dar opowiadania". Bo i też był z Hrabiego człek w świecie bywały, Europejczyk

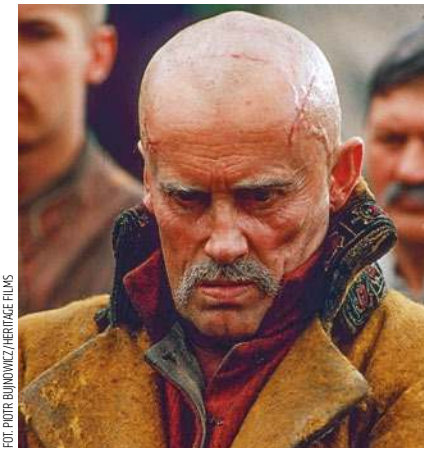

FOT. PIOTR BUJNOWICZ/HERITAGE FILMS

gębą całą, a przy tym „Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów, / Nawet dla Żydów".

Znów jednak to jedno słowo – „nawet" – kładzie się cieniem na nieszczęsnym „Ostatnim zajeździe na Litwie", prawem kaduka uchodzącym za klejnot literatury polskiej. Najwyższy czas położyć temu kres. W szkołach „Pana Tadeusza" należy przesunąć do lektur nadobowiązkowych (niech PiS-owskie bachory sobie czytają, mamy przecież wolność słowa), ale o złowrogiej postaci Gerwazego nie wolno zapominać, on to wszak nawoływał – powtarzając niecne podszepty klechy Robaka, niewykluczone, że pedofila – by zanim nadejdzie Napoleon ze swą armią, oczyścić dom i „wymieść śmiecie". Gdy Wajda kręcił „Pana Tadeusza", wezwanie to odnoszone było do zamierzonej lustracji, którą oczywiście siły postępu skutecznie zablokowały, ale obecnie – pod rządami miłościwie nam panującego Donalda I Tuska – wzięto się za porządki jak należy i niebawem już ojczyzna oczyszczona zostanie z wszelkiej swołoczy. Od Odry po Wisłę. A na wschód od królowej rzek polskich stworzony będzie jeden wielki matecznik. I niech Wojski wykonuje tam sobie swoje koncerty na rogu. Nam Jankiel, Żyd poczciwy, który ojczyznę jako Polak kocha, zagra na cymbałach wszystkie zwrotki „Mazurka Dąbrowskiego". A na bis majufesa. ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

Barbara od pereł

FOT. MUZEUM W NIEBOROWIE I ARKADII

Joanna Bojańczyk

Wyszła za mąż z miłości, ale nie była szczęśliwa. Ani perły ofiarowane przez Zygmunta Augusta, ani wspaniałe suknie nie wybroniły jej przed gniazdem żmij, którym był dwór na Wawelu. Zmarła po trzech latach panowania i zostawiła po sobie piękną legendę

Gdzie, jak nie w pałacu w Nieborowie, miałaby się odbyć wystawa poświęcona Barbarze Radziwiłłównie? Powstała wspólnymi siłami: oddziału Muzeum Narodowego, czyli Pałacu Radziwiłłów w Nieborowie, oraz założonej w 2017 r. przez Macieja Radziwiłła Fundacji Trzy Trąby, od kilku lat współpracującej z Nieborowem. Plenerowe opery i wystawy (wstęp wolny) wyprowadzają wysoką kulturę poza obszar wielkomiejski i docierają tam, gdzie ma ona silną konkurencję w postaci telewizji i streamingowej sieczki.

Barbara Radziwiłłówna nie zdążyła jak dotąd stać się bohaterką popkultury, chociaż ma ku temu atrybuty. To jedna z tych malowniczych postaci historycznych, które zna się ze słyszenia, wzmianek w podręcznikach. Dawni bohaterowie, o ile nie odegrali znaczącej roli w historii, o tyle pozostają w książkowym półmroku dopóty, dopóki nie zabierze się za nich reżyser filmowy, a najlepiej serialowy. Niewielkie szanse na to, że współczesny widz widział film z Jadwigą Smosarską z roku 1936 albo nowszy z Anną Dymną z roku 1982...

MIŁOŚĆ W GNIEŹDZIE ŻMIJ

Na razie wystawa musi zatem wystarczyć za wstępną prezentację pięknej królowej, która nie doczekała w polskich miastach szkoły swojego imienia. (Chyba że o czymś nie wiem…). Za mało bohaterska, za bardzo romantyczna i niezbyt szczęśliwa, a za to nie stawia się pomników.

„Barbara – królowa z klejnotów" jest niewielką wystawą, która koncentruje się – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – na wizerunku królowej. Jej klejnoty, jej suknie, którymi przykrywała niezbyt słodkie monarsze życie. Nastrój czasu, w którym żyła, odtworzyła wspaniale pomysłowa scenografia Elżbiety Bogaczewicz-Biernackiej, konserwatorki Nieborowa.

Barbara wyszła za mąż za Zygmunta Augusta II w wieku 28 lat. On był człowiekiem dobrze po czterdziestce, co w tamtych czasach uchodziło za wiek podeszły, niedawno owdowiałym po niezbyt szczęśliwym związku z Elżbietą Habsburżanką.

A i Barbara nie była uważana za młódkę, jedno krótkie i zakończone wdowieństwem małżeństwo z wojewodą nowogrodzkim Stanisławem Gasztołdem miała już za sobą. Chociaż pochodziła z magnackiej i zasłużonej rodziny Radziwiłłów, to litewskie rody przeciwne Radziwiłłom uważały ten mariaż za mezalians.

Małżeństwo zawarto z miłości – rzadka rzecz w XVI w., szczególnie w wysokich sferach politycznych, gdzie związki zawierano dla politycznych strategii, nie dla porywów serca. Miały pieczętować sojusze i jednać stronników. Jednak Zygmunt August uparł się i Barbara została oficjalnie koronowana na królową Polski. Dzień koronacji – 7 grudnia 1550 r. – był triumfem króla i jego wybranki. Uczucie, które połączyło tę parę, stało się jednym z często przywoływanych motywów historycznych w polskiej kulturze.

Kochające się małżeństwo, za to wokół na dworze gniazdo żmij. Niechęć teściowej, królowej Bony, nienawiść szlachty, intrygi. Lepiej pić ze szklanki niż ze srebrnego kubka, a i to po zbadaniu, czy napój nie jest podejrzanie mętny.

Posłowie i senatorowie próbowali małżeństwo unieważnić, król konsekwentnie odmawiał. Trzy lata po ślubie królowa zmarła, prawdopodobnie na nowotwór szyjki macicy, choć plotkowano i o otruciu.

Potomka Barbara nie zostawiła. Ikonografia również jest skromna.

Tym ciekawszy jest portret Barbary, mało efektowny, ale datowany na połowę XVI w. To jeden z czterech udokumentowanych wizerunków królowej, które powstały za jej życia lub tuż po jej śmierci. Obraz jest własnością prywatną, w Nieborowie po raz pierwszy pokazywany publicznie. Jego historia jest również ciekawa: przeszedł dwie niefortunne konserwacje, został obcięty. Wystawa prezentuje go ze schematycznie domalowanymi elementami, dając wyobrażenie całopostaciowego pierwotnego przedstawienia królowej Barbary.

DOŚWIADCZONA ELEGANTKA

Analizując zawartość szafy współczesnej kobiety, dowiadujemy się o jej guście, upodobaniach, pozycji społecznej, zapewne również o panującej modzie, o duchu czasu.

Portrety i suknie Radziwiłłówny mówią przede wszystkim o tym, że była królową. Dostojnie i bogato ubraną, obsypaną biżuterią. Jako mężatka włosy nosiła ukryte pod czepcem i woalem, szyję zasłaniał pas białej materii. Sukni dopełniały łańcuchy, kolie, wisiory, bransoletki. Nawet pasy i suknie naszyte były kamieniami. Można sobie wyobrazić, z jaką ulgą wieczorem monarchini pozbywała się całego uzbrojenia. Ile to wszystko ważyło?

eprasa.pl ad30e406bf

We współczesne rekonstrukcje sukni Barbary Radziwiłłówny trzeba było włożyć wiele wiedzy i umiejętności

FOT. MUZEUM W NIEBOROWIE I ARKADII

No i klejnoty. Bogactwo renesansowej biżuterii było bezpośrednim skutkiem rozkwitu handlu kamieniami szlachetnymi w XVI w. Wielkie odkrycia geograficzne spowodowały napływ do Europy dużej ilości kamieni szlachetnych. Najbardziej poszukiwane były szafiry, szmaragdy i rubiny. Hiszpanie i Portugalczycy zaczęli przywozić do Europy także złoto i srebro. Drogie kamienie zachwycały, przypisywano im także różne właściwości. Miały chronić przed trucizną, umacniać miłość, zapewniać zdrowie. Produkcją biżuterii zajmowali się wybitni artyści.

Zbytek nie był dla Barbary czymś nowym, znała go ze swego radziwiłłowskiego domu. Gdy jako 16-latka poślubiła Stanisława Gasztołda, przygotowano dla niej kosztowne ubiory, w tym szaty ze złotogłowiu (tkaniny przetykanej złotą lub srebrną nicią), stroje z atłasu i adamaszku. Inwentarz panieński jej majątku wymienia: perłowe kołnierze, bramki (ozdobne obramowania obszywane perłami lub złotogłowiem), czepce i naszyjniki. Na Wawel wkraczała więc jako doświadczona elegantka. Barbara uwielbiała perły, więc dbając o prestiż i godną prezencję żony, Zygmunt August zlecał swoim agentom skupującym klejnoty do królewskiego skarbca, aby nabywali co wspanialsze okazy pereł, które trafiały na rynek holenderski.

Co się z nimi stało? Według jednej z teorii po śmierci Barbary trafiły do królowej angielskiej Elżbiety I Tudor, która poleciła swoim agentom nabyć sławne w Europie perły polskiej królowej. Miało to nastąpić tuż po śmierci Zygmunta Augusta w Knyszynie, po grabieży jego majątku dokonanej przez Jerzego i Mikołaja Mniszchów. To oni mieli dostarczyć perły Barbary zagranicznym nabywcom. Tą właśnie drogą znalazły się one w królewskim skarbcu angielskim i wskutek podziałów spadkowych przypadły dworowi hanowerskiemu, z którym bez skutku procesowała się o ich posiadanie królowa Wiktoria.

Według bardziej prawdopodobnej hipotezy związanej z historią pereł po Radziwiłłównie zostały one przejęte przez Annę Jagiellonkę, a w 1673 r. wraz z innymi kosztownościami ze skarbca koronnego sprzedane na sfinansowanie działań wojennych.

Dzisiaj możemy podziwiać perły Barbary tylko na stosunkowo licznych jej wizerunkach, m.in. na litografii François Greniera (1793–1867), wzorowanej na XVIII-wiecznym portrecie nieświeskim królowej w stroju koronacyjnym.

Jednym z najważniejszych rekwizytów wystawy jest replika insygniów grobowych królowej Barbary, odkrytych w zeszłym roku w Wilnie. Przez dekady pozostawały ukryte, dziś na nowo mogą rozbudzić wyobraźnię historyków.

Przy dzisiejszych możliwościach uszycie kilku renesansowych sukni może się wydawać proste, ale gdy chce się to zrobić z poszanowaniem wszystkich subtelności, sprawy się komplikują.

W kinie działają sztuczki kamery, światła – tu, na wystawie, widz stoi oko w oko z obiektem. Nie da się kłamać. Dlatego we współczesne rekonstrukcje sukni Barbary trzeba było włożyć wiele wiedzy i umiejętności.

– Mamy bardzo ubogie źródła – mówi Maria Molenda, historyczka ubioru, która nadzorowała wykonanie rekonstrukcji. Oryginalnych strojów z okresu renesansu właściwie nie ma, chyba poza obuwiem Zygmunta Augusta z jego koronacji, gdy miał 10 lat... Czasem mamy dworskie rachunki dla dostarczycieli tkanin, krawców, hafciarzy – to wszystko. Pozostaje warsztat historyka, który próbuje znaleźć klucz do współczesnego odtworzenia tych strojów. Jak skroić, jakie wybrać tkaniny. Tego, czego nie widać na portretach, trzeba czasem się domyślać – dodaje.

Suknia była tylko warstwą wierzchnią. Najbliżej ciała znajdowała się koszula, na niej jeszcze cienka suknia, dopiero na to suknia właściwa. Pod wierzchnią warstwą w niektórych przypadkach instalowano jeszcze usztywnienie z wiklinowych prętów, coś w rodzaju późniejszej krynoliny. Luksusowych tkanin dostarczały głównie manufaktury włoskie z Wenecji, Florencji, Genui, Mediolanu.

– Starałam się znaleźć najbardziej wiarygodne materiały, czasem wymagało to długich poszukiwań. W epoce używano jedwabiu, wełny, lnu. Na spodnie warstwy len musiał być bardzo cienko tkany. Czerwoną suknię uszyliśmy z angielskiego aksamitu z jedwabnym włosem, złota jest z jedwabiu włoskiej firmy Rubelli, istniejącej od XVII w. Obejrzałam dużo renesansowych portretów, one pokazują suknię z przodu, ale nie mówią, jak wyglądała z tyłu, od dołu, od spodu – tłumaczy Maria Molenda.

Współczesny widz zastanawia się również nad nakryciami głowy królowej Barbary. Oglądając je dzisiaj, odnosi się wrażenie, że niektóre niemiłosiernie ściskały twarz, głowę i szyję. Ale takie było wymaganie epoki. Nakrycie głowy, podobnie jak reszta rynsztunku, miało odzwierciedlać status małżeński i społeczny. Pozostaje mieć nadzieję, że kobieta nie musiała męczyć się z tym cały czas, a tylko przy publicznych, ceremonialnych okazjach. No i wtedy, gdy pozowała do portretu.

Zaokrąglony czepek z haftowaną bordiurą, który widzimy przy czerwonej sukni, zasłaniał całkowicie włosy, a welon (złota suknia) zakrywał także szyję i podbródek. – Welon uszyty został z taśm ręcznie tkanych, ale zastanawialiśmy się, jak były one cięte – mówi Maria Molenda.

WARTOŚĆ POLSKIEGO RZEMIOSŁA

Wystawa o Radziwiłłównie przypomniała wartość polskiego rzemiosła artystycznego, które istnieje i ma się dobrze. Mały warsztat jubilerski w Łowiczu prowadzi Paweł Chaberski, autor dwóch łańcuchów; Maciej Rozenberg wykonał pierścionki grobowe Barbary; Piotr Zaleski, konserwator obiektów z metali, to twórca rekonstrukcji regaliów.

Barbara Radziwiłłówna przeżyła na dworze królewskim trzy lata świetności, z których zapewne ostatni rok był skażony rozwijającą się chorobą. Zachwycając się renesansowymi splendorami, pamiętajmy, że władza rzadko bywa źródłem szczęścia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Barbara – królowa z klejnotów" jest czynna do 30 listopada 2025 r.

eprasa.pl ad30e406bf

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Golf to życie

tv+

★★★★☆☆
SEZON 1
„MISTRZ KIJA" („STICK")
USA 2025

wyst. Owen Wilson, Peter Dager, Mariana Treviño, dystr. Apple TV+

Twórcy serii „Mistrz kija" zapatrzyli się w sukces „Teda Lasso". I oto Apple TV+ stawia na kolejną ciepłą komedię obyczajową, która ma krzepić, uczyć i bawić. Tyle że w centrum fabuły stawia nie trenera piłki nożnej, lecz emerytowanego golfistę, który był kiedyś o krok od sławy, ale doznał ciężkiego nerwowego załamania w kluczowej chwili kariery. Grę jednak kocha nadal i – co ważniejsze – ma oko do talentów. Wszystko, co ma, chce, więc postanawia zainwestować w krnąbrnego młodziana, który jest geniuszem gry, tyle że za bardzo grać mu się nie chce.

Jako dobroduszny trener Pryce Cahill pojawia się w tej opowieści Owen Wilson, którego chłopięcy urok (choć blisko mu do sześćdziesiątki) pasuje idealnie do bohatera, który z jednej strony chce być guru dla młodego Santiego, a z drugiej strony – wiele się musi sam nauczyć. Nie o golfie, lecz o życiu, bo jest osobnikiem niedojrzałym i emocjonalnie rozchwianym. A jako że w Ameryce kino drogi jest odpowiedzią na wszystko, to podróż przez kolejne turnieje i pola golfowe będzie dla gromadki protagonistów okazją do rozmaitych przewartościowań.

Ćwierć wieku temu byłby z tego pewnie dobry hollywoodzki „feel good movie", ale w erze streamingu dostajemy 10 odcinków, które nieco za bardzo całą opowieść rozciągają. Na szczęście epizody nie są specjalnie długie. Tym, co różni „Mistrza kija" od „Teda Lasso", jest to, że dydaktyka jest tu dużo bardziej widoczna, bardziej nachalna, a psychologiczne motywacje postaci bardziej uproszczone. Niemniej jest to solidna robota, której bardzo pomaga trafiona obsada. Zwłaszcza aktorka komediowa Judy Greer, jako była żona głównego bohatera, kradnie niemal każdą scenę, w której się pojawia. Niemal równie dobry jest Marc Maron jako najlepszy kumpel i były caddy (a także wspólnik w wyłudzaniu pieniędzy od pijanych miłośników golfa). Jak zwykle warto czekać na chwilę, kiedy na ekran wkroczy gościnnie Timothy Olyphant (dawny rywal Cahilla). W kategorii „niezobowiązująca rozrywka na lato" serial wymyślony przez Jasona Kellera broni się dobrze. Nie ma jeszcze wieści o drugim sezonie, ale nie mam wątpliwości, że się pojawi. ©℗

GRA TYGODNIA: „F1 25"

Sporo się w ubiegłorocznej odsłonie nie udało, ale twórcy wyciągnęli wnioski. Naprawiono wiele błędów, a tegoroczna odsłona „F1" jest jedną z najlepszych od lat. Jest to część dopracowana, z ulepszonym modelem jazdy i AI kierowców sterowanych przez komputer. Poprawiono także oprawę audio i wideo, choć tu – przy okazji pożegnania się serii ze starą generacją konsol – można było zrobić więcej. Jest też dość dużo nowej zawartości. Udana odsłona. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *wyścigi*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Codemasters; Electronic Arts Inc.*

eprasa.pl ad30e406bf

Jeden z dziewięciu

KINO

Najbliższe tygodnie będą trudne dla ludzi wierzących, że kino poradzi sobie z kryzysem w stylu barona Munchausena, który uniknął śmierci, wyciągając się za włosy z bagna (razem z koniem). Hollywoodzki sposób na przełamanie impasu jest równie prosty: jeszcze więcej tego samego. Na ekranach znów pojawią się dinozaury, Superman i zreformowany „Koszmar minionego lata". Marvel wyciśnie (przed) ostatnie soki z Fantastycznej Czwórki, a Liam Neeson podejmie szaleńczą próbę zdetronizowania Lesliego Nielsena w nowej „Nagiej broni". Oczywiście nie każdy sequel jest porażką. „28 lat później" daje radę, „F1" tym bardziej, chociaż Ameryki nie odkrywa. Po „Wyścigu" Rona Howarda tudzież 13 odsłonach „Szybkich i wściekłych" kino wysokooktanowe zostało zdefiniowane na kilka dekad. Dysponując 300 mln dol., Bradem Pittem, fragmentami „Whole Lotta Love" Led Zeppelin i zasłużoną opinią fachowca, Kosinski do mety miał prostą drogę.

Protagonistą jest Sonny, rajdowiec brawurowy i niepokorny, lekceważący przepisy. Kiedyś rywalizował na torze z Senną, jednak stracił wszystko i po latach próbuje się odbudować. Obojętny na sławę i mamonę. Tylko gdy siedzi za kierownicą, wie, że żyje. Jest reliktem epoki, w której Formuła 1 kojarzyła się przede wszystkim ze sportem. Cel ma ambitny – chce wygrać przynajmniej jeden z dziewięciu Grand Prix i ocalić posadę przyjaciela. Domyślamy się, że zanim strzelą korki od szampanów, czeka nas niejeden kryzys. Czy samotny wilk wyciągnął wnioski z przeszłości? Czy odnajdzie w sobie talent pedagogiczny, złoży ego na ołtarzu Drużyny i tchnie ducha walki w grupę notorycznych przegrywów? To pytania retoryczne. Jak na mój gust za dużo jest w „F1" komentarzy zza kadru, szeroko reklamowany realizm filmu też ma swoje granice. Pitt, okrzyknięty onegdaj młodszą wersją Roberta Redforda, postarzał się na tyle, że w roli weterana wypada wiarygodnie. Film respektuje jednak parytet rasowo-płciowy obowiązujący w dzisiejszym Hollywood. Trudno, dobiegła końca era samców alfa, dominacja samic alfa również nie będzie trwała wiecznie. Stalowy rumak, symbol Ameryki, odjedzie zaś w stronę zachodzącego słońca. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. JOSEPH KOSINSKI
„F1: FILM" („F1: THE MOVIE")
USA 2025

wyst. Brad Pitt, Damson Idris, Javier Bardem

GŁUPI I GŁUPSZY

Gościnność prowadzi do tragedii. Do Umbrii, pięknej jak z obrazka, przybywa homoseksualna para z L.A. Na życie Cole'a i Doma nie dybią psychopatyczni tubylcy, oni sami są źródłem zagrożenia. Wyeksponowane w polskim tytule językowe lapsusy (angielskie „dad" w ustach Włocha brzmi tak samo jak „dead") bledną wobec tego, że bohaterowie rozum zostawili w ojczyźnie. Film, rzecz jasna mimowolnie, ośmiesza tęczowych turystów oraz ich adopcyjne zapędy. Scenarzyści całkiem się pogubili. Zgaduję, że celowali w absurdalną czarną komedię. Efektem polowania jest jednak sentymentalny slasher, zwierz ceniony zaledwie przez garstkę myśliwych i konsumentów. Trudno spodziewać się, by perypetie panikarzy z Kalifornii zyskały u nas większy poklask. Mazgajstwo to ostatnia rzecz, której oczekujemy od Amerykanów. A co na to NATO? ©℗

KINO

★★☆☆☆☆

REŻ. DAVID JOSEPH CRAIG, BRIAN CRANO
„ŻE CO? ŻE JAK?!" („I DON'T UNDERSTAND YOU")
USA/WŁOCHY 2024

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

„Witkacy" uwikłany

Takiej rocznicy – 24 lutego minęło 140 lat od dnia przyjścia na świat Stanisława Ignacego Witkiewicza – Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem nie mogło nie zauważyć. Wystawa „Składanie osobowości. Witkacy" przedstawia zgromadzoną w muzeum kolekcję prac „Witkacego" w ich zakopiańskim kontekście i w mozaice społecznych uwarunkowań. Pokazuje bohatera jako człowieka i artystę uwikłanego w gęstą sieć zależności i relacji. „W myśl zasady mówiącej, że jesteśmy sumą spotkanych osób i przeżytych wydarzeń, w prezentowanych na wystawie portretach ujrzymy ludzi jako swoisty »produkt« ich relacji z artystą" – piszą autorzy.

Wystawę podzielono na trzy główne części. „Autorytety i rozczarowania" to zestawienie, które opowiada głównie o skomplikowanej relacji „Witkacego" z ojcem, a także z matką, nauczycielami i mistrzami. „Namiętności i fascynacje" to część poświęcona wybranym kobietom z życia Witkiewicza. Z kolei myślą przewodnią części „Uwikłania" jest „Witkacy" jako artysta, który pogubił się w relacjach. ©℗

GDZIE? *Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem*
KIEDY? *do 30 października*

FOT. BARTŁOMIEJ JUREC/MUZEUM TATRZAŃSKIE W ZAKOPANEM

eprasa.pl ad30e406bf

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Orła do paki i po krzyku

Jego dewiza życiowa zawiera się w zdaniu: „Myśleć jak pesymista, żyć jak optymista". Józef Orzeł – pół żartem, pół serio nazywany „szarą eminencją", ekonomista i filozof, poseł na Sejm (1991–1993) i współzałożyciel Porozumienia Centrum, a po wycofaniu się z polityki doradca niezliczonych instytucji, wreszcie szef Klubu Ronina, najdłużej działającego klubu politycznego w III RP – w wieku 78 lat wydał pierwszą książkę.

Był po sześćdziesiątce, gdy jednego dnia rano ochrzcił się, a po południu wziął ślub. Na drodze do wiary miał objawienia, które teraz szczegółowo relacjonuje. Akuszerami jego późnej religijności byli księża Jerzy Popiełuszko i Józef Tischner. Z czynnej polityki wymiksował się sam w 1991 r., opuszczając klub poselski Porozumienia Centrum, jedynej partii, do której należał. Nie chciał firmować totalnej opozycji wobec rządu Suchockiej, a taką zaprogramował Jarosław Kaczyński. Tusk nie był więc pierwszy. Klub Ronina, którego Józef Orzeł jest mózgiem i twarzą, jest prawicowy, bo – jak powiada – „ja jestem prawicowy". I wyjaśnia: „Polscy Roninowie, tworząc swój klub, odeszli od PiS-u i w ogóle od partyjnej polityki, bo uznali, że PiS ich zawiódł, ale stworzyli klub, by mieć gdzie poczekać (w większości bardzo aktywnie), aż PiS do nich wróci. I w roku 2015 wrócił".

To on wykoncypował Ruch Kontroli Wyborów i oto wyznaje: „Teraz odtworzyliśmy z kolegami na wybory prezydenckie 2025 Ruch Kontroli Wyborów, który zorganizowaliśmy w 2015 roku i który przyczynił się wtedy do zwycięstwa Andrzeja Dudy i PiS-u, a potem w 2019 i 2020 roku". Mecenasie Giertych, ministrze Bondar: Orła do paki i po krzyku, donoszę, Panie Naczelniku.

Powiedzieć, że Józef Orzeł to nietypowy facet z nietypowym życiorysem, to nic nie powiedzieć. Jego rodzice byli Żydami, przed wojną działali w KZMP, a potem w KPP, co zaowocowało wyrokami więzienia: odpowiednio dwa i trzy lata. Jako niewierzący ominęli sakrament małżeństwa, nie zalegalizowali go nawet, zadowalając się tzw. ślubem partyjnym. Wojnę przeżyli w ZSRS, dokąd przedostali się zimą 1940 r. Nie wyzbyli się polskiego obywatelstwa, co potem przydało się, gdy ojciec Józefa, jeszcze wtedy Abram, nie Adam, zapisał się do Związku Patriotów Polskich i z jego ramienia został kierownikiem pociągu wiozącego Polaków z Uralu do kraju. Po drodze przyszedł na świat Józef, w Charkowie. Był luty 1946 r.

Jego dzieciństwo przebiegało według klasycznego wzorca, przynajmniej na pozór: „Mama – działacz partyjny, ojciec – ubek, wychowali nas [Józefa i jego brata, Włodzimierza – przyp. K.M.] na uczciwych ludzi, w kulturze Dekalogu: nie kradnij, nie kłam itd. Może gorzej z »czcij Pana Boga swego«, bo mama była antyklerykalna. Ojciec zaś bez przerwy próbował mi udowodnić, że komunizm jest najlepszy".

W jego licealnej klasie ponad połowa uczniów była pochodzenia żydowskiego. Po Marcu '68 klasa się rozsypała. Grubo wcześniej, bo w 1960 r., trafił do klubu nazwanego po latach Klubem Babel, licząc na to, że pogra tam sobie w brydża. I wspomina: „Do głowy przyszła mi nazwa tego, co zobaczyłem i poczułem – »hucpa«, słowo z jidysz, języka, którego nie znałem, czyli arogancja, bezczelność, wyższość nad innymi, i wiedziałem, że ludzie, którzy tam siedzą, tacy właśnie są. Nie chciałem tam być. Nie zagrałem w brydża w Klubie Babel i nigdy już tam nie poszedłem".

Trudno uwierzyć, by było to wydarzenie aż tak formujące życiową postawę autora „Orlego gniazda" mającego wtenczas 14 (!) lat, ale w innym miejscu czytamy: „Mam pamięć tak zwanego fałszywego świadka, czyli jestem święcie przekonany, że coś widziałem, że coś się na pewno stało, a potem się okazuje, że to nieprawda. Kiedyś ojciec, opowiadając mi o babci w Izraelu, wspominał, że nie mówiła po polsku albo mówiła ledwo, ledwo, a ja ją z pobytu w Izraelu zapamiętałem, że była kochana i pięknie rozmawiała ze mną – po polsku".

O latach 80., gdy zaangażował się w działalność podziemną, pisze, nie lukrując rzeczywistości i… po nazwisku. W 1984 r. pojechał np. zarobić trochę grosza do Szwecji: „[…] poznałem całą masę ludzi, którzy dla »Solidarności« przewozili albo kierowali transportami. Konkurowały ze sobą dwie grupy. Jedna ze Sztokholmu, której transporty nigdy nie wpadły, i druga z południa Szwecji z agentem Kaletą, której prawie wszystkie transporty prędzej czy później wpadały. Jak szły offsety, to były w nich wmontowane mikronadajniki, dzięki którym bezpieka łatwo namierzała sprzęt – i drukarnie. Okazało się, że głównym agentem był Jerzy Milewski, szef Komitetu »Solidarności« w Brukseli". W kraju blisko współpracował z Henrykiem Szlajferem: „[…] to był lewak, nie mówiąc, że agent" […]. Przed południem Szlajfer spiskował ze mną i z Lawiną, potem szedł do esbeków, mówił im, co zrobiliśmy, i wracał do nas wieczorem czy popołudniem, żeby spiskować dalej".

O książce Józefa Orła będzie się mówiło, równie często wychwalając pod niebiosa jak odsądzając od czci i wiary. Pewne jest, że nie przypominam sobie, kiedy ostatnio czytałem rzecz tak ciekawą. ©℗

★★★★★★
JÓZEF ORZEŁ „ORLE GNIAZDO. JÓZEF ORZEŁ OPOWIADA BOGUSŁAWIE RADZIWON"
ZONA ZERO, WARSZAWA 2025

eprasa.pl ad30e406bf

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ja to inni

Zgrabny paradoks ukryty w tytule: „Życie zewnętrzne". A przecież literatura z natury jest zapisem życia wewnętrznego. Nawet poza prozą czy poezją – idźmy w skrajność – rzekomo obiektywny turystyczny przewodnik jest subiektywny, bo autor podejmował arbitralne decyzje, co wskazać, a co pominąć.

Nie ma więc czegoś takiego w pisaniu jak zapis życia zewnętrznego, choć często tak się nam wydaje. Ale z drugiej strony, opatruje swe zapiski francuska noblistka cytatem z Jana Jakuba Rousseau: „Nasze prawdziwe »ja« bynajmniej nie w całości w nas mieszka". Zewnętrzność więc jest warunkiem niezbędnym wewnętrzności.

Annie Ernaux w nowej (tylko na polskim rynku, bo korzenie książki sięgają lat 90.) opowieści miesza literaturę z dziennikiem, esejem, trochę reportażem. Przygląda się światu z zaciekawieniem badacza, obdarzonego jednak empatią. Czyni to w sposób, który przywodzi mi na myśl mistrzowską syntezę literatury pięknej i non-fiction, jaką były książki Dubravki Ugrešić. Odnajduję u Ernaux podobny ton, trochę elegijny, trochę stoicki. Takie same odczucia miałem, czytając ostatnie zapiski Ursuli Le Guin. Czy to oznacza, że jednak istnieje jakieś szczególnie kobiece pisanie? Otóż nie, po prostu wszystkie wymienione autorki to nietuzinkowe pisarki.

Jakiż to rodzaj dziennika? Jaką podróż w miejscu proponuje Ernaux tym razem? „Zawsze żyłam na prowincji, w miastach naznaczonych śladami przeszłości i historii" – odnotowuje. Aż do chwili, kiedy trafiła do miejsca zbudowanego niedawno od zera, do Cergy-Pontoise, 40 km od Paryża. W miejscu pozbawionym pamięci pisarka buduje mozolnie nową pamięć, szuka nowych metafor, zagubiona może nie „w labiryncie śmiechu" – jak pisał postmodernista John Barth – lecz w labiryncie nowoczesności. Której symbolem staje się zresztą u Ernaux wielki supermarket.

„Szklana katedra" – zapisuje autorka – a zarazem wielki zrównywacz: różnice klasowe, religijne, etniczne tu nie występują, wzdłuż półek błąkają się jednako eleganccy biznesmeni, muzułmańskie mamy, imigranci ze wschodniej Europy. „Anonimowe osoby, które nie mają pojęcia, że w swoich twarzach i ciałach, których nigdy więcej nie zobaczę, kryją cząstkę mojej historii. I ja także, krążąc w tłumie po ulicach i sklepach, jestem nosicielką życia innych ludzi". ©℗

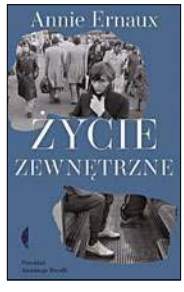

★★★★★☆
ANNIE ERNAUX „ŻYCIE ZEWNĘTRZNE" CZARNE 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Specjalista od geopolityki, który był swego czasu filarem think tanku Stratfor, przedstawia wizję nowego ładu światowego – hegemonia Ameryki i jej nadchodząca niezależność energetyczna, plus koniec globalizmu.

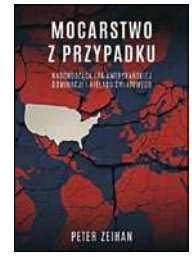

PETER ZEIHAN „MOCARSTWO Z PRZYPADKU" ZYSK I S-KA

Jedna z najgłośniejszych japońskich powieści powraca na półki. Surrealizm i egzystencjalizm łączą się tu niczym w „Pustyni Tatarów" Buzzatiego; bohater akceptuje uwięzienie, bo nie uważa, by wolność była lepszym wyborem.

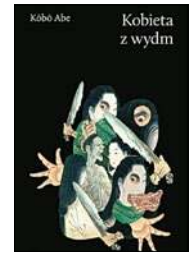

KŌBŌ ABE „KOBIETA Z WYDM" PIW

Popularny autor powieści historycznych – zwykle militarnych i męskich – tym razem opowiada o czasach krwawego cesarza przez pryzmat losów Agrypiny. Czyta się dobrze, choć bitewne opisy wychodzą mu lepiej.

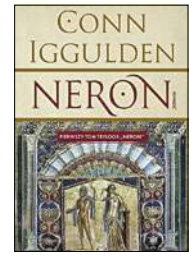

CONN IGGULDEN „NERON" REBIS

Takie czasy – boimy się wszystkiego: przyszłości, nowej pandemii, braku pracy, miłości, akceptacji w mediach społecznościowych itd. „Jak porzucić nawyk niepokojenia się" – podpowiada brytyjski psychoterapeuta. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

OWEN O'KANE „UZALEŻNIENI OD LĘKU" ZNAK

W HOŁDZIE MISTRZOWI

Obszerny album, przygotowany z okazji półwiecza pracy twórczej Milo Manary przez wydawnictwo Glénat, teraz ukazuje się w wersji polskiej. Rzecz nie tylko dla fanów komiksu, lecz także malarstwa i kina – wszak Manara współpracował choćby z Federikiem Fellinim czy Alejandrem Jodorowskym. Zestaw i różnorodność zebranych prac – imponujące. ©℗

Piotr Gociek

MANARA „MIĘDZY RZECZYWISTOŚCIĄ A FANTAZJĄ" SCREAM COMICS 2025

eprasa.pl ad30e406bf

Nigdy więcej ekshumacji

Marek Kamiński

Polscy świadkowie tragedii jedwabieńskich Żydów przed ich zamordowaniem podkreślają sadystyczny ferwor młodych, nigdy przedtem w mieście niewidzianych, oprawców

Pomnik upamiętniający pomordowanych Żydów z Jedwabnego FOT. ADOBE STOCK

Nagłaśniana periodycznie kwestia Jedwabnego w tym roku zabrzmiała pełnym głosem między pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich. I to z przeciwstawnych biegunów politycznego spektrum.

Michał Bilewicz, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, szef Centrum Badań nad Uprzedzeniami Zakładu Psychologii Stosunków Międzygrupowych, 19 maja 2025 r. na portalu X oznajmił: „Nie dajcie się zwieść. Wybór jest prosty: sprowadza się do tego, po której stronie stodoły w Jedwabnem staniesz. Czy z jej podpalaczami, dobijającymi ofiary siekierami i widłami? Czy może po stronie Antoniny Wyrzykowskiej, która ratowała Żydów, za co musiała uciec z miasta?”.

Stwierdzenie to zdobyło spory rozgłos i było przy okazji wyborczych sporów wielokrotnie cytowane. Oprócz oburzenia wpis ten wygenerował serię żądań wznowienia ekshumacji. Ukoronowaniem tych żądań było ofiarowanie przez Grzegorza Brauna prezesowi IPN i kandydatowi na prezydenta Karolowi Nawrockiemu szpadla z apelem: „Wbij tam pierwszy szpadel. Ma pan siedemdziesiąt parę godzin”.

Wydawać by się mogło, że o niedorzeczności oskarżenia jedwabian o dobijanie ofiar widłami, a zwłaszcza siekierami, poświadczyłaby pełna ekshumacja. Okazuje się, że sprawa wcale nie jest tak oczywista.

Przypominam, że ekshumację rozpoczęto 30 maja 2001 r. 4 czerwca na żądanie strony żydowskiej została ona wstrzymana przez śp. Lecha Kaczyńskiego, wówczas prokuratora generalnego RP, którym tenże przestał być już 5 lipca. Niewykluczone, że zastąpienie Kaczyńskiego innym politykiem (był nim nominat AWS – Stanisław Iwanicki) ułatwiło Aleksandrowi Kwaśniewskiemu zawyrokowanie już 10 lipca urbi et orbi polskiego sprawstwa tej zbrodni. Zważywszy na to, że był to początek jego drugiej kadencji, prowadzącemu dochodzenie prokuratorowi IPN Radosławowi Ignatiewowi pozostały rejtanowski gest albo pełna dyspozycyjność. Wybrał drugie, potwierdzając swoim pseudośledztwem niczym nieuzasadniony prezydencki werdykt. Ustawa 447 Kongresu USA i bluzgi Bilewicza to jedynie niektóre z licznych konsekwencji tego wyboru.

JAK BYŁO

Zacznijmy od przypomnienia udokumentowanego dowodami rzeczowymi i świadectwami pisanymi od co najmniej czterech lat niekwestionowanego przebiegu jedwabieńskiej zbrodni (w kwestii szczegółów odnoszę się do książki „Zamiast ekshumacji”, Prohibita 2021, i wideoprezentacji na https://www.jedwabne41.org/).

Nie muszę chyba nikogo przekonywać, że naturalnym momentem wybuchu spontanicznego ludowego pogromu byłyby pierwsze dni po wkroczeniu Wehrmachtu, a nie trzy tygodnie później. Tak samo myśleli Niemcy. Stąd już 17 czerwca 1941 r., czyli pięć dni przed atakiem na Związek Sowiecki, szef Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Reinhard Heydrich ustnie rozkazał „akcje samooczyszczające” na zdobytych terenach wywoływane „bez zostawiania śladów”.

Pierwszą próbę podjęło w dniach 24–27 czerwca na trasie Szczuczyn–Wąsosz–Radziłów–Jedwabne. Kilku gestapowców przejechało tę trasę, by uaktywnić agenturę. Gdy się okazało, że polscy mieszkańcy nie dali się sprowokować, Heydrich 29 czerwca zareagował pisemnym Rozkazem Operacyjnym nr 1. Wobec braku polskich pogromowych zapędów zorganizowano specjalne komando (Einsatzgruppe) złożone z młodych polskojęzycznych Prusaków, folksdojczów i agentów. 4 lipca ruszyli oni z Prus konwojem kilkunastu furmanek dokładnie tą samą trasą, dokonując co drugi dzień mordów miejscowych Żydów. W Radziłowie zostali dzień dłu-

eprasa.pl ad30e406bf

żej, bo dopiero na miejscu zorientowali się, że w środę, na którą zaplanowano Jedwabne, odbywa się tam targ. Dzień targowy byłby idealny na spontaniczny pogrom Żydów przez – jak „wydedukował to" Ignatiew – ok. 40 mieszkańców miasteczka i okolic, bo tylko wtedy ci ostatni byliby na miejscu. Byłby to również wyjątkowo niesprzyjający moment na starannie zaplanowany, oparty na zaskoczeniu i precyzji masowy mord pozorujący spontaniczny ludowy pogrom. Liczniejsza niż zwykle obecność młodych, często podchmielonych Polaków i nadmiar kłonic wykluczały panoszenie się obcych. Natomiast lipcowy czwartek, gdy większość mężczyzn Jedwabnego i okolic pracowała w polu, był na wyegzekwowanie precyzyjnie zaplanowanej zbrodni idealny. Dlatego właśnie w czwartkowy poranek do Jedwabnego wjechał drogą z Radziłowa sznur furmanek ze wspomnianym komandem.

Następnie przybysze zebrali jedwabieńskich Żydów na rynku, wybrali 40–50 najsilniejszych mężczyzn, kazali im zburzyć stojący tam pomnik Lenina i w szyderczym pogrzebie nieść jego fragmenty na – jak sądzono – niewidoczny z rynku żydowski cmentarz. O stojącej naprzeciw cmentarza stodole nikt wtedy nie pomyślał. A to tam właśnie wprowadzono Żydów i ustawianych pomiędzy ścianą a wykopanym rowem o wymiarach 1 na 6 m rozstrzelano z wówczas nierozpoznawalnego ze względu na rekordową szybkostrzelność karabinu maszynowego MG 39/41. Następnie, by uniknąć pojedynczych wystrzałów mogących zaalarmować zebraną na rynku społeczność, jeszcze żyjących dobijano pałkami i wrzucano do dołu. Dół pozostawiono otwarty nie przez niedbalstwo, ale z powodów operacyjnych. Po kilku godzinach pod stodołę przyprowadzono niespodziewającą się niczego resztę społeczności, dla której rozstrzelani nie byli przypadkowym ludźmi, ale synami, braćmi i mężami.

I teraz spróbujmy sobie wyobrazić, co się działo, gdy czołówka pochodu zauważyła w stodole otwarty grób, być może słysząc jeszcze jęki umierających. W ciągu kilkudziesięciu sekund krańcowo zdesperowany tłum, bez jakiejkolwiek zachęty, skłębił się nad otwartym grobem. W tym samym momencie zamknięto wierzeje i jeden z Niemców odstrzelił rakietę sygnalizacyjną, od której zapłonęła polana naftą strzecha, natychmiast wysysając ze stodoły cały tlen. Oszołomionym całą sytuacją ofiarom wystarczyło świadomości na pojedynczy krzyk i instynktowne przemieszczenie się w kierunku przeciwnym od ognia, gdzie umierali, tratując się nawzajem i tworząc ze swych ciał bezwiedny całopalny stos. Stodoła jeszcze płonęła, gdy oprawcy, w trosce o to, by ich nie zidentyfikowano, opuszczali Jedwabne. Równocześnie podkreślam, że nie ma żadnych przesłanek, nie mówiąc o dowodach, ku temu, by twierdzić, że jakiś jedwabieński Żyd doznał 10 lipca 1941 r. krzywdy z rąk sąsiadów.

NIEDOSZŁE KONSEKWENCJE PEŁNEJ EKSHUMACJI

Na badanym terenie odkryto dwa groby. W mogile numer 1 leżą ofiary podpalenia, natomiast w grobie numer 2 – młodzi mężczyźni zamordowani w stodole przed pożarem. Ponowne odkrycie grobu numer 1 i ustalenie liczby ofiar nie wniosłyby nic do nadrzędnej tu kwestii sprawstwa. Wiadomo, jak zginęli, a grzebanie w ich osmalonych kościach nie pomoże w identyfikacji morderców. Stodołę podpalono od zewnątrz i to tam znaleziono corpus delicti tego aktu, czyli odstrzeloną łuskę niemieckiego naboju sygnałowego, i to w miejscu zgodnym z powyższym scenariuszem.

Tak więc pozostaje grób numer 2, w którym spoczywa pierwszych 40–50 mężczyzn. Wskazanie sprawców właśnie tej, pozornie drugorzędnej, zbrodni stanowi klucz do sprawstwa całej tragedii.

Niepodważalnym dowodem tego, że zrobili to Niemcy, byłby rzeczowy dowód rozstrzelania. A ten Ignatiew odrzucił, twierdząc, że znalezione w stodole łuski pochodzą z karabinu MG 42 wprowadzonego do jednostek liniowych rok później. Równocześnie pominął on najbardziej oczywisty fakt, że każdą broń poprzedza sprawdzany w warunkach polowych prototyp. W przypadku MG 42 był to MG 39/41 testowany od co najmniej roku w tysiącach egzemplarzy w jednostkach pomocniczych, takich jak ta operująca w Jedwabnem. I to właśnie łuski z deformacją charakterystyczną dla prototypu znaleziono w relikcie stodoły, po stronie przeciwnej od rozstrzelanych ofiar. Deformacja ta była identyczna jak ta, powodowana przez ostateczną wersję broni – MG 42. Mimo to Ignatiew odrzucił oczywisty fakt użycia prototypu i samego rozstrzelania, uznając wyłącznie istnienie wprowadzonej rok po Jedwabnem, wersji ostatecznej, która w roku 1941 użyta być nie mogła. Nadzieją ponownego kopania ma być znalezienie pocisków w grobie numer 2. Liczący na to znalezisko nie zauważają, że ofiary ustawione pod północną ścianą stodoły rozstrzeliwano na stojąco. A w tej sytuacji szanse na znalezienie wystrzelonych pocisków są praktycznie żadne. MG 39/41 był skuteczny na 3 km, a z odległości kilku metrów pociski z łatwością przebijały ofiary i stodolne deski. Lądując gdzieś na żydowskim cmentarzu albo i dalej, nie zwracały niczyjej uwagi. Dlatego ofiary ustawiano pod tą, a nie przeciwną ścianą, za którą były zabudowania.

Przykład katyńskich czaszek z dziurami po pistoletowych kulach do Jedwabnego się nie odnosi

Pozostają więc ślady po kulach na ekshumowanych szczątkach. Gdyby badanie to przeprowadzono w ciągu kilku lat od zbrodni, na zachowanych jeszcze w jakimś stopniu tkankach miękkich, uzyskanie dowodów rozstrzelania byłoby praktycznie zapewnione. Ale tu od czasu śmierci upłynęło 80 lat, po których to z ofiar pozostały wyłącznie kości, które też uległy częściowej degradacji. Przykład katyńskich czaszek z dziurami po pistoletowych kulach do Jedwabnego się nie odnosi. W Jedwabnem na pewno nie strzelano w głowy, a w centralną część tułowia. Kilkusekundowymi seriami przeszywano ofiary horyzontalnie mniej więcej na poziomie dolnej części klatki piersiowej i górnej brzucha. A tu nie ma kości, na których pocisk karabinowy zostawiłby charakterystyczny, rozpoznawalny po 80 latach ślad. Roztrzaskanego kręgu, fragmentów żeber czy łopatki za takowe uznać się nie da, bo z tej odległo-

eprasa.pl ad30e406bf

Oberkommando des Heeres
(Chef H Rüst u. B d E)
AHA/Jn 2 III b

Anlage 3

Entwurf.

(Nicht in die vorderſten Linien mitnehmen!)

Merkblatt
für
die Ausbildung am M.G.42
(bisher M.G.39/41)

Berlin 1942
Gedruckt in der Druckerei des OKW

Kopia okładki pierwszej instrukcji obsługi MG 42. W nawiasie jest informacja, że prototypem tej broni był MG 39/41, będący w szerokim użyciu w okresie, w którym popełniono zbrodnię w Jedwabnem

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ści pocisk z MG 39/41 nawet miednicę rozrywałby na fragmenty, zamiast pozostawić dziurę. Do tego dochodzą naturalna degradacja tkanki kostnej, uszkodzenia powodowane przygnieceniem trzema betonowymi fragmentami pomnika Lenina i wagą chodzących po powierzchni ludzi oraz ciężkiego sprzętu użytego na początku lat 50. do ustawienia kilkunastotonowego betonowego monumentu, a potem, w roku 2001, do usunięcia go dla celów śledztwa.

Ponadto polscy świadkowie tragedii jedwabieńskich Żydów przed ich zamordowaniem podkreślają sadystyczny ferwor młodych, nigdy przedtem w Jedwabnem niewidzianych oprawców. Nie ulega zatem wątpliwości, że mężczyźni ci najpierw znęcali się nad ofiarami, bijąc je pałkami i kopiąc. Ponadto seria z MG 42 u wielu, a może nawet u większości nie powodowałaby natychmiastowej śmierci. Chcąc uniknąć łatwo rozpoznawalnych pojedynczych strzałów karabinowych, które mogłyby zaalarmować zebraną na rynku pozostałą część społeczności, ranni byliby dobijani uderzeniami pałek, najczęściej w głowy.

Pośrednio świadczy o tym stwierdzenie Szmula Wasersztajna: „Był w krzakach. Słyszał, jak krzyczą. Szelawa zabrał jednego Żyda. Język mu wycięli. Później długa cisza". Cisza ta miała nastąpić nagle, wręcz niespodziewanie. Jeśli tak, to na pewno nie stało się to z powodu wycięcia czyjegoś języka, ale rozbicia pałką głowy ostatniej krzyczącej ofiary. Urazy te w odróżnieniu od mierzonej w tułów serii z broni maszynowej pozostawiły uszkodzenia układu kostnego, co do których mechanizmu nie byłoby najmniejszych wątpliwości. Potwierdza to analiza zdjęć właśnie odkrytej, wierzchniej warstwy szczątków ofiar z grobu numer 2. Widać tam wyraźnie fragmenty połamanych kości długich i żeber. Wyróżniają się natomiast kość potyliczna z widocznym wielkim otworem i pozostałości strzaskanej żuchwy. To tyle na podstawie analizy nieostrego zdjęcia w formacie PDF z raportu prof. Andrzeja Koli. Do tego dochodzi wysokie prawdopodobieństwo wykopania prymitywnych pałek, żelaznych prętów czy nawet siekiery – narzędzi automatycznie kojarzonych z wiejskim motłochem w przeciwieństwie do odzianego w elegancki mundur esesmana.

CO BY BYŁO, GDYBY...

Wyobraźmy sobie lato 2001 r. – apogeum bezrefleksyjnego poruszenia Jedwabnem. Po pełnej ekshumacji media gorliwie eksponują obrazy uszkodzonych tępymi narzędziami czaszek, połamanych kości i ewentualnie prymitywnych narzędzi zbrodni z grobu numer 2. Z grobu numer 1 eksponowano by osmalone ogniem kości kobiet i dzieci. Wobec dyletanckiego, a może umyślnego, odrzucenia przez Ignatiewa oczywistych dowodów rozstrzelania proweniencja mordujących zostałaby ustalona na zasadzie wiecowej aklamacji. Wyrazistość wizualnego przekazu świadectw spotęgowałyby oświadczenia Szmula Wasersztajna, które, jeżeli w ogóle miałyby się gdzieś zachować, to nie w Żydowskim Instytucie Historycznym, a w historii choroby człowieka cierpiącego na zaawansowaną i nieodwracalną postać zespołu stresu pourazowego. Niewiarygodność tych świadectw była od początku tak oczywista, że w procesie mieszkańców Jedwabnego podejrzanych o uczestnictwo w tragedii (czerwiec 1949 r.) prokurator dokumenty te pominął, by nie dyskredytować oskarżenia. To samo zrobił prokurator Ignatiew z IPN. Jednakże latem 2001 r. w odbiorze publicznym liczył się głównie Jan Tomasz Gross, który wyniósł te chore rojenia do rangi ostatecznej prawdy o Holokauście. Siła zintegrowanych przekazów, wizualnego (ekshumacja) i słownego (książka Grossa „Sąsiedzi"), byłaby tak porażająca, że na jakiekolwiek świadectwa niemieckiego sprawstwa, jeśliby się takowe pojawiły, nikt by uwagi nie zwracał. I byłoby tak do dziś.

Powyższe obawy niewiele straciły na aktualności. Nieprzewidywalność znalezisk sprawia, że ponowna ekshumacja niesie spore ryzyko i żadnych potencjalnych korzyści. Zgodnie z zasadą, że obraz mówi więcej niż tysiąc słów, wyjęte z kontekstu rzeczywistego przebiegu zbrodni zdjęcia pogruchotanych czaszek i osmalonych dziecięcych kości praktycznie zniwelowałyby efekty dotychczasowych oraz przyszłych usiłowań obrony polskiej racji z niniejszym tekstem włącznie.

IN MEMORIAM

Świętej pamięci Lecha Kaczyńskiego ostro krytykowano za wstrzymanie ekshumacji, które – jakkolwiek by na to patrzeć – wymagało sporej odwagi. Krytyczne głosy pojawiły się też m.in. przy okazji wawelskiego pochówku. Przyznaję, że nie byłem przekonany co do zasadności tego zaszczytu.

Dopiero obecna świadomość skali wizerunkowej katastrofy, której zapobiegł, i jej potencjalnych politycznych, prawnych oraz finansowych skutków rozwiała te wątpliwości. Czy była to intuicja, polityczny instynkt, racja stanu czy rada brata bliźniaka, jest kwestią drugorzędną. Liczą się, wręcz zbawienne dla wizerunku Polski i Polaków, skutki decyzji i odwaga jej podjęcia, które moim zdaniem, jeśli nie całkowicie, to w dużym stopniu uzasadniają wawelskie uhonorowanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Więcej na armię. A na co mniej?

Dumni z siebie Polacy kolejny raz napuszyli się, gdy Polskę chwalono na szczycie NATO, że wydaje już prawie 5 proc. PKB na armię. I, wydawało się, nie kryli zdumienia, że inne narody tak się do wydawania na swe armie 5 proc. PKB nie garną... No bo np. Hiszpania wydaje na ten cel 1,28 proc. PKB, Turcja – 1,8 proc. PKB, a nawet USA „tylko"... 3,38 proc. PKB. A my – już aż 4,7 proc. PKB, czyli rzeczywiście niemal 5 proc. PKB. Kto więc ma w tej sprawie rację, a kto jej nie ma?

Jestem za wydawaniem dziś przez Polskę na armię, zważywszy na naszą obecną sytuację (inną przecież niż Hiszpanii, która ani nie graniczy z Rosją, ani nie leży na Bliskim Wschodzie), znacznej części naszego PKB, może nawet 5 proc. PKB. Ba, byłem za większymi wydatkami na armię i wcześniej, byłem też przeciw zniesieniu poboru bez stworzenia innego systemu podtrzymywania licznej polskiej armii rezerwowej itd.

Wszelako warto pamiętać, że całe PKB, czyli 100 proc. PKB to 100 proc. – i ani procenta więcej. A więc nie np. 101 proc. czy – w zależności od potrzeb – 105 proc. A skoro tak, to jeśli teraz wydajemy na armię 5 proc. PKB, a wcześniej wydawaliśmy 2 proc. PKB, to na coś dziś wydajemy o 3 proc. PKB mniej – no bo cudów nie ma! A że 1 proc. naszego PKB to teraz trochę ponad 35 mld zł, to oznacza to, że teraz wydajemy na armię co roku 105 mld zł więcej niż wcześniej i o te same 105 mld zł mniej wydajemy co roku na coś innego. Rzecz jasna, w przypadku Polski na razie jest nieco inaczej, bo na te wyższe wydatki na armię po prostu potwornie szybko się dziś zadłużamy, ale to oznacza jedynie odłożenie w czasie konieczności zapłaty za zbrojenia – i to zapłaty z odsetkami, bo tak to już jest z zakupami na kredyt. I nie ma zmiłuj – o właśnie aż tyle setek miliardów złotych prędzej czy później będą musiały wzrosnąć w Polsce podatki albo/i będą musiały zostać zmniejszone wydatki naszego państwa. Na „800+"? Na 13. i 14. emerytury? Na szkoły? Może więc warto z nieco większym zrozumieniem patrzeć na te narody, które być może lepiej od nas pojmują tę zależność, że jak na jedno (armię) wydaje się więcej, to na coś innego (np. szpitale) zostaje do wydania mniej.

Przy czym, rzecz jasna, nikt nam nie zabrania wydawać nawet 10 proc. PKB na naszą (a nawet ukraińską) armię, wszelako dobrze byłoby, gdyby i do nas wreszcie dotarło, że o ile więcej będziemy wydawać na armię, o tyle mniej będziemy mogli w tym czasie wydawać na nasze pozostałe potrzeby – na szpitale, szkoły, itd. I że od polityków namawiających nas do wydawania więcej naszych pieniędzy na armię powinniśmy bezwzględnie domagać się, żeby od razu wskazywali, na co proponują wydawać mniej naszych pieniędzy. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ukraina idzie na twardy nacjonalizm

Po wybuchu wojny polska pomoc dla Ukraińców była wyjątkowa. Dzieci Kresowiaków masowo robiły zbiórki, ludzie całymi ciężarówkami wozili dary, opatrunki, wszystko, co trzeba. Wielu Ukraińców nie wiedziało albo wolało nie wiedzieć, że pomagają im potomkowie pomordowanych na Wołyniu. Polska przekazywała ogromne ilości broni Ukrainie. Niektórzy zwracali uwagę, że błędem było niedbanie o wzajemność. Czyli my wam pomagamy na wielką skalę, to za to wy przynajmniej powiedzcie swojemu narodowi prawdę o rzezi wołyńskiej. Tak się nie stało. W obliczu wojny ten temat kolejny raz zszedł na dalszy plan. Nadal nic nie jest w porządku".

Przy Ałfiorowie antypolski Wołodymyr Wjatrowycz może się okazać umiarkowany

Tak kończy się nowe wydanie książki Krzesimira Dębskiego „Wołyń. Nic nie jest w porządku" (wydanej po raz pierwszy w roku 2016). Rodzice kompozytora zaręczyli się dokładnie 11 lipca 1943 r., w dniu apogeum wołyńskiego ludobójstwa, w trakcie bohaterskiej obrony plebanii kościoła w Kisielinie przed szturmującymi go bandami Ukraińców.

Pisząc te słowa, muzyk nie mógł oczywiście przewidzieć, że nowym szefem ukraińskiego IPN zostanie Ołeksandr Ałfiorow. Przy Ałfiorowie antypolski Wołodymyr Wjatrowycz (szef UIPN w latach 2014–2019) może się okazać umiarkowany. Nowy zwierzchnik ukraińskiej instytucji był oficerem pułku „Azow", sięgającego po banderowską stylistykę i symbolikę, a w swoich wypowiedziach bronił już nie tylko ukraińskich nacjonalistów, lecz także relatywizował rolę kolaboracyjnej formacji Waffen SS-Galizien, złożonej z ukraińskich ochotników i wsławionej niezliczonymi zbrodniami.

Dzieje się – i ta tendencja rośnie, zamiast wygasać – to, przed czym wielokrotnie przestrzegałem pięknoduchów marzących o polsko-ukraińskich uniach, bredzących, że „Ukraińcy wyrównują rachunki krwi", walcząc z Rosją, czy nawet domagających się cenzurowania wypowiedzi niewystarczająco przychylnych Ukrainie: nasi sąsiedzi coraz jawniej budują swoją tożsamość na agresywnym nacjonalizmie, który ma również mocny antypolski wymiar. Nominacja Ałfiorowa jest tylko jednym z wielu przykładów. ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

Zaczadzenie liberalizmem

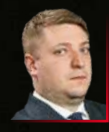

Paweł Chmielewski

Polityczna lewica dąży do zniszczenia wpływów Kościoła katolickiego na życie publiczne. To oczywistość, a jednak nie brakuje wciąż duchownych, którzy tak bardzo nie znoszą prawicy, że gotowi są siać zamęt nawet w kluczowych momentach historii

Jakie są ich motywacje, tego nie sposób oceniać. To już nie czasy PRL, gdzie władza komunistyczna mogła zbudować ruch księży patriotów, wykorzystując do tego różne narzędzia zachęty i nacisku. Duchowni, którzy lokują dziś swe nadzieje w liberalnych partiach politycznych, działają, jak można sądzić, ze szczerego przekonania, że to właśnie te formacje służą lepiej Kościołowi i społeczeństwu. Na czym opierają swoje przekonanie, nie wiem, ale zostawmy spekulacje – popatrzmy na konkrety.

TSUNAMI FAKE NEWSÓW

27 maja Katolicka Agencja Informacyjna (KAI) opublikowała na swoich stronach obszerny wywiad z ks. prof. Andrzejem Szostkiem, byłym rektorem KUL i etykiem. Ksiądz Szostek jest dobrze znany z krytyki decyzji Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r. przynoszącej zakaz tzw. aborcji eugenicznej, czyli zabijania dzieci podejrzanych o chorobę. Kilka dni przed wyborami, które – jak wszystko na to wówczas wskazywało – mogły zakończyć się zwycięstwem skrajnie proaborcyjnego, progejowskiego i antykościelnego kandydata, Rafała Trzaskowskiego, KAI opublikowała tekst pod znamiennym tytułem: „Aborcja to niejedyna rzecz, którą trzeba brać pod uwagę przy ocenianiu kandydata na prezydenta". Treść została w kluczowym miejscu utrzymana w tym duchu, który zapowiada tytuł. Ksiądz profesor Szostek przekonywał wprawdzie, że „sprawa aborcji jest ważna", ale dodawał, iż trzeba się nią będzie zajmować, wówczas gdy pojawi się „problem uchwały" w tej kwestii. Wówczas każdy powinien zadecydować „w zgodzie ze swoim sumieniem". Aborcja – mówił – „to niewątpliwie nie jest jedyna rzecz, którą trzeba brać pod uwagę przy ocenianiu, który z kandydatów jest lepszy na urząd prezydenta. Są inne kwestie polityczne, gospodarcze, sprawy o znaczeniu krajowym lub międzynarodowym. Nie można tak ułatwiać sobie tych wyborów". Następnie wskazywał na… niechęć do Rosjan, Niemców i Żydów oraz na kwestię migracji… Jaka płynęła z tego wywiadu nauka, jest oczywiste: ci, którzy twierdzą, że na Trzaskowskiego po prostu nie wolno zagłosować, bo popiera aborcję, nie mają racji. Wywiad, jeśli w ogóle mógł przynieść jakiś skutek, to tylko jeden: zniechęcić do głosowania na Karola Nawrockiego.

Na tym nie koniec. 30 maja KAI opublikowała obszerny wywiad ze znanym czeskim kapłanem i filozofem, Tomaszem Halikiem. Trudno założyć, by agencja nie wiedziała, co robi: ks. Halik nie ukrywa swoich poglądów. Zaledwie kilka lat temu manifestacyjnie poparł kandydaturę Zuzany Čaputovej w wyborach prezydenckich na Słowacji, choć ta – jako wiceszefowa partii Postępowa Słowacja – nie należała bynajmniej do konserwatystów. Otwarcie sprzeciwiała się np. objęciu dzieci nienarodzonych większą ochroną prawną. Dlatego nikogo nie mogły zaskoczyć epitety, którymi obrzucał prawicę w wywiadzie dla KAI. Czeski kapłan wezwał do tego, by zjednoczyć się „przeciwko tsunami fake newsów, uprzedzeń, stereotypów i trujących ideologii, takich jak populizm, nacjonalizm i fundamentalizm religijny". Następnie de facto oskarżył wyborców prawicy o głupotę. „Ludzie pozbawieni umiejętności krytycznego myślenia, bez szerszych perspektyw lub pozytywnego doświadczenia w kontakcie z innymi kulturami, są często zaniepokojeni, zszokowani, sfrustrowani i zdezorientowani szybkimi zmianami w naszym świecie. Populiści i demagodzy proponują im proste odpowiedzi na złożone pytania, które pokazują, jak to ujął jeden z moich przyjaciół, »co myślą ludzie, którzy nie myślą«" – grzmiał. Pomstował na „niektóre prawicowe partie" w Europie mające „nadużywać chrześcijaństwa". Wreszcie określił prezydenta USA Donalda Trumpa mianem niemoralnego potwora i klauna o gestach oraz mimice Benita Mussoliniego. Kto przeczytał cały wywiad z czeskim filozofem i postanowił kierować się jego wskazaniami, mógł dwa dni później podjąć tylko jedną decyzję: byle nie Nawrocki; to w końcu jakiś polski bieda-Trump…

W okresie wyborczym w Internecie można było znaleźć jeszcze wiele

eprasa.pl ad30e406bf

FOT. ADOBE STOCK

ekstrawaganckich głosów mniej znanych duchownych. Przykładowo jezuita o. Jacek Prusak ogłosił w social mediach, że „wynik Brauna to najwyższa porażka polskiego Kościoła" i to „naprawdę boli". Rozumiem oczywiście, że można nie lubić Grzegorza Brauna albo nawet uważać jego retorykę za niezgodną z nauczaniem Kościoła katolickiego. Daleka jednak od tego droga do uznania go za „najwyższą porażkę" katolicyzmu w naszym kraju, bo – trudno się chyba z tym nie zgodzić – łatwo wskazać porażki dalece większe czy też po prostu faktyczne… Oprócz samego Rafała Trzaskowskiego, którego w tych wyborach popierali też tacy gorliwi katolicy jak Roman Giertych, to choćby lewicowa część środowiska PiS – ludzie, którzy jednego dnia potrafią pokazać się w kościele, a drugiego popierają „kompromis aborcyjny" albo głosują za ustawą o finansowaniu in vitro z budżetu państwa. To jest dopiero prawdziwa porażka! O nich jednak o. Prusak nic nie napisał, skupiając się właśnie na Grzegorzu Braunie.

Inny jezuita, o. Krzysztof Mądel, wziął niejako udział w bardzo brudnej kampanii, komentując w serwisie „X" doniesienia o udziale Karola Nawrockiego w ustawkach kibolskich. „Z ostatniej ustawki z Lechem nikt żywy nie wrócił" – napisał, nawiązując w tak ohydny sposób do katastrofy smoleńskiej. Został później upomniany przez władze Towarzystwa Jezusowego, które zapowiedziały, że duchowny rozpocznie „proces dezaktywizacji konta". Warto pytać władze jezuitów, kiedy ten proces się zakończy, bo na X o. Krzysztofa cały czas można zobaczyć nowe wpisy, m.in. taki, w którym określa prezydenta elekta mianem człowieka o „skromnym katalogu wartości".

BIERNA ZGODA KOŚCIOŁA

Skąd to wszystko się bierze? Powiedziałbym, że niektórzy duchowni dają publiczny wyraz swojej niechęci do prawicy, bo… mogą. Kościół katolicki przestał jasno wypowiadać się na tematy polityczne i społeczne, od klarowności woląc mniej polaryzujące kluczenie czy zgoła milczenie. Papież Franciszek w czasie wyborów prezydenckich w USA ogłosił, że złymi kandydatami są zarówno Donald Trump, jak i Kamala Harris, bo pierwszy nie chce migrantów, a druga popiera aborcję. W naszym kraju w czasie rządów PiS część biskupów urządzała sobie medialne połajanki, krytykując władze za obronę wschodniej granicy przed imigrantami nasyłanymi tu przez Łukaszenkę. Kiedy parlament przyjmował w listopadzie 2023 r. ustawę o finansowaniu in vitro, panowało niemal powszechne milczenie. Dopiero kiedy ustawa była już na biurku prezydenta Andrzeja Dudy, obudził się abp Stanisław Gądecki i zaapelował, na próżno, o jej odrzucenie. O tym, by jakikolwiek polityk został przy okazji wyborów wskazany przez biskupów jasno i wprost jako kandydat niegodziwy, można tylko pomarzyć. W tym klimacie niejednoznaczności wydaje się, że wszystko wolno, a jasnych granic nie ma. Skoro nie piętnuje się po imieniu oczywistego zła…

Dlaczego tak jest? Sądzę, że jedną z najgłębszych przyczyn jest pogodzenie się Kościoła katolickiego z demokracją liberalną. Dziś rosnąca liczba katolików – problem wykracza daleko poza duchowieństwo – uznała, że dla obecnego systemu nie ma już żadnej alternatywy. Pewnie, rzeczywistość trzeba dostrzegać, ale nie wolno abdykować z jej ocenienia. Nie chodzi nawet o to, że Kościół winien aktywnie lobbować za monarchią czy inną niedemokratyczną formą rządów. Potrzebne jest jednak choćby jasne wezwanie do oparcia porządku demokratycznego na kategorii prawdy.

W absolutnej większości krajów demokratycznych, a na pewno w całej Unii Europejskiej prawdy tymczasem w ogóle nie ma: obowiązuje tylko to, co ustali większość. Kościół przyzwyczaił się do dawania na to biernej zgody. Jeżeli gdzieś nawet zalegalizowane zostaną aborcja na życzenie do samego końca ciąży, łatwo dostępna eutanazja albo homoseksualne pseudomałżeństwa z prawem do adopcji dzieci, to pojawią się, owszem, werbalne protesty, zorganizuje się może jakiś marsz, ale… na tym koniec. Biskupi, księża czy świeccy teologowie nie próbują dokonać krytycznej refleksji, która mogłaby doprowadzić do teoretycznej delegitymizacji takiego systemu. Przyjmuje się za polityczny dogmat, że cokolwiek uchwali się w demokracji liberalnej, to ostatecznie należy to zaakceptować jako wyraz woli większości – możliwa jest tylko ugładzona krytyka. W efekcie kolejne szalone poglądy zyskują nimb normalności i dopuszczalności. Nie wyobrażam sobie, żeby katolicka opinia publiczna jeszcze 100 lat temu traktowała poważnie i z pełnym szacunkiem ludzi, którzy otwarcie wzywają do wbijania igieł z trucizną w serca małych dzieci, bo takie jest akurat widzimisię jego rodziców i lekarza. Tymczasem dziś politycy głoszący te barbarzyńskie i wprost mordercze poglądy są traktowani również przez ludzi Kościoła, w tym świeckich, jako w pełni uprawnieni członkowie demokratycznej wspólnoty debaty.

To nic innego jak zaczadzenie liberalizmem etycznym. Z tym trzeba radykalnie zerwać, przypominając, gdzie leży granica, której przekraczać nie wolno. Ma rację ks. prof. Adam Szostek, mówiąc, że aborcja nie jest jedynym tematem, który istnieje, ale zgoda na nią kandydata po prostu dyskwalifikuje. O tym musimy pamiętać i głośno to mówić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl ad30e406bf

Z Piotrem Korczyńskim
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Wjazd gen. Jana Henryka Dąbrowskiego do Rzymu, obraz Januarego Suchodolskiego

FOT. LIGIER PIOTR/MN W WARSZAWIE

Katastrofa Legionów Polskich

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Motorem napisania książki „Krew i popiół. Polscy żołnierze Napoleona" była kinematografia?

PIOTR KORCZYŃSKI: Zdecydowanie tak. Pamiętam do dziś ten pochmurny piątek wieczorową porą 24 listopada 2023 r., gdy z krakowskiego kina Kijów wyszła dość spora grupa widzów. Większość, do której i ja się zaliczałem, nie miała zadowolonych min. Zdarzyło się to po pokazie superprodukcji „Napoleon" w reżyserii Ridleya Scotta. Brytyjski reżyser i jego amerykański scenarzysta David Scarpa nawiązali do bogatej tradycji Albionu przedstawiania Boga Wojny w karykaturalnej formie.

Jednak jestem wdzięczny za ten zawód kinomana, bo w ramach „odtrutki" odświeżyłem sobie takie arcydzieła, jak „Napoleon" Abela Gance'a – sprzed bez mała stulecia, „Waterloo" Siergieja Bondarczuka z 1970 r. czy „Pojedynek" – debiut R. Scotta (1977), adaptację opowiadania Josepha Conrada. A przede wszystkim reżyserowaną przez Andrzeja Wajdę ekranizację „Popiołów" Stefana Żeromskiego, która wywołała nad Wisłą wielkie dysputę i ferment. I te tytuły skłoniły mnie, by napisać książkę o polskich żołnierzach Napoleona, a jednocześnie wyjść poza ramy tej epoki. Pokazać, jak silnie owa tradycja determinowała naszą historię i dzieje oręża.

Bohaterowie publikacji rozpoczęli wojaczkę od likwidacji rebelii na Półwyspie Apenińskim?

We Włoszech Legiony Polskie częściej – mówiąc obrazowo – były w rękach Napoleona kastetem niż szablą. Legionistów zmuszano do tłumienia licznych powstań chłopskich i starć z wojskami lokalnych państewek, których władcy usiłowali zahamować ekspansję Napoleona. Regularne boje z naszymi zaborcami – przede wszystkim Austriakami i wspierającymi ich Rosjanami, pod rozkazami feldmarszałka Aleksandra Suworowa – właściwie stanowiły „przerywniki" ciągu tych kampanii. Zresztą podobnie było później na ziemiach niemieckich, Antylach czy w Hiszpanii. Powstanie na San Domingo i wojna hiszpańska przekonują, że nasz mężny żołnierz aż nazbyt często przemieniał się w żandarma. Chociaż wiele relacji Włochów, Niemców, Hiszpanów czy Haitańczyków dowodzi, że w odróżnieniu od Francuzów polscy żołnierze potrafili powściągnąć okrucieństwo czy chęć rabunku.

Pierwsze walki z armiami polskich zaborców zakończyły się niepomyślnie?

Jeśli się przyjrzeć pobieżnie losom Legionów Polskich, to można dojść do wniosku, że cały ten „projekt" skończył się katastrofą. Po kampaniach włoskich i niemieckich Napoleona niedobitki Legionów, wzięte na francuski żołd jako półbrygady, trafiły na Karaiby, gdzie czekało na nich piekło wojny kolonialnej… Jednakże bez Legionów gen. Jana Henryka Dąbrowskiego nie byłoby później Wojska Polskiego księcia Józefa Poniatowskiego. Pamiętajmy, że gen. Bonaparte niechętnie dał Dąbrowskiemu pozwolenie na formowanie polskich oddziałów przy republikach włoskich, gdyż zyskaliśmy w Europie opinię – udatnie podsycaną przez zaborców – nieudaczników, którzy zaprzepaścili własne państwo. To właśnie w dużej mierze legioniści przypomnieli światu, jak bitny potrafi być polski żołnierz. Wprawdzie choć planu Legionów, do dziś zawartego w tekście „Mazurka Dąbrowskiego" („Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę…"), nie zrealizowano, bo Legiony nigdy od południa do kraju nie wróciły, to w 1806 r. część ich weteranów przebyła drogę odwrotną. Najpierw przeprawili się przez Wartę, potem Wisłę, by zostać żołnierzami Wojska Polskiego.

Czarną legendą dziejów formacji stała się ekspedycja na San Domingo?

Powszechnie się uważa, że była ostatnim gwoździem do trumny Legionów, a Napoleon celowo skazał je na ten straszliwy los, ponieważ nie ufał tym żołnierzom, zbyt „zarażonym" republikańskim i rewolucyjnym duchem, których pierwszy konsul – myślący o władzy dyktatorskiej – pragnął ze swej armii wyrugować. Wokół San Domingo narosły całe „rafy" mitów, choćby ten o masowym przechodzeniu Polaków na stronę haitańskich powstańców, powstały w wyniku fałszerstwa nieuczciwych kwatermistrzów. Zapominamy, że w tej egzotycznej batalii legioniści walczyli, będąc na francuskim żołdzie. Jeśliby szukać jakichś pozytywów tego smutnego epizodu, to z pewnością są nimi przygody polskich… korsarzy. Legioniści ocalali z wyspiarskiej batalii zapisali w dziejach piractwa karaibskiego istotną, choć ciągle mało odkrytą kartę. Przypomniany przeze mnie mjr Kazimierz Lux mógłby konkurować z – ponownie wskażę ekran – Jackiem Sparrowem.

A kiedy i dlaczego Polacy trafili do Hiszpanii?

Udział polskich żołnierzy w krwawej wojnie za Pirenejami stanowił cenę, którą

eprasa.pl ad30e406bf

musieliśmy uiścić za stworzenie namiastki państwowości w postaci Księstwa Warszawskiego. Takie były postanowienia układu podpisanego 10 maja 1808 r. w Bajonnie (stąd słynne bajońskie kwoty, które przeszły do potocznego języka). Oprócz pieniędzy zobowiązywaliśmy się do przekazania pod francuską komendę 8 tys. żołnierzy. Z armii Księstwa Warszawskiego wydzielono trzy pułki piechoty, kompanie artylerii i saperów, które pod szyldem Dywizji Księstwa Warszawskiego wysłano na wojnę do Hiszpanii. Od kilku miesięcy tkwili już w niej rodacy z innej formacji – Legii Nadwiślańskiej. W dużej mierze tworzonej z oddziałów pozostających na służbie Neapolu. Latem 1807 r. znaleźli się na Śląsku, gdzie dołączono do nich młodych rekrutów i nazwano Legią Polsko-Włoską. Najpierw służyła Westfalii, a w roku 1808 przeszła na żołd francuski i jako Legia Nadwiślańska – w sile trzech pułków piechoty oraz pułku jazdy – trafiła na Półwysep Iberyjski. Piechota brała udział w oblężeniach Saragossy. Większe uznanie zdobyli Ułani Nadwiślańscy, przez swą skuteczność nazwani piekielnymi lansjerami. Sławą przebili ich – dzięki brawurowej szarży na przełęczy Somosierra – szwoleżerowie pod dowództwem płk. Jana Kozietulskiego.

Na terenie Rzeczypospolitej chrzest bojowy jednostek polskich w służbie Francji nastąpił w Wielkopolsce?

Zbyt mało się u nas eksponuje zwycięskie powstanie wielkopolskie 1806 r., kiedy to po rozgromieniu przez Napoleona Prusaków francuskie pikiety przekroczyły granice ich zaboru, wywołując lawinę patriotycznego entuzjazmu wśród Wielkopolan. Napoleon, wezwawszy z Włoch gen. Dąbrowskiego, rozkazał mu sformować trzytysięczną armię polską. Ten szybko przedstawił projekt poboru w departamentach poznańskich 8,6 tys. rekrutów, a w grudniu dołączyły do tego departamenty warszawskie. Napoleon zdobył potężne wsparcie militarne. Ktoś powie, że to wszystko stracono w następnych latach, i bardzo się pomyli, ponieważ właśnie wtedy udowodniliśmy, iż nie może być mowy o wymazaniu Polski z mapy i historii.

Rok 1809, że zacytuję tytuł powieści Wacława Gąsiorowskiego, przyniósł odrodzonemu wojsku polskiemu egzamin dojrzałości. Zdany?

Jak najbardziej. Zmartwychwstanie Polski pieczętowano na polu walki. Wojsko fachowo dowodzone przez księcia Poniatowskiego – wówczas dla większości Polaków bynajmniej nie wzór ani ikona (i nie chodziło jedynie o to, że był lekkoduchem; pamiętano też, iż to dawny oficer austriacki występujący nagle przeciwko swym przyjaciołom, pośród nich głównodowodzącemu armii austriackiej, arcyksięciu Ferdynandowi) – najpierw na raszyńskich groblach, a później pod Sandomierzem i w Galicji imponowało heroizmem, odwagą i efektywnością. Nie tylko obroniliśmy granice „podarowane" przez Napoleona, lecz także rozszerzyliśmy je o ziemie zaboru austriackiego z Krakowem i Lublinem.

PIOTR KORCZYŃSKI
„KREW I POPIÓŁ"
ZNAK HORYZONT 2025

Niemal 100-tysięczne siły polskie nie zdołały w wojnie z Rosją przechylić szali zwycięstwa na rzecz cesarza Francuzów?

Należy pamiętać, że nasze jednostki uczestniczące w tej kampanii podzielono i poddano zwierzchności Francuzów. Nie zawsze szczęśliwej. Abstrahując od wszystkich błędów tej wyprawy Bonapartego, musimy uwypuklić, że polskie formacje nie zawiodły. Byliśmy najmniej podatną na rozkład i utratę morale częścią Wielkiej Armii.

Sądziłem, że kres polskich oddziałów napoleońskich przyszedł wraz z bitwą narodów – pod Lipskiem.

Staliśmy przy cesarzu aż do Waterloo, gdzie szwoleżerowie gen. Jana Pawła Jerzmanowskiego gromili doborową konnicę brytyjską. Jednym z bohaterów mojej książki jest płk Adam Hupet, rodowity Francuz o polskim sercu. Wojować zaczynał jeszcze pod komendą Tadeusza Kościuszki, a w 1815 r. odtwarzał 7. Pułk Lansjerów, którego żołnierze stoczyli ostatnią potyczkę ery napoleońskiej – przy moście w Saint-Cloud. Polacy naprawdę zasłużyli na miano „najwierniejszych z wiernych".

Przywołuje pan – znowu posłużę się filmową konotacją – siedmiu wspaniałych.

W swej narracji obficie czerpałem z ich wspomnień. Oczywiście niebagatelne były także życiorysy. Stworzyli barwną mozaikę wszystkich „polskich dróg" w wojnach napoleońskich.

Jeden z opisanych był Francuzem, kolejny parał się korsarstwem, inny spędził kilka lat w hiszpańskich więzieniach...

O Hupecie i Luksie już napomknąłem. Wzmiankowany jeniec hiszpański, kpt. Stanisław Brekier, doświadczył pobytu w – nazwijmy to terminem późniejszym, lecz całkowicie adekwatnym – obozie koncentracyjnym. Pułkownik Ludwik Bogusławski był w Wielkiej Armii asem pojedynków, płk Józef Szumlański uczestniczył w ekspedycji egipskiej Napoleona, a pod Austerlitz służył w... w rosyjskich kirasjerach, kpt. Antoni Białkowski na czele krakusów eskortował w ostatniej drodze do kraju ciało księcia Poniatowskiego...

Najbardziej znanemu bohaterowi pańskiej książki nieśmiertelność zapewniło pióro...

Twórczość kpt. Aleksandra hrabiego Fredry, kawalera Orderu Virtuti Militari, zajmuje poczesne miejsce w kanonie literatury polskiej. Jego niewielka objętościowo opowieść z kampanii napoleońskich, pt. „Trzy po trzy", to nie tylko rezerwuar wojennych anegdot, lecz takze przenikliwa, często skrzącą się ironią, ocena sensu naszego zaangażowania po stronie Francji. Konkluzja tej pouczającej lektury brzmi: mimo wszystkich ofiar i klęsk oraz częstej „niewdzięczności" cesarza Francuzów warto było trwać przy nim, choćby dla tej patriotycznej tradycji, którą z pokolenia na pokolenie czcimy, śpiewając hymn narodowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Korczyński – absolwent UJ, historyk, grafik, publicysta, autor książek, m.in. „Dawno temu na Dzikim Zachodzie", „Śladami Szeli, czyli diabły polskie", „Wojownicy, żołnierze i śmierć nie zawsze pełna chwały", „Przeżyłem wojnę... Ostatni żołnierze walczącej Polski", „Zapomniani. Chłopi w Wojsku Polskim", „15 sekund. Żołnierze polscy na froncie wschodnim", „Dzika dywizja. Historia czerwonych beretów" oraz najnowszej: „Krew i popiół. Polscy żołnierze Napoleona".

eprasa.pl ad30e406bf

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Czerwona dynastia

Ciągle mało wiemy o kulisach władzy w Polsce Ludowej. Drogi życiowe rodzonych braci – Niomy (Beniamina) oraz Joska (Józefa) Goldbergów – to historia nie tylko zbrodniczej partii komunistycznej w Polsce po 1944 r. Działali na różnych płaszczyznach i pod różnymi nazwiskami, ale przyświecał im ten sam cel. Przed wojną działali w nielegalnej KPP, zapewne byli w siatce agenturalnej NKWD. Co ciekawe, pierwsze szlify uzyskali w syjonistycznych organizacjach młodzieżowych. W latach 1937–1938 zakładali tzw. Kluby Demokratyczne, z których powstało… Stronnictwo Demokratyczne. W Polsce podziemnej fikcyjna, mikroskopijna partyjka znalazła się pod szczególną opieką płk. Jana Rzepeckiego, szefa BiP KG AK.

Po 1944 r. Nioma został „Jerzym Borejszą" i był dyktatorem propagandowym reżimu. Natomiast Josek stał się „Józefem Różańskim" i był jednym z władców krwawej bezpieki – szefem Departamentu Śledczego MBP. Przyszedł tam z NKWD, gdzie zajmował się oficerami WP, którzy dostali się do sowieckiej niewoli. W MBP okres jego panowania to była „różańszczyzna". Osławił się sadystycznymi torturami i poniżaniem kobiet w śledztwach. Nie zachowywał pozorów, kim jest i co może zrobić z więźniem. Podczas procesu ks. bp. Czesława Kaczmarka i księży kurii kieleckiej w trakcie rozprawy zagroził księdzu biskupowi podczas jego zeznań: „Ja już skułem mordy obrońcom i przestrzegam księdza biskupa, aby nie poważył się więcej na podobne postępowanie". Budził powszechny strach również wśród członków partii.

W marcu 1954 r. kariera „krwawego Jacka" została przerwana. Jako jeden z nielicznych zbrodniarzy został postawiony przed sądem i skazany na więzienie, ale wyłącznie za rozgrywki wewnętrzne w partii. W 1956 r. na plenum KC PZPR stał się – obok Jakuba Bermana – synonimem „błędów i wypaczeń". Towarzysze dopiero wtedy zdecydowali się o nim mówić: „Ludzi łapano na ulicy i wypuszczano po siedmiu dniach badania niezdolnych do życia. Ludzi tych trzeba było odwozić do Tworek. Ludzie chronili się do Tworek, żeby nie dostać się do UB. Udawali wariatów".

Prawda zaczęła (na krótko) wychodzić na jaw: „Całe miasto wiedziało, że ludzi mordują […], że Różański zdziera ludziom paznokcie osobiście z rąk…".

Za zbrodnie popełnione na polskich niepodległościowcach nigdy nie odpowiedział. W 1957 r. skazano go na 15 lat. Cieszył się licznymi przywilejami i ulgami. Już w 1964 r. został ułaskawiony. Zmarł w 1981 r. i pochowano go na cmentarzu Żydowskim w Warszawie. Obecnie w Wikipedii przedstawiony jest m.in. jako… „polski prawnik". ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Oddychający grobowiec

Z upływem wieków rosła sława poległego pod Warną króla Polski i Węgier, a bohaterska śmierć zupełnie przysłoniła negatywny bilans jego panowania. Zajęty sprawami nowego królestwa zaniedbał rodzinny kraj, a zbierając środki finansowe na wojny za Karpatami, zrujnował krakowski skarbiec. Litwa uzyskała niezależność, doszło nawet do zatargów granicznych z podległym Polsce Mazowszem. Warneńczyk od chwili wyjazdu na Węgry nie pojawił się nad Wisłą, a wiele spraw odkładano na później. Oczekiwano, że przybędzie po zawarciu pokoju z sułtanem, jednak zamiast tego przyszła wiadomość o klęsce pod Warną i jego śmierci.

Przetrwała jednak legenda młodego i szaleńczo odważnego krzyżowca. Nic zatem dziwnego, że car Mikołaj I, oficjalnie noszący polską koronę, podczas jednej z wojen z Turcją nakazał poszukiwania na dawnym polu bitwy. Podobno planował też wzniesienie w Warszawie kolumny odlanej z armat zdobytych na Turkach jako „symbolu zwycięstwa, które pomściło klęskę pod Warną". Wybuch powstania listopadowego pokrzyżował jednak te plany.

W latach 30. ubiegłego wieku na polecenie ówczesnego władcy Bułgarii wzniesiono w pobliżu dawnego pola bitwy pomnik mauzoleum polskiego króla. Powstał on w wyniku przebudowy trzech trackich kurhanów grobowych i już w chwili powstania nie zachwycał urodą. Późniejsze, socrealistyczne dodatki tylko jeszcze pogorszyły optykę jego postrzegania. Tym bardziej że okolica wygląda na mocno zaniedbaną, o czym miałem okazję osobiście się przekonać. Wewnątrz zlokalizowane jest niewielkie muzeum poświęcone bitwie, ale jego zbiory są rozczarowaniem, a plastikowy koń z nasadzoną na grzbiet zbroją może odstraszyć każdego. Znajduje się tam jednak symboliczny grób króla Polski i Węgier, nad którym warto się chwilę zatrzymać.

Nigdy nie odnaleziono ciała Warneńczyka i być może dlatego władca posiada dwa symboliczne miejsca pochówku. Drugie znajduje się w katedrze wawelskiej, gdzie 7 lipca 1906 r. odsłonięto nagrobek na jego cześć. Powstał w stylu historyzującym, podkreślając cnoty Warneńczyka jako rycerza i krzyżowca, co miało być elementem bohaterskiej legendy młodego króla. Z czasem pojawiły się jednak informacje, że figura władcy na nagrobku miała oddychać, a nawet cicho pojękiwać. Był to rzekomo dowód, że dusza monarchy wciąż pokutowała za wiarołomne złamanie zaprzysiężonego traktatu z sułtanem. Najwyraźniej śmierć w walce z poganami nie wydała się twórcom legendy wystarczającym odkupieniem. Inna sprawa, że Wawel od stuleci jest miejscem, gdzie dzieją się sprawy, których czasami nie można jednoznacznie wyjaśnić… ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

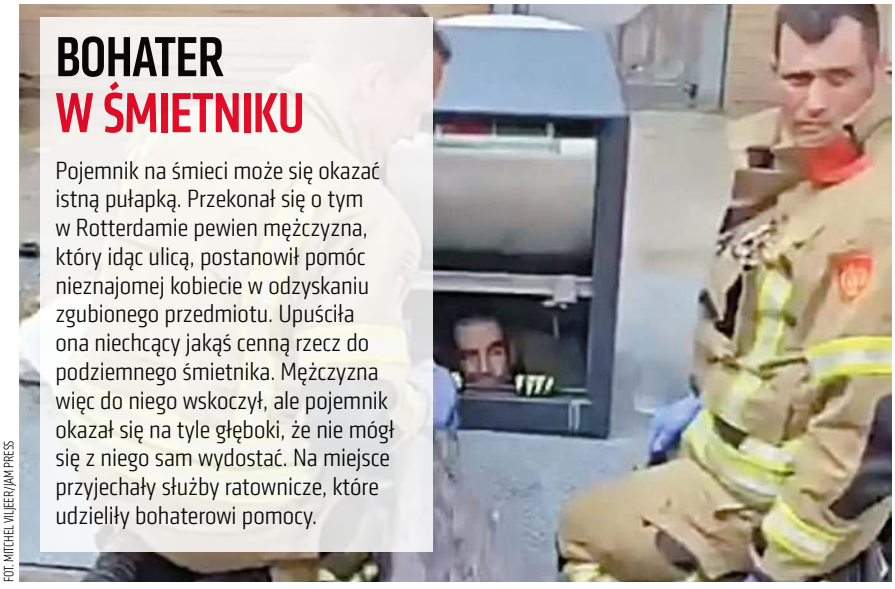

FOT. MITCHEL VILJEER/JAM PRESS

BOHATER W ŚMIETNIKU

Pojemnik na śmieci może się okazać istną pułapką. Przekonał się o tym w Rotterdamie pewien mężczyzna, który idąc ulicą, postanowił pomóc nieznajomej kobiecie w odzyskaniu zgubionego przedmiotu. Upuściła ona niechcący jakąś cenną rzecz do podziemnego śmietnika. Mężczyzna więc do niego wskoczył, ale pojemnik okazał się na tyle głęboki, że nie mógł się z niego sam wydostać. Na miejsce przyjechały służby ratownicze, które udzieliły bohaterowi pomocy.

WSZYSTKO PRZEZ PARASOL

Parasol nie tylko chroni od deszczu, lecz także może ściągnąć kataklizm. Tak się stało na jednej ze stacji metra w mieście Meksyk. Na tory spadł parasol. Następnie przejechał po nim pociąg. Nastąpiło zwarcie linii elektrycznej i doszło do eksplozji. Wybuchł pożar. Ludzie przebywający na peronie wpadli w panikę. Na szczęście obyło się bez ofiar.

MARTWY ZAKAZ

W Manhattan Beach (USA) do kawiarni przyszła kobieta z psem. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że w miejscu tym obowiązuje zakaz wprowadzania zwierząt. Informuje o tym tabliczka. Jeden z klientów zwrócił więc właścicielce psa uwagę. Kobieta zareagowała na to oburzeniem i – jak on twierdzi – rzuciła pod jego adresem obraźliwe słowo. Tymczasem gospodarze kawiarni nawet się nie odezwali.

NIEDŹWIEDŹ NA LOTNISKU

Dzika przyroda coraz bardziej wdziera się w życie ludzi. Przekonali się o tym pasażerowie samolotów na lotnisku Yamagata w Japonii. Na jego płytę wtargnął – nie po raz pierwszy – niedźwiedź. Trzeba było odwołać loty. Pracownicy lotniska chcieli przegonić zwierzę samochodem i zamknęli pas startowy. Ale nadal błąkało się ono po okolicy. Spotkania ludzi z niedźwiedziami to – według statystyk – coraz częstsze zjawisko w Japonii.

POTAJEMNA TRANZYCJA

Sarah i Terry Osborne'owie toczą bój z władzami okręgu szkolnego w Houston. Nastoletnia córka tego małżeństwa zażyczyła sobie, by w szkole zwracano się do niej męskim imieniem. Kadra nauczycielska przychyliła się do tej prośby, lecz zrobiła to wbrew rodzicom. Osborne'owie nie wyrazili bowiem zgody na coś, co określili mianem „potajemnej tranzycji społecznej". ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Europa hamuje, Polska nie!

Polska gospodarka w tym roku i w kolejnym będzie rozwijała się najszybciej spośród gospodarek krajów regionu – wynika z najnowszej prognozy firmy doradczej Deloitte.

Konsensus prognoz instytucjonalnych i biznesowych Deloitte przewiduje, że PKB krajów Europy Środkowej wzrośnie o 2,6 proc. Polska ma jednak osiągnąć wzrost na poziomie 3,4 proc., wyprzedzając Chorwację (3,0 proc.), a także zostawiając daleko w tyle takie kraje regionu jak Węgry (z prognozowanym wzrostem na poziomie 1,0 proc.) czy Rumunia (której gospodarka ma się w tym roku rozwijać w tempie 0,7 proc.).

Do podobnego wniosku doszli również autorzy nowego raportu EY, którzy spodziewają się, że Polska w ciągu najbliższych dwóch lat będzie mogła pochwalić się wzrostem PKB, sięgającym nawet 3,5 proc. rocznie. Naszą gospodarkę mogą napędzać m.in. nowe technologie oraz ogromne inwestycje zagraniczne w Internet rzeczy czy w AI.

Jednocześnie Polska ma szansę się rozwijać w tempie, którego kraje zachodniej Europy będą mogły nam tylko pozazdrościć. Eksperci Deloitte prognozują bowiem, że np. niemiecka gospodarka pozostanie bliska stagnacji (w tym roku ma wzrosnąć o 0,3 proc., a w roku przyszłym o 1,1 proc.).

W trudnej sytuacji geopolitycznej i przy groźbie globalnego kryzysu z prognoz szybkiego rozwoju Polski można się tylko cieszyć. A jednocześnie prosić polityków: przestańcie psuć! Polska gospodarka rozwija się bowiem w szybkim tempie nie dzięki rządzącym, ale mimo rządzących, którzy bredzą o fałszerstwach wyborczych, odstraszają jakością stanowionego prawa czy zgodą na ETS2. ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

Wojciech Golonka

Komiwojażer pokoju

FOT. JAKUB PORZYCKI/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Wasale USA pokornie wybrali opcję płacenia za utrzymanie amerykańskiego ładu. Nie jest to, jak by chcieli niektórzy, haracz mafijny. Natomiast bez wątpienia Donald Trump świetnie skonsumował to, czego sam nie zasiał – kilka lat ochoczo kreowanej i podsycanej psychozy o niechybnej inwazji Rosji na wszystkie kraje Europy z osobna i razem wzięte uczyniło zawoalowane ultimatum prezydenta Ameryki propozycją nie do odrzucenia

Wiele ostatnich głośnych sukcesów Donalda Trumpa, odniesionych praktycznie jeden po drugim, dało mu wreszcie chwilowe uznanie, którego spora większość mediów chronicznie odmawia jego prezydenturze. Prawdą jest, że pod jego adresem nawet tego rodzaju pochwały potrafią przybierać formę krytyki, niemniej to właśnie jego ruchy i osiągnięcia zdawały się dyktować w ostatnim czasie błyskawiczne tempo zdarzeniom, które skumulowały się w sposób wzbudzający podziw, a przynajmniej poważanie.

Najpierw nastąpiło błyskawiczne wstrzymanie wojny żydowsko-perskiej, po spektakularnej misji zbombardowania przez USA irańskich ośrodków jądrowych. Bezpośrednio potem prezydent Stanów Zjednoczonych przybył na szczyt NATO w Hadze w budzącej respekt aurze potęgi i zwycięstwa, którą w dodatku okrasił przejawem irytacji wobec Izraela, buńczucznie igrającego z zawieszeniem broni. Jak wiadomo, mimo votum separatum Hiszpanii szczyt sojuszu północnoatlantyckiego bez zająknienia przyjął forsowany przez USA imperatyw zwiększenia do 2035 r. wydatków na obronność przez państwa sojusznicze – do wysokości 5 proc. ich PKB. Następnie ogłoszono podpisanie przez Waszyngton porozumienia handlowego z Pekinem, kończącego de facto ogólnoświatowe niepewności amerykańskiej wojny celnej, a informacja ta spowodowała publiczne bicie się w piersi ekonomistów – przyznających, że wbrew ich prognozom polityka celna Trumpa, zamiast zwiastowanej katastrofy, przynosi pozytywne efekty. W końcu zapadło niezwykle ważne orzeczenie Sądu Najwyższego USA, odbierające sędziom federalnym możliwość wydawania nakazów blokujących władzę wykonawczą prezydenta na poziomie stanowym, ukracające tym samym samozwańczą władzę nieformalnej republiki lewackich sędziów.

PAX AMERICANA

W tym godnym podziwu maratonie brakuje jeszcze, dla osiągnięcia przełomu w prezydenturze Donalda Trumpa, ostatecznego przegłosowania ustawy budżetowej, umożliwiającej mu pełną realizację jego polityki wewnętrznej, w tym oczekiwanego wzrostu gospodarczego – choć zwycięstwo to może nabrać gorzkiego smaku. Wszak w reakcji na tę ustawę Elon Musk zapowiedział utworzenie przezeń nowej politycznej siły – partii Ameryka – będącej odpowiedzią na mające nastąpić nowe ustalenie przez Kongres rekordowego limitu zadłużenia państwa. Jakkolwiek potoczy się wojenka między Muskiem a Trumpem, omawiana tu sekwencja tych różnorakich wydarzeń w dużej mierze ma wspólny mianownik w postaci podtrzymania i odnowienia Pax Americana – z jej ramieniem zbrojnym w postaci potęgi militarnej USA, opierającej się na nie mniej fundamentalnym filarze, którym jest amerykański przemysł zbrojeniowy. Pax Americana to bowiem w istotnej mierze globalne panowanie petrodolara (rozliczeń za ropę w amerykańskiej walucie), zapewnione powszechną dominacją wojskową, mającą także szachować rywalizujące z USA mocarstwa na geopolitycznej mapie.

Otóż spoglądając choćby na haski szczyt NATO po cezurze prezydentury Joe Bidena i związanym z nią ewidentnym brakiem wyraźnego przywództwa, Donald Trump rzeczywiście efektywnie i nawet przebojowo konsoliduje na nowo amerykański ład hegemoniczny na zachodniej półkuli, a jego autorytet nie budzi w tym zakresie sprzeciwu: Czy uznać słowa sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego o „tatusiu" porządkującym dziecięcą bójkę między Izraelem a Iranem za adekwatną przenośnię czy oderwany od realiów serwilizm (jedno zresztą nie wyklucza zupełnie drugiego)? Nie ma wątpliwości, że ten prymat i przywództwo są zasadniczo respektowane; nikt także, poza premierem Hiszpanii, nie zamierzał kraść Trumpowi show w Hadze (znamienne, że prezydent Wołodymyr Zełenski, zakładając na tę okazję coś na wzór marynarki, przestał się wizualnie wyróżniać, a zamiast domagać się od USA kolejnych pakietów pomocy, subtelnie zabiegał o ich zgodę na zakupienie przez Europę amerykańskiego uzbrojenia dla Ukrainy).

eprasa.pl ad30e406bf

Przy czym poklask i akceptacja werbalna to jedno, natomiast twarda rzeczywistość tego amerykańskiego ładu po stronie wasali oznacza gigantyczny wzrost wydatków i inwestycji, w zasadzie w każdym wariancie na korzyść suzerena. Wszak tak rozumiana konsolidacja Pax Americana spowoduje, po pierwsze, zrównoważenie ogólnych obciążeń finansowych: jeśli w 2023 r. wydatki obronne USA stanowiły ok. 68 proc. wydatków całego sojuszu, to wraz z przyjęciem nowego celu 5 proc. PKB szacuje się, że udział ten spadnie do niecałych 54 proc. Innymi słowy, z jednej strony NATO bez USA wciąż byłoby pozbawione sensu, ale z drugiej – USA, pozostając niekwestionowanym liderem, będą miały większą elastyczność w swych priorytetach, do czego ewidentnie dążą. Ponadto konsolidacja ta siłą rzeczy przełoży się na zwiększenie inwestycji sojuszników w amerykański przemysł zbrojeniowy. Prawdą jest, że takie kraje jak Niemcy czy Francja, w tym kontekście nowego wyścigu zbrojeń, zamierzają z nieskrywaną pomocą Unii Europejskiej rozpędzić własne gospodarki i rodzimy przemysł zbrojeniowy. Niemniej szacuje się, że zakupy amerykańskiej broni przez kraje sojusznicze będą wciąż rosły – czego najlepszym przykładem jest Polska – a przecież już w samym okresie wojny rosyjsko-ukraińskiej wynosiły one kilkadziesiąt miliardów dolarów rocznie. Nie bez powodu zatem w komentarzach nazywano Donalda Trumpa najskuteczniejszym handlowcem przemysłu zbrojeniowego, skoro zdołał przekonać kraje sojusznicze do ponaddwukrotnego zwiększania budżetu ich wydatków (a przypomnijmy, że jeszcze nie tak dawno, za swej pierwszej prezydentury, forsował on cel wydatków na obronność w wysokości 2 proc. PKB krajów członkowskich NATO).

Ma się rozumieć, od założeń do i tak niepewnej realizacji droga jest daleka, poszczególne kraje mogą uciekać się do kreatywnej księgowości celem zawyżania wyników. A i samo porozumienie zakłada zresztą nowe kierunki mniej materialnych inwestycji, jak np. cyberbezpieczeństwo. Ale nawet przy takich równoważących rzeczywistą skalę tego zjawiska uwagach trzeba przyznać, że zachodnie założenia wyścigu zbrojeń pozostaną ambitne i częściowo kolizyjne z innymi wydatkami poszczególnych państw – jeśli, dla przykładu, taka Francja w latach 50. XX w. przeznaczała na swą obronność aż 7,5 proc. swego ówczesnego PKB, to jej wydatki socjalne skoczyły w tym czasie z poziomu od 15 proc. PKB do obecnych 33 proc. Z tego punktu widzenia prawdą jest, że europejskie kraje finansowały swą nieumiarkowaną politykę socjalną, przerzucając stopniowo koszty swej obronności na Amerykę. Ale równoważąc to zaburzone zjawisko i zmuszając Europę do urzeczywistnienia własnego potencjału obronnego, Trump, paradoksalnie, nie zamierza w ogóle miarkować tego typu wydatków po stronie samych Stanów Zjednoczonych. Wręcz przeciwnie – procedowana w Kongresie ustawa budżetowa przewiduje zwiększenie wydatków Pentagonu w 2025 r. do nieosiągniętej dotychczas granicy biliona dolarów. Dla kontrastu: u schyłku zimnej wojny budżet ten wynosił niecałe 300 mld dol., ale jej zakończenie bynajmniej nie spowodowało jego wyhamowania. Jednak od czasów zamachów z 11 września 2001 r. budżet ten dosłownie jedzie już – trzecią dekadę – „na sterydach", z brakiem należytej przejrzystości. Jak wiadomo, Pentagon oblał siedem audytów finansowych z rzędu, niezdolny uzasadnić wydatków na miliardy dolarów.

Niezależnie, czy w USA wygrywa jastrząb czy gołąbek, w obu przypadkach przychyli on nieba filarowi imperium w postaci przemysłu zbrojeniowego

KTO KOGO KONTROLUJE?

Wniosek z tej historii jest dwojaki. Po pierwsze, niezależnie, czy w USA wygrywa jastrząb czy gołąbek pokoju, w obu przypadkach przychyli on nieba filarowi imperium w postaci przemysłu zbrojeniowego – do tego stopnia, że niektórzy słusznie zadają pytanie, czy przypadkiem amerykańskie imperium nie istnieje wyłącznie lub przede wszystkim w tym celu. Wprawdzie analogie do Imperium Rzymskiego umożliwiają zniuansowanie tej kwestii – imperia po prostu tak mają, że utrzymują armie o rozmiarach i możliwościach imperialnych – ale właśnie ta analogia pozwala przejść do drugiego wniosku: otóż armie te, w rękach różnych rywalizujących ze sobą i szukających własnych korzyści frakcji, nie są w stanie pozostawać długo bezczynne. Innymi słowy, Donald Trump może jak najbardziej szczerze deklarować, że nie chce i nie zamierza wszczynać nowych wojen, a sama niezrównana siła militarna potrzebna mu jest do utrzymania pokoju i zapewniania dominacji amerykańskiego ładu – a jednocześnie napędzając tę nieprzejrzystą machinę astronomiczną kwotą biliona dolarów, nie tylko stwarza sytuację, w której ktoś mniej powściągliwy może łatwo wprawić ją na nowo w ruch, lecz także już teraz być może daje kroplówkę i tlen siłom wywrotowym, których tak naprawdę nie kontroluje. Albowiem nie da się zupełnie jednoznacznie odpowiedzieć, czy to obecny prezydent Stanów Zjednoczonych rzeczywiście kontroluje amerykańskie ramię zbrojne i paralelny doń przemysł zbrojeniowy czy to one, wprawdzie na „miękko", ale jednak swymi wpływami i intrygami kontrolują Biały Dom. Natomiast prawdą jest, że dopóki to amerykańska republika nie ma realnej przejrzystej kontroli nad swymi imperialnymi odnogami, dopóty obawy, że zachodzi bardziej ta druga możliwość, są jak najbardziej uzasadnione.

Świadomi swej niewystarczalności, postawieni przed alternatywą: albo nakłady w wysokości 5 proc. PKB, albo USA wychodzą z NATO wasale Ameryki pokornie wybrali opcję płacenia za utrzymanie amerykańskiego pokoju i ładu. Nie jest to, jak by chcieli niektórzy, haracz mafijny, natomiast bez wątpienia Trump świetnie skonsumował to, czego sam nie zasiał – kilka lat ochoczo kreowanej i podsycanej psychozy o niechybnej inwazji Rosji na wszystkie kraje Europy z osobna i razem wzięte uczyniło zawoalowane ultimatum Trumpa propozycją nie do odrzucenia. Innymi słowy, kiedy powszechnie znane są skłonności suzerena do braku umiaru w zakresie produkcji oręża i jego władania, nie racjonalizując własnej narracji, za jego pokój płaci się potem podwójnie. W praktyce nie 2 proc., a 5 proc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

Ukraiński Instytut Pamięci Nacjonalistycznej

Ołeksandr Ałfiorow, nowy szef Ukraińskiego IPN
FOT. VALENTYNA POLISHCHUK

Maciej Pieczyński

Zwolennik współpracy z Polską, a także wielbiciel Szuchewycza i obrońca dobrego imienia SS. Weteran „Azowa". Nominacja Ołeksandra Ałfiorowa na stanowisko szefa Ukraińskiego IPN to kontynuacja dotychczasowej polityki historycznej Kijowa

Końca wojny z Rosją nie widać. Nacjonalizm wciąż jest potrzebny. W takiej sytuacji naiwnością byłoby wierzyć, że polityka historyczna Kijowa w przewidywalnej przyszłości zmieni się znacząco na korzyść polskiej wrażliwości. Nie zmieni tego również nowy szef Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej (UINP). Ta instytucja dysponuje potencjałem nieporównywalnym do polskiego IPN, na którym jest wzorowana. Zatrudnia ok. 70 osób. Polski IPN – ok. 2,5 tys. Jeśli polski IPN dysponuje 400-milionowym budżetem, to jego ukraiński odpowiednik – ok. sześciomilionowym (w przeliczeniu na złotówki). A jednak kształtuje ukraińską politykę pamięci.

Lektura raportu UINP za 2024 r. pokazuje, jak ważne miejsce w tej polityce zajmują nacjonaliści. 27 stycznia, z okazji Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu, współpracownicy Instytutu wygłosili wiele referatów, w tym jeden pod znamiennym tytułem „Żydzi w UPA – uczestnicy walki o niepodległość Ukrainy". „Wołyń – miejsce, w którym narodziła się UPA" – to z kolei tytuł wystawy zorganizowanej przez UINP w Wołyńskim Muzeum Krajoznawczym w Łucku. Jak nietrudno się domyślić, jej autorzy całkowicie pominęli ludobójstwo na Polakach. „Ekspozycja opowiada o historii powstania i o etapach walki ukraińskiego ruchu wyzwoleńczego na Wołyniu" – reklamuje Instytut. Dyrektor muzeum stwierdził, że wystawa jest elementem „oczyszczania historii z sowieckich narracji". Wołyńska Rada Obwodowa, informując na swojej stronie internetowej o ekspozycji, zacytowała szefa Bractwa Żołnierzy OUN i UPA Kraju Wołyńskiego im. Kłyma Sawura, który pochwalił się, że jak dotąd ustalił nazwiska 33 tys. „bojowników o niepodległość Ukrainy".

Przypomnijmy, że Kłym Sawur bezpośrednio kierował akcją antypolską. Z raportów UINP nie dowiemy się o zbrodniach Ukraińców na Polakach, za to dowiemy się o Ukraińcach, których po drugiej wojnie światowej Polacy wypędzili z „ich ziemi". Czyli z Zakerzonia – „najbardziej położonej na zachód części ukraińskiego świata".

Szefem UINP był wówczas Anton Drobowycz. Filozof z wykształcenia, działacz społeczny. Początkowo posługiwał się łagodniejszą retoryką niż jego owiany w Polsce złą sławą poprzednik Wołodymyr Wiatrowycz. W praktyce jednak kontynuował jego politykę „symetrii win" w relacjach polsko-ukraińskich. Wiatrowycz był i jest człowiekiem Poroszenki, dziś zasiada w parlamencie jako deputowany Europejskiej Solidarności. Drobowycz z polityką nie ma nic wspólnego, ale na stanowisko został powołany przez ludzi Zełenskiego.

To pokazuje, czym różniło się podejście do przeszłości, prezentowane przez obecnego i poprzedniego prezydenta Ukrainy. Poroszenko szermował patriotyczną retoryką i demonstracyjnie stawał po stronie kultu OUN-UPA. Zełenski przeciwnie, wybrany na prezydenta został jako przeciwieństwo poprzednika, ale wojna sprawiła, że wszedł w jego ideologiczne buty. O Banderze czy Szuchewyczu nie mówi w zasadzie wcale, ale na kult przyzwala, a wobec Polski jest asertywny zarówno w polityce bieżącej, jak i w sferze polityki pamięci.

MUNDUR HISTORYKA

Drobowycz po zakończeniu pięcioletniej kadencji zrezygnował z ubiegania się

eprasa.pl ad30e406bf

o kolejną. Przez ostatnie ponad pół roku stanowisko szefa UINP pozostawało nieobsadzone. 27 czerwca rząd powołał na ten fotel Ołeksandra Ałfiorowa. Rocznik 1983. Historyk, dziennikarz, działacz społeczny i polityczny. Obronił doktorat na temat dziejów jednego z rodów kozackich. Prowadził audycję „Freski historyczne" na antenie Ukraińskiego Radia Kultura. Od 2012 r. był pracownikiem naukowym Ukraińskiej Akademii Nauk. Jest autorem, współautorem i redaktorem 15 książek oraz ponad 100 artykułów naukowych.

Po rozpoczęciu hybrydowego etapu agresji Rosji na Ukrainę związał się ze środowiskiem „Azowa". Przypomnijmy, że było to środowisko radykalnych nacjonalistów (a nawet narodowych socjalistów) ze wschodniej części kraju. Rosyjskojęzycznych, ale antyrosyjskich. „Azow", w odróżnieniu od galicyjskich nacjonalistów, bardziej niż do spuścizny OUN-UPA odwołuje się do tradycji Rusi Kijowskiej. Szczególnie z okresu sprzed przyjęcia chrztu – „azowcy" łączyli rasizm i antysemityzm z neopogaństwem. W mariupolskiej bazie jednostki, w rocznicę zwycięstwa pogańskiego księcia kijowskiego Światosława nad Chazarami (czyli wyznawcami judaizmu), ustanowili pomnik bożka Peruna.

Nie oznacza to jednak, że Banderę i Szuchewycza odrzucają. Przeciwnie – po nowelizacji ustawy o IPN, pozwalającej karać za pochwałę banderyzmu, „azowcy" zorganizowali we Lwowie marsz pod hasłem „Nie dla polskich panów". Jednakże bronili polskich lwów na cmentarzu Orląt Lwowskich i opowiadali się za sojuszem z Polską, wymierzonym przeciwko zachodniemu liberalizmowi i rosyjskiemu imperializmowi. Trzeba też pamiętać, że „Azow" oskarżany był o zbrodnie wojenne nie tylko przez Rosjan, lecz także przez ONZ.

Ałfiorow był rzecznikiem deputowanego do Rady Najwyższej Andrija Biłeckiego. Biłecki najpierw założył batalion ochotniczy „Azow", a następnie, na jego bazie, partię polityczną Korpus Narodowy, na której czele stanął. Ałfiorow współpracował z nim w obu sferach działalności. Przez kilka miesięcy był rzecznikiem prasowym „Azowa". Następnie wszedł w skład Najwyższej Rady Politycznej Korpusu Narodowego. Prowadził też ogólnokrajową kampanię „Pamięć narodu", której celem było upamiętnienie bohaterów poległych podczas wojny w Donbasie. Już po wybuchu konfliktu na pełną skalę stanął na czele eksperckiej komisji, która doradzała władzom Kijowa w kwestii derusyfikacji miejskiej toponimii. Ponadto w przeszłości należał do monarchistycznego Związku Państwowców Hetmańskich.

Od 2019 r. prowadził programy na antenie telewizji Suspilne UA: Kultura. W kwietniu 2022 r. poszedł na front. Zaciągnął się do Sił Operacji Specjalnych „Azow-Kijów". Następnie zaczął służbę w 3. Samodzielnej Brygadzie Szturmowej, bezpośrednio wywodzącej się z „Azowa". Jako oficer był odpowiedzialny za przygotowanie humanitarne i zabezpieczenie informacyjne w zespole wsparcia psychologicznego personelu.

OBROŃCA UPA, OUN I SS

„Historyk epoki nowożytnej, znany popularyzator historii, żołnierz w ostatnich trzech latach, a także zwolennik współpracy polsko-ukraińskiej" – tak o Ałfiorowie napisał na X wicedyrektor Centrum Mieroszewskiego dr Łukasz Adamski. A jakie poglądy na historię prezentuje nowy szef UINP? W lutym 2024 r., w wywiadzie dla RBK Ukraina, nazwał Banderę „postacią niejednoznaczną". „Nie był święty", ale był „jednym z liderów ruchu narodowowyzwoleńczego z połowy XX w.". Bardziej pozytywnie wypowiadał się o Szuchewyczu. W wywiadzie dla Radia Kultura przyznał, że specyfika walki partyzanckiej wymagała „nieco autorytarnych metod". Nie rozwinął jednak wątku, nie wspomniał słowem o zbrodniach wojennych. Stwierdził natomiast, że wszelkiego rodzaju zarzuty pod adresem Szuchewycza formułowane są z zewnątrz, z zagranicy. „Rosjanie mówią, że kazał zabijać Żydów. Rodzina Szuchewycza ratowała Żydów, ukrywała dzieci żydowskie, ale ich nie uznano za Sprawiedliwych wśród Narodów Świata". Ałfiorow zaprzecza zatem również udziałowi dowódcy UPA w Holokauście. Co więcej, przekonuje, że krytyka Szuchewycza nie opiera się na faktach historycznych, tylko wynika z fałszywego obrazu wykreowanego przez sowiecką propagandę.

Nowy szef UINP bronił nie tylko UPA czy OUN, lecz także SS-Galizien. Jak wiadomo, jesienią 2023 r., w obecności weterana tej formacji, kanadyjski parlament odznaczył Zełenskiego. Wybuchł skandal, bo prezydentowi ta obecność bynajmniej nie przeszkadzała. Kajali się jedynie Kanadyjczycy, gdy światowa opinia publiczna uświadomiła im ich błąd. Nad Dnieprem natomiast broniono nawet nie tyle Zełenskiego, ile esesmanów. Poważni historycy i publicyści, nie tylko ci bezpośrednio zaangażowani w kult ukraińskiego nacjonalizmu, argumentowali, że przecież żołnierzom dywizji SS-Galizien nie udowodniono w Norymberdze zbrodni wojennych. Komentującym nie przeszkadzało to, że mowa jednak o hitlerowskich kolaborantach. Do chóru obrońców esesmanów dołączył Ałfiorow. Jego zdaniem przekonanie o zbrodniczym charakterze SS to „sowiecki mit". W rozmowie z radiem Hromadśke historyk relatywizował rolę nazistowskiej formacji zbrojnej. Stwierdzał mianowicie, że w szeregach SS służyło wiele europejskich narodów, nie tylko Ukraińców. Po zakończeniu drugiej wojny światowej wielu esesmanów wróciło do swoich niemieckich domów i zaczęło żyć normalnym życiem – argumentował Ałfiorow. Jego zdaniem „kwestia kolaboracji [esesmanów z nazistami – przyp. red.] na całym świecie już od dawna nikogo nie interesuje. Tę kwestię podnosi dziś tylko jeden kraj – Federacja Rosyjska. To manipulacja polityczna, jeden z elementów wojny".

Nowy szef UINP broni więc nie tylko Ukraińców służących w SS-Galizien, a nawet nie tylko samej dywizji SS-Galizien, lecz także SS jako formacji. W cytowanym wywiadzie ubolewał, że na Ukrainie nie zostało sformułowane jednoznaczne stanowisko wobec UPA czy SS-Galizien. Z tego powodu, zauważał historyk, innym łatwiej jest krytykować Kijów, a Kijowowi trudniej jest się bronić. Wymowa tej wypowiedzi była jasna – zdaniem Ałfiorowa Ukraina potrzebuje formułować jednoznacznie pozytywny obraz nacjonalistycznych formacji zbrojnych. Nawet tych, które odpowiadają za zbrodnie wojenne. Nawet tych, które otwarcie kolaborowały z nazistowskimi Niemcami. Teraz Ałfiorow będzie miał okazję, by ten postulat zrealizować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

Z Pawłem Rakowskim, współautorem książki „Wielka wojna Izraela”
rozmawia Piotr Włoczyk

Europa jest dla Izraela wrogim terytorium

PIOTR WŁOCZYK: Co tak właściwie Izrael chce zrobić ze Strefą Gazy?

PAWEŁ RAKOWSKI: Podstawową kwestią dla Izraelczyków jest odzyskanie wszystkich zakładników. Tego domaga się właściwie całe tamtejsze społeczeństwo. Natomiast całkowite zlikwidowanie Hamasu jest niezwykle trudne, ponieważ jest to nie tylko organizacja militarna, lecz także społeczna, która zdominowała Strefę Gazy. Nie wieszczę tu Izraelowi wielkiego sukcesu, ale jednak po 20 miesiącach wojny widać, że udało się zniechęcić przynajmniej część Palestyńczyków do Hamasu. Izrael chce pokazać, że atak przeprowadzony 7 października 2023 r. zbyt wiele kosztuje mieszkańców Strefy Gazy i coś podobnego już nigdy nie może się powtórzyć. Widać też jednak, że Izraelczycy nie chcą utrzymywać tam wojsk w długiej perspektywie, bo jest to bardzo obciążające dla ich państwa.

Minister finansów Izraela Becalel Smotricz zapowiedział nie dalej jak w maju, że Gaza będzie „kompletnie zniszczona”, a jej mieszkańcy wyjadą do „krajów trzecich w ogromnej liczbie”. A to przecież jedna z czołowych postaci rządu Netanjahu...

Głos Smotricza jest skierowany do jego własnego, ekstremistycznego elektoratu – szczególnie osadników żydowskich. W Strefie Gazy żyją 2 mln osób i jest to bardzo specyficzna ludność. 80 proc. z nich to potomkowie uchodźców, którzy zostali wyrzuceni przez Izraelczyków w 1948 r. z terenów, na których powstał Izrael. Możemy być pewni, że zrobią wszystko, żeby nikt ich nie wyrzucił ze Strefy Gazy.

To nie pierwsza wojna dla mieszkańców tych ziem, choć nigdy wcześniej nie było tak olbrzymich zniszczeń. Musimy rozumieć, że dla Palestyńczyków wojna jest czymś naturalnym. I oni będą cierpliwie czekali na jakieś rozwiązanie polityczne. Skrajnie trudne warunki nie zmuszą ich do opuszczenia ich ziemi.

Smotricz może dużo krzyczeć, ale temat osiedli żydowskich w Gazie właściwie nie istnieje, ponieważ państwa Bliskiego Wschodu, przede wszystkim Arabia Saudyjska, nie mogą dopuścić do tego, żeby ludność palestyńska została stamtąd wygnana. Każdy wie, że Strefa Gazy jest miejscem, gdzie prędzej czy później powstanie Palestyna. Kraje arabskie nie chcą u siebie Palestyńczyków, ale wyrzucenie tej ludności oznaczałoby też ogromy problem dla arabskich elit władzy, które mają wobec niej powinność. Autorytet tamtejszych władców załamałby się – byłoby to odczytywane właściwie jako zbrodnia wobec islamu.

Europa jest dla Izraela wrogim terytorium. Izrael sojuszników ma za to w krajach arabskich, takich jak Jordania, Egipt, ZEA, Arabia Saudyjska, które również muszą zwalczać radykalny islamizm. Pamiętamy przecież, jak Jordania zestrzeliła kilkaset irańskich dronów lecących na Izrael. Netanjahu dużo bardziej przejmuje się opinią władców państw arabskich niż Smotricza czy Itamara Ben-Gwira. I dlatego nie będzie zainteresowany przejęciem Strefy Gazy.

Izraelski premier nie czuje tu niebezpiecznej presji ze strony Smotricza?

Przede wszystkim Netanjahu nie jest religijnym ekstremistą jak Smotricz czy Ben-Gwir. Premier Izraela gra religią, jest to dla niego ważny temat pod kątem politycznym, w trakcie wojny z Iranem pokazywał się jak król Dawid, ale on nie jest uzależniony od elektoratu osadników czy ultraortodoksów. Poza tym Netanjahu wie, że ma wybór. Obecnie Ja'ir Lapid sygnalizuje, że czeka na koalicję z Netanjahu, żeby wyrzucić z rządu Smotricza i Ben-Gwira. Wojna z Iranem pomogła premierowi zwiększyć zdolność koalicyjną.

Skąd się wziął pomysł „riwiery”, który na początku roku rzucił Donald Trump?

W czasie wojny powstaje wiele różnych koncepcji. Ta najbardziej radykalna, którą przedstawił Trump, ogłaszając Gazę przyszłą „riwierą”, zmobilizowała świat arabski. Hamas pokazał, że wciąż rządzi Gazą, a tak przecież nie może się zakończyć wojna. I myślę, że tym należy tłumaczyć pomysł „riwiery” – chodzi o przestraszenie Palestyńczyków, żeby odcięli się od Hamasu. Społeczeństwo Gazy, słysząc to,

eprasa.pl ad30e406bf

co Trump ogłosił, i widząc, że na horyzoncie jest „eksmisja", zaczęło się odcinać od tej organizacji. Wraz z pogarszającą się sytuacją w Gazie widzimy, że pojawiają się grupy kolaboracyjne, które osłabiają Hamas. Różne klany buntują się przeciw tej organizacji. I to jest na rękę Izraelowi.

Coraz więcej wskazuje na to, że Strefa Gazy będzie swego rodzaju kondominium, gdzie Egipt i Zjednoczone Emiraty Arabskie będą pośrednio odpowiadały za administrowanie tym terytorium.

Słowa Trumpa spowodowały, że bardzo szybko w Kairze odbyło się posiedzenie państw arabskich, które ustaliły budżet w wysokości 60 mld dol. na odbudowę Strefy Gazy.

Patrząc na morze gruzów, którym stała się Gaza, można się jednak zastanawiać, czy to wystarczy.

Gaza to nie Dubaj. Przed wojną 80 proc. mieszkańców żyło tam w obozach dla uchodźców składających się głównie z chatek z azbestowymi dachami. Odbudowa nie będzie więc aż tak trudna i droga. Gaza od lat żyje dzięki pomocy z zewnątrz i ci ludzie są przyzwyczajeni do biedy. Arabowie z regionu zapłacą za odbudowę szpitali, które co do jednego zostały albo zniszczone, albo poważnie uszkodzone. Nawiasem mówiąc, gdyby jakiś Syryjczyk czy Jemeńczyk dowiedział się, ile w Gazie było szpitali, to złapałby się za głowę – pod tym względem mieszkający tam Palestyńczycy naprawdę nie mogli narzekać.

Odbudowa Strefy Gazy nie będzie większym problemem, w przeciwieństwie do jej przyszłości politycznej. Netanjahu wspierał przez lata Hamas, żeby w świecie palestyńskim istniał rozłam – OWP miała rządzić na Zachodnim Brzegu, a Hamas w Strefie Gazy. Netanjahu oczywiście nie chce, żeby Hamas utrzymał się tam przy władzy, dlatego pojawił się pomysł tzw. trzeciej opcji, czyli wspomnianego samorządu pod kuratelą państw arabskich.

Pod koniec czerwca prezydent USA ogłosił, że niedługo w Strefie Gazy możliwe jest zawieszenie broni – drugie już w tym roku. Czy faktycznie widać szanse na ustabilizowanie sytuacji?

Propozycja Trumpa zakłada rozejm na 60 dni. Wydaje mi się, że bardziej realne jest dogadanie się na drugą rocznicę ataku Hamasu, żeby „przykryć" datę 7 października. Hamas doskonale wie jednak, że jeżeli odda ostatniego zakładnika, to wystawi się na zagładę. Przypomnę tylko, że główny zarząd Hamasu mieści się w Katarze, po sąsiedzku z największą amerykańską bazą na Bliskim Wschodzie. Jak widać, Amerykanie nie podjęli więc jeszcze decyzji w kwestii ewentualnej kompletnej eliminacji Hamasu.

A czy to nie jest tak, że Netanjahu musi prowadzić wojnę do skutku, żeby nie poszedł do więzienia w związku z ciągnącymi się za nim od lat oskarżeniami o korupcję?

Izrael nie jest Rosją, a Netanjahu nie jest Putinem i nie jest w stanie złapać całego państwa za twarz, sterować nim, jak chce. W Izraelu wojsko i służby mają ogromne wpływy i znaczenie. Skoro ta wojna trwa, to znaczy, że wojsko i służby tego chcą.

Smotricz mówił też, że „jeszcze w tej kadencji" Zachodni Brzeg zostanie anektowany. Taki ruch oznaczałby jednak otwarcie potencjalnie jeszcze bardziej wybuchowego frontu.

Strefa Gazy i Zachodni Brzeg to dwa zupełnie inne światy. Na tym drugim terytorium mieszka kilkaset tysięcy osadników żydowskich, którzy są kompletnie bezkarni. I to do nich mówi Smotricz. Duża część tych ludzi to obywatele amerykańscy, finansowani z USA. W ostatnich dniach ci ludzie atakują wiele miejscowości palestyńskich, m.in. At-Tajjiba, jedyne chrześcijańskie miasto na terenie Autonomii Palestyńskiej.

Osadnicy stosują metodę faktów dokonanych, wyrywając kolejne fragmenty ziemi, zanim powstanie państwo palestyńskie. Anektowanie całego Zachodniego Brzegu nie wchodzi w grę z jeszcze jednej prostej przyczyny – mieszkają tam ponad 4 mln Palestyńczyków. Kto miałby ich wszystkich pilnować? Bo chyba oczywiste jest, że nie da się tych ludzi wyrzucić z ich domów. Netanjahu wie, że musi utrzymywać Autonomię Palestyńską, choć dopóki rządzi, dopóty na pewno nie pozwoli na powstanie państwa palestyńskiego.

Ministerstwo zdrowia w Strefie Gazy, kontrolowane przez Hamas, informuje, że zginęło już prawie 60 tys. ludzi, w większości kobiety i dzieci. Czy to wiarygodne informacje?

Początkowo byłem sceptyczny, ale wygląda jednak na to, że są to dość wiarygodne dane. W Gazie ludność cywilna żyje na powierzchni, a Hamas kryje się pod ziemią. I to jest celowa strategia – Hamas doskonale wie, że ofiary wśród ludności cywilnej nakręcają tzw. globalną intifadę przeciw Izraelowi.

Jednak komentatorzy, którzy podkreślają, że Izrael kompletnie nie przejmuje się ofiarami cywilnymi w Strefie Gazy, właśnie dostali do ręki mocny argument. Pod koniec czerwca izraelski dziennik „Haaretz" ogłosił wyniki swojego śledztwa: izraelscy żołnierze mieli dostawać rozkazy, by strzelać do bezbronnych cywilów stojących w kolejkach przy punktach dystrybucji pomocy.

Reakcje na te ustalenia, które widzimy w Izraelu, pokazują, że tamtejsze społeczeństwo jest kompletnie obojętne wobec sytuacji w Strefie Gazy. Judaizm to nie jest chrześcijaństwo i szczególnie w trakcie wojny w tej religii dopuszczalne są dużo bardziej drastyczne metody. To, co wiemy o tym konflikcie, każe zakładać, że ustalenia „Haaretza" są prawdziwe i izraelscy żołnierze faktycznie mogli dostać takie rozkazy.

MICHAŁ BRUSZEWSKI, PAWEŁ RAKOWSKI „WIELKA WOJNA IZRAELA" ZONA ZERO

Czy Izrael jest dziś bezpieczniejszy niż przed atakiem Hamasu 7 października 2023 r.?

Pod kątem bezpieczeństwa w regionie Izrael jest dziś nieporównywalnie bardziej bezpieczny. Hamas, uważany za przeciwnika również przez kraje arabskie, jest cieniem swojej dawnej potęgi. Hezbollah został właściwie wykastrowany, Syrię udało się zneutralizować, a Iran został mocno pokiereszowany, pokazując słabość. I o ile na razie nie udało się Izraelowi wygrać w Strefie Gazy, o tyle już wojnę regionalną wygrał bez dwóch zdań.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Paweł Rakowski jest ekspertem do spraw Bliskiego Wschodu, współautorem (z Michałem Bruszewskim) książki „Wielka wojna Izraela. Prawdziwa Fauda od Gazy do Syrii".

eprasa.pl ad30e406bf

To już jawne:
Q wkrótce awansuje na C

Jacek Przybylski

Nazywa się Metreweli. Blaise Metreweli. I jako pierwsza w historii kobieta została wyznaczona na szefa brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej. Historyczna nominacja wywołała medialną burzę: dziadek nowej szefowej MI6 był bowiem niemieckim szpiegiem znanym jako „Agent 30" (przydomek Rzeźnik)

Blaise Metreweli ma 47 lat. Ukończyła antropologię na Uniwersytecie Cambridge i znana jest z zamiłowania do sportu, zwłaszcza wioślarstwa. W służbach specjalnych pracuje od 1999 r. Z sukcesem wykonywała wiele misji w terenie, w tym w Europie i na Bliskim Wschodzie. Piastowała także stanowiska dyrektorskie w kontrwywiadzie MI5. Obecnie w MI6 pełni funkcję dyrektora generalnego działu technologii i innowacji. Dobrze zna się na sztucznej inteligencji, zagadnieniach cyberwywiadu i odpowiada m.in. za znajdowanie sposobów na utrzymanie w tajemnicy tożsamości agentów (co nie jest łatwe, gdy w świecie mnożą się systemy na miarę chińskiej identyfikacji biometrycznej – które wykorzystują AI oraz unikalne cechy osobiste do rozpoznawania osób w miejscach publicznych).

Stanowisko zajmowane obecnie przez Blaise Metreweli jest w służbach znane po prostu jako „Q". „Q", podobnie jak „M", nie jest bowiem inicjałem nazwiska, lecz tytułem służbowym (od angielskiego „quartermaster"). Wiedzą to od dawna wszyscy fani serii o przygodach Jamesa Bonda. To właśnie postać pracująca na tym stanowisku wyposażała bowiem 007 w najnowsze technologiczne nowinki, miniaturowe bomby z opóźnionym zapłonem, wybuchowy długopis, odrzutowy plecak czy „niewidzialnego" Astona Martina, a podczas akcji przekazywała mu instrukcje i zdalnie wyciągała z tarapatów. Bohater, który stał się inspiracją dla Iana Fleminga (twórcy serii o przygodach 007), istniał naprawdę i pracował właśnie w oddziale Q, czyli sekcji odpowiedzialnej za dostarczanie tajnym służbom wszelkich gadżetów (od niewidzialnego atramentu do miniaturowych aparatów fotograficznych). Filmowa postać szefowej Jamesa Bonda – „M" – wzorowana

eprasa.pl ad30e406bf

Słynna postmodernistyczna siedziba MI6 nad Tamizą FOT. SPOTMATIK/ADOBE STOCK

była z kolei na Stelli Rimington, szefowej kontrwywiadu MI5 w latach 1992–1996.

Wybór kobiety na nowego szefa MI6 oznacza, że rzeczywistość dogoniła filmową fikcję (w MI5 najwyższe funkcje pełniły już dwie panie). Oficjalnie Blaise Metreweli stery w MI6 przejmie jesienią. Zastąpi Richarda Moore'a, który na czele wywiadu stoi od 2020 r. I to właśnie on ujawnił, że został wybrany na szefa wywiadu spośród listy kandydatów, na której widnieli wyłącznie mężczyźni, i zapowiedział genderową zmianę i promowanie równości kobiet (wiadomo, że tym razem na liście kandydatek oprócz Metreweli była również Barbara Woodward, stała przedstawicielka Wielkiej Brytanii przy ONZ). Rząd w Londynie poszedł tym samym w ślady administracji Donalda Trumpa, który już w roku 2018 mianował agentkę CIA Ginę Haspel na stanowisko dyrektora tej agencji (jednocześnie pierwszą kobietę piastującą tę prestiżową funkcję).

Zgodnie z tradycją pani Metreweli nadal ma być określana jako „C". I tak właśnie będzie podpisywała wszystkie dokumenty. Jako jedyna w brytyjskich służbach specjalnych będzie mogła to robić atramentem zielonego koloru. Zwyczaj ten sięga czasów Mansfielda Smitha-Cumminga, który jako pierwszy szef brytyjskiej agencji wywiadowczej Secret Service Bureau używał właśnie tego inicjału i tego koloru atramentu.

Brytyjczycy pozostają wierni jeszcze jednej zasadzie. Szef MI6 to jedyna osoba pracująca dla wywiadu, której nazwisko jest podawane do publicznej wiadomości. Podlega bezpośrednio ministrowi spraw zagranicznych. I zwłaszcza w obecnych czasach ma mnóstwo roboty. Tajna Służba Wywiadowcza zajmuje się bowiem nie tylko zdobywaniem poufnych danych podczas zagranicznych misji szpiegowskich, lecz także walką z hakerami i terrorystami oraz zakłócaniem działalności krajów wrogich Wielkiej Brytanii (na tej liście są obecnie m.in. Rosja, Chiny, Iran, Korea Północna etc.), w tym np. utrudnianiem misji okrętów szpiegowskich. Od tych ostatnich zaroiło się ostatnio nie tylko na Bałtyku, lecz także na wodach dookoła Wysp Brytyjskich. Nazwą MI6 określono istniejący od 1909 r. brytyjski wywiad podczas drugiej wojny światowej. Aż do roku 1994 władze w Londynie nie potwierdzały jednak oficjalnie nawet tego, że taka służba w ogóle istnieje.

„AGENT NR 30"

Jeszcze przed objęciem przez Blaise Metreweli prestiżowego stanowiska w służbach w mediach rozpętała się burza. Ze śledztwa przeprowadzonego przez dziennikarzy „Daily Mail" wynikało bowiem, że dziadkiem nowej szefowej MI6 był nazistowski szpieg z Ukrainy, Constantine Dobrowolski. Ukrainiec, który uciekł z Armii Czerwonej po niemieckiej inwazji na Związek Sowiecki, figurował w archiwalnych aktach niemieckiego wywiadu jako „Agent nr 30" lub po prostu jako „Rzeźnik". Jak podał dziennik „Daily Mail", Dobrowolski chętnie mścił się na Rosjanach za wymordowanie jego arystokratycznej rodziny po rewolucji bolszewickiej w 1917 r. Podczas drugiej wojny światowej był więc głównym informatorem nazistów w regionie Czernihowa. Przy okazji chętnie chwalił się niemieckim przełożonym, że osobiście brał udział w mordowaniu Żydów i plądrował ciała swych ofiar. Swoje raporty do niemieckich dowódców podpisywał zaś słowami „Heil Hitler". Gdy Niemcy dostali łupnia na froncie wschodnim, Dobrowolski wraz z hitlerowskimi oddziałami przedostał się na Zachód. Co się z nim stało? Nie wiadomo. Wiadomo jednak, że jeszcze w latach 60. XX w. figurował na liście osób najbardziej poszukiwanych przez KGB.

Blaise Metreweli FOT. MI6

Jego żona – wraz z ich synem Constantinem juniorem – znalazła podczas wojny schronienie w Wielkiej Brytanii. Tam w 1947 r. ponownie wyszła za mąż za pochodzącego z Gruzji Davida Metrewelego. Syn ukraińskiego kolaboranta przyjął nazwisko ojczyma i wstąpił do brytyjskich sił zbrojnych. Według brytyjskiego MSZ nowa szefowa Tajnej Służby Wywiadowczej – urodzona w 1977 r. – „nie znała ani nie spotkała swojego dziadka ze strony ojca". Resort dyplomacji zwrócił również uwagę, że pochodzenie wielu osób z Europy Wschodniej charakteryzuje się „konfliktem i podziałami". „Właśnie to skomplikowane dziedzictwo przyczyniło się do jej zaangażowania w zapobieganie konfliktom" – podkreśliły w oświadczeniu władze MSZ w Londynie. Zdaniem

eprasa.pl ad30e406bf

ekspertów rosyjska propaganda z pewnością będzie jednak chętnie wracać do tematu pochodzenia rodziny nowej szefowej brytyjskiego wywiadu.

NIEUCHWYTNY KRET

Sprawa dziadka nowej szefowej MI6 to nie koniec medialnych sensacji, które ostatnio sprawiają, że wokół brytyjskich służb specjalnych – jak każde tajne służby lubiących ciszę – zrobiło się bardzo, ale to bardzo głośno. „The Guardian" ujawnił pod koniec czerwca kulisy najdłuższej i najdroższej akcji brytyjskich szpiegów. Według dziennikarzy w połowie lat 90. XX w. oficerowie CIA przekazali Brytyjczykom, że podejrzewają, iż jeden z wysokich rangą oficerów MI6 może być podwójnym agentem i przekazywać dane rosyjskiemu wywiadowi. Jak zauważył w opublikowanej niedawno książce były dziennikarz BBC, Gordon Corera, CIA zaniepokoiło, że któryś z Brytyjczyków pracuje w Londynie jednocześnie dla służb Kremla (którymi kierował wówczas obecny prezydent Rosji Władimir Putin).

Amerykanie nie podali jednak Brytyjczykom tożsamości brytyjskiego kreta. Służby w Wielkiej Brytanii miały wówczas rozpocząć operację „Wedlock". Do akcji, która trwała co najmniej do roku 2015, zaangażowano 35 agentów kontrwywiadu MI5 (znanego też jako Security Service). Byli wśród nich specjaliści od inwigilacji, planowania operacji, a także oficerowie wysyłani do pracy w terenie. Ci ostatni obserwowali wytypowanego podejrzanego, zajmującego wysokie stanowisko w MI6, zarówno na terenie Wielkiej Brytanii, jak i podczas tajnych misji w Azji oraz na Bliskim Wschodzie. Poza granicami agenci ci mieli pracować pod przykrywką, w tym korzystać z tzw. bezpiecznego domu CIA, nie informując lokalnych władz o swojej misji – co jest naruszeniem prawa międzynarodowego.

Aby kret nie dowiedział się, że ktoś za nim węszy, operację starano się utrzymywać w maksymalnej tajemnicy. Starano się więc rozmawiać o niej z dala od siedziby kontrwywiadu. Tajny zespół pracował w budynku oznaczonym jako siedziba nieistniejącej naprawdę firmy ochroniarskiej, który miał tę zaletę, że znajdował się blisko siedziby MI6. Jak poinformowały brytyjskie media, jeden z oficerów biorących udział w akcji dowiedział się szczegółów podczas tajnego briefingu w jednym z kościołów. Innym początkowo mówiono zaś, że biorą tylko udział w ćwiczeniach, aby dopiero po czasie zdradzić im prawdziwy cel misji.

Jednoznacznych dowodów na zdradę brytyjskiego agenta wciąż nie było. Szefowie kontrwywiadu nakazali więc podwładnym, aby w mieszkaniu oficera MI6 – nazywanego w śledztwie „podejrzany 1A" – zainstalowane zostały kamery i urządzenia podsłuchowe. Miniaturową kamerę ukryto również w pudełku po chusteczkach (zyskano w ten sposób podgląd na samochód).

Brytyjczycy zaangażowali tak duże siły i środki, ponieważ obawiali się, że w grę wchodzi podwójny szpieg działający na skalę słynnego arcyzdrajcy Kima Philby'ego. Operacja miała się zakończyć, gdy podejrzany agent MI6 odszedł ze służby. Nie jest jednak wcale wykluczone, że tak naprawdę kretem był ktoś inny, kto nadal w brytyjskim wywiadzie pracuje.

Do wielkiej akcji, która trwała co najmniej 20 lat, zaangażowano aż 35 agentów MI5

Kim był Kim Philby? Jak na podwójnego agenta przystało, był jednocześnie sowieckim bohaterem i wielkim brytyjskim zdrajcą. Był jednym z najbardziej znanych członków tzw. Piątki z Cambridge, a więc grupy studentów, których w latach 30. XX w. zwerbowali sowieccy agenci. Z pomocą sowieckiego wywiadu brytyjscy studenci dostali w Wielkiej Brytanii rządowe posady. Philby szybko piął się po szczeblach kariery w MI6. W roku 1949 został wysłany do Waszyngtonu, gdzie został oficerem łącznikowym odpowiedzialnym za „zwalczanie sowieckiej działalności wywrotowej w Europie Zachodniej". Po ujawnieniu zdrady dwóch członków piątki z Cambridge podejrzenia padły również na Philby'ego. Gdy oczyszczono go z zarzutu zdrady, MI6 wysłało go do Bejrutu.

Kiedy w 1963 r. jego zdrada w końcu wyszła na jaw, z pomocą przewodnika z KGB uciekł do Związku Sowieckiego, gdzie otrzymał obywatelstwo, stopień pułkownika KGB i gdzie do roku 1988 żył niczym bohater.

Brytyjska BBC ujawniła przed kilku laty nagranie wideo, na którym słynny podwójny agent i sowiecki szpieg Kim Philby opowiada funkcjonariuszom niemieckiego Stasi o swoim życiu – od zwerbowania w latach 30. XX w. po ucieczkę przez Bejrut do Związku Sowieckiego w roku 1963. Na tajnym nagraniu z roku 1981 – odnalezionym w Berlinie – Philby zdradza, że wykradanie tajnych informacji brytyjskiego wywiadu nie było niczym specjalnie trudnym. Dzięki temu, że zaprzyjaźnił się z archiwistą MI6, co wieczór wychodził z teczką pełną raportów, które najczęściej nie miały nic wspólnego z jego pracą w MI6. Przekazywał ją agentowi KGB. Rankiem odbierał zaś tę samą teczkę – której zawartość została w ciągu nocy przez Sowietów sfotografowana – po czym odnosił dokumenty, które trafiały na swoje miejsce w archiwach brytyjskiego wywiadu.

– Gdyby w procesie przetwarzania dokumentów w systemie służb panowała odpowiednia dyscyplina, byłoby to zupełnie niemożliwe – zauważył najsłynniejszy brytyjski zdrajca, który zdradził Sowietom m.in. tajny plan obalenia komunistycznego reżimu w Albanii (przez co wielu jego uczestników zostało zamordowanych). Philby twierdzi, że dzięki temu zapobiegł trzeciej wojnie światowej, bo gdyby udało się przejąć władzę w Albanii, to CIA i MI6 spróbowałyby podobnej intrygi w Bułgarii, na co z pewnością zbrojnie zareagowałby już Związek Sowiecki.

Procedury w MI6 zawiodły do tego stopnia, że słynny podwójny agent został wiceszefem nowego działu brytyjskich służb zajmującego się… walką z sowieckim wywiadem. Wówczas otrzymał zaś od sowieckiego oficera prowadzącego rozkaz, aby za pomocą „bezczelnych biurokratycznych intryg" doprowadził do zwolnienia swego szefa Felixa Cowgilla. Philby polecenie wykonał. Kolegom ze Stasi legendarny brytyjski arcyzdrajca, mówiąc z pięknym akcentem brytyjskich elit, dał zaś kolegom po fachu z NRD prostą radę: „Nigdy nie wolno się przyznać".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

Tęczowa bańka pękła

Teresa Stylińska

Po rewolucji zawsze następuje terror, a po nim kontrrewolucja. W ten ostatni etap weszła właśnie rewolucja kulturowa – LGBT, genderu, woke. Kto by jeszcze kilka miesięcy temu pomyślał, że obchody WorldPride, najważniejszej na świecie parady genderowej, mogą wypaść tak mizernie? A jednak okazało się, że obowiązkowo barwne święto LGBT (pomińmy resztę liter), które w tym roku odbyło się w Waszyngtonie, już nie zawłaszcza przestrzeni publicznej tak jak przez ostatnie lata

Słowo „pride", niegdyś po prostu „duma", przez te lata nabrało nowego znaczenia i dzisiaj występuje w najrozmaitszych konfiguracjach słownych. WorldPride to jedna z nich. To ogólnoświatowa impreza, organizowana co dwa lata w różnych miastach, które zabiegają o zaszczyt goszczenia jej niemalże jak o igrzyska olimpijskie. Waszyngtonowi, gdzie dni WorldPride odbyły się na przełomie maja i czerwca, ten honor bardzo się należał, bo pierwsza parada równości przeszła przez jego ulice dokładnie 50 lat temu.

Dla genderowych aktywistów było jasne jak słońce, że w tak ważną rocznicę stolicę USA zaleją nieprzebrane tłumy. Organizatorzy bez umiarkowania roztaczali więc przed mediami wizję miasta oddanego we władanie tęczowej społeczności. Na obchody WorldPride – zapowiadali – z całego świata przyjadą co najmniej 2, a może nawet aż 3 mln ludzi. W przededniu imprezy liczbę tę zredukowano do 1 mln.

Ten skromny milion jednak też okazał się bardzo, ale to bardzo na wyrost. Bo chęć udziału w wielkiej paradzie, kulminacyjnym punkcie kończącym uroczystości, zgłosiło zaledwie 12 tys. osób... Ile z nich w końcu naprawdę przyszło? Ile genderowych gości mogło przewinąć się przez stolicę USA? Chyba nie za wiele. Gdyby było inaczej, podkreślano by to nieustannie.

W CIENIU BIAŁEGO DOMU

Obchody w Waszyngtonie dzieli więc przepaść od WorldPride z czerwca 2019 r. Do Nowego Jorku przyjechało wówczas aż 5 mln ludzi, a w końcowej paradzie maszerowało 150 tys. Był to absolutny rekord, dziś nie do powtórzenia.

Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie nastąpiła tak wielka zmiana? Ostatnich sześć lat to przecież złoty okres tęczowej propagandy. Środowiska LGBT poczuły swą moc, bo terrorowi z ich strony nie każdy miał odwagę się sprzeciwić. Dlaczego zatem? Odpowiedź jest prosta: zabrakło pieniędzy, zabrakło przychylnej atmosfery, zabrakło uczestników.

Nie jest żadną tajemnicą, że wielu sponsorów, do tej pory aż nadto hojnie wspierających idee i imprezy LGBT, w tym roku dokonało wielkiego odwrotu. Dotyczy to m.in. firm technologicznych z Doliny Krzemowej, które zaczęły dystansować się od tęczowych imprez, choć przez ostatnie lata na wyścigi demonstrowały poparcie. Od WorldPride odwróciły się także kluby sportowe. Według tygodnika „Newsweek" po stronie genderowej pozostały już tylko cztery kluby z amerykańskiej czołówki, skłonne do udzielania pomocy duchowej i materialnej.

Zawiedli także goście z zagranicy, na których masowy udział bardzo liczono. Wielu zrezygnowało z przyjazdu, bo – jak chętnie opowiadali mediom – bardzo się bali. Amerykę pod rządami Donalda Trumpa uważają za kraj niebezpieczny, zwłaszcza dla osób trans, które legitymują się paszportem wydanym z uwzględnieniem płci nowej czy też – jak kto woli – uznanej. Właściwie nikt ze zwierzających się mediom nie próbował wyjaśnić, jakie ryzyko kryje w sobie przyjazd do Ameryki. Osobom trans nie grożą ani więzienie, ani żadne kary, ani nawet niewpuszczenie do USA. Niemniej opowieści pozostawiały wrażenie, że w obecnej Ameryce czai się coś strasznego.

Lewicowe amerykańskie media, poczynając od dziennika „New York Times" i portalu telewizji NBC, nie mylą się, pisząc, że WorldPride „odbywało się w cieniu Donalda Trumpa". Nic tu dodać, nic ująć. Tak właśnie jest.

Genderowi krytycy Trumpa słusznie obarczają go winą. Gdyby nie on, tęczowe szaleństwo trwałoby w najlepsze. Pierwszy, dotkliwy, brzemienny w skutki cios zadała mu wygłoszona w dniu inauguracji konstatacja, że „są tylko dwie płcie: kobieta i mężczyzna". Tym zdaniem Trump zaczął przywracać porządek w rzeczywistości postawionej na głowie. Składają się na nią wymyślanie coraz to nowych odmian płci, tworzenie od-

eprasa.pl ad30e406bf

Organizatorzy WorldPride w stolicy USA zapowiadali udział nawet aż 3 mln osób. Ostatecznie do Waszyngtonu przybyło ich kilkanaście tysięcy FOT. GABRIEL V. CARDENAS / REUTERS / FORUM

zwierciedlającego je sztucznego języka, ślepa wiara w bożka różnorodności itp.

NIE DA SIĘ UCIEC OD TĘCZY

Czy można wyobrazić sobie ulicę, która na całej swej długości, a jest to kilkanaście kilometrów, przybrana jest w tęczowe akcesoria? Przy której każda witryna sklepowa ma tęczowe akcenty – ubrania na manekinach, dodatki, udrapowane tkaniny? Albo miasto, w którym metro stało się ultratęczowym środkiem komunikacji, z sercami w kolorowe pasy zdobiącymi ściany stacji, wyświetlanymi peanami na cześć LGBT i tęczowymi ulotkami dla każdego? Gdzie autobusy przybrane są w LGBT-owskie deklaracje ułożone z tęczowych liter?

To Nowy Jork w czerwcu 2019 r. Uroczystości WorldPride zorganizowano z rozmachem, tym większym, że odbywały się w 50. rocznicę Stonewall, gdy – przypomnijmy – próba zaprowadzenia porządku w gejowskim klubie Stonewall, gdzie handlowano narkotykami i nielicencjonowanym alkoholem, skończyła się starciami policji z gośćmi tego przybytku. Wspomniana ulica to Broadway. Nie ona jedna była tęczowa, bo najelegantsze sklepy na Piątej Alei i na sąsiednich ulicach również składały LGBT należyte hołdy. W niektórych można było zrobić sobie fotkę, wsuwając głowę w tęczową postać naturalnej wielkości.

Żeby tylko! Byłam wówczas w Nowym Jorku – dobra okazja, by na własne oczy zobaczyć, jakie rozmiary i formy może przybrać tęczowe szaleństwo. Każde miejsce było dobre, by uczcić nową ideologię. Nie uchował się nawet pomnik pamięci ofiar zamachu na World Trade Center, bo zyskał tęczową oprawę. Albo kościoły – poza katolickimi oczywiście – z tęczowymi tablicami przy wejściu. Jeden z nich, w centrum Manhattanu, z okazji WorldPride zapraszał na wykłady pani biskup. Kompetencji nie powinno pani biskup brakować, jest bowiem osobą odmiennej orientacji, w dodatku pozostającą w związku z duchowną tego samego Kościoła. W tęczowej rzeczywistości to parę niebagatelnych atutów naraz.

Nowojorskie WorldPride odbyło się w czerwcu, a że jest to miesiąc dumy gejowskiej, inne duże miasta – Indianapolis, Chicago, Boston – nie chciały być gorsze. Na oficjalnych masztach obok flag państwowych i stanowych powiewały tęczowe. Duża księgarnia w Cambridge, gdzie mieści się Uniwersytet Harvarda, pełna była książek poświęconych LGBT i nic dziwnego, bo wielkie uczelnie mają pod tym względem utrwaloną reputację. Dlaczego jednak na tęczowo przystrojono święte miejsce Ameryki? Balustrada balkoniku Old State House w Bostonie, z którego w 1776 r. odczytano Deklarację niepodległości, została owinięta tęczową materią. Stan Massachusetts, wiadomo, jest w czołówce postępu.

Potwierdza to opublikowany właśnie przez tygodnik „Newsweek" ranking stanów pod kątem ich stosunku do osób LGBT. Massachusetts i stan Nowy Jork są ex aequo na pierwszym miejscu, przed Connecticut, New Jersey i Vermontem. Najgorzej społeczność LGBT ma w Arkansas (gdzie, przypomnijmy, gubernatorem był niegdyś Bill Clinton), które zajmuje ostatnie miejsce, przed Karoliną Południową, Luizjaną, Południową Dakotą i Missisipi.

DWA KAMIENIE MILOWE

Czy rolę zapalnika genderowej kontrrewolucji mógł odegrać ktoś inny niż Donald Trump? Wyobraźmy sobie, że istnienie „tylko dwóch płci: kobiety i mężczyzny" ogłasza prezydent Francji czy premier Wielkiej Brytanii. W najlepszym wypadku przyznano by im rację – i tyle. Tylko przywódca Ameryki, obserwowany przez cały świat, jest w stanie narzucić narrację i zmieniać kierunki. Również dlatego, że ma narzędzia umożliwiające przejście do działania.

Kontrrewolucja nie wystartowałaby w takim tempie i tak skutecznie, gdyby za deklaracją prezydenta nie poszły od razu czyny. Kluczowe decyzje to m.in. zamknięcie instytucji działających na rzecz różnorodności, równości i inkluzywności, w skrócie DEI. Pod takimi hasłami mędrcy poprawności przepychali prawdziwe brednie, takie jak obowiązek różnorodności w filmach i w procesie ich produkcji. Dzięki temu czarnoskóra Anna Boleyn może konkurować z Królewną Śnieżką o oliwkowej skórze.

Dodajmy wstrzymanie finansowania zmiany płci przez państwo, m.in. u ludzi służących w wojsku, wykluczenie kobiet trans z kobiecych zawodów sportowych czy – co bardzo ważne – położenie kresu USAID, amerykańskiego wsparcia dla lewackich poczynań na świecie. Wszystko to razem wzięte stanowiło pierwszy kamień milowy na drodze genderowej kontrrewolucji.

Drugim kamieniem milowym stała się decyzja brytyjskiego Sądu Najwyższego, który w odpowiedzi na wniosek wniesiony przez szkocką organizację For Women Scotland, która wystąpiła o interpretację pojęcia płci, orzekł, że liczy się płeć biologiczna – ta, z którą człowiek przyszedł na świat. Tylko płeć biologiczna, a nie płeć certyfikowana, czyli wprowadzona do dokumentów po zmianie płci, podlega ochronie na mocy ustawy o równości. To oznacza, że kobiety trans nie mogą korzystać z damskich toalet i szatni ani też przebywać na oddziałach kobiecych – czy to w szpitalu, czy w więzieniu. Ani certyfikat zmiany płci, ani subiektywne poczucie tożsamości nie mają znaczenia.

Instytucje publiczne zostały zobowiązane do wprowadzenia decyzji sądu w życie i okazało się, że np. NHS, publiczna służba zdrowia, stanęła wobec prawdziwego wyzwania. To dlatego, że wiele jej placówek i pracowników z wielkim zapałem wcielało w życie najbardziej nonsensowne genderowe zasady,

eprasa.pl ad30e406bf

chlubiąc się np. stosowaniem takich zaimków, jakich życzą sobie pacjenci. W osłupienie mogły wprawić zalecenia, by mężczyzn przed zabiegiem prześwietlenia pytano, czy nie są aby w ciąży! Jak ktoś przytomnie zauważył, NHS, nieustannie krytykowane za poziom usług, z pewnością funkcjonowałby lepiej, gdyby mniej dbano o różnorodność personelu i mniej poddawano się poprawności.

BEZ DUMY W KALENDARZU

Niespełna pół roku, które minęło od inauguracji prezydentury Trumpa, już przyniosło uderzające zmiany – w wielu miejscach, w wielu dziedzinach, o różnej wadze. Policzono np., że w ciągu tego półrocza parlamenty stanowe w USA przyjęły blisko 80 rozmaitych ustaw zupełnie nie po myśli środowisk LGBT, które straciły chyba moc terroryzowania opinii publicznej. Ostatnio Senat Teksasu ogromną większością głosów uchwalił przepisy zobowiązujące instytucje stanowe do respektowania biologicznej definicji płci.

Sąd Najwyższy natomiast uznał, że rodzice mają prawo do swego rodzaju klauzuli sumienia i mogą się nie zgadzać, by ich dzieci uczono w szkole o sprawach LGBT. Książki omawiające takie kwestie stanowią – jak zauważył Samuel Alito, jeden z sędziów SN – „realne zagrożenie dla uczniów". Nie wyklucza się, że Sąd Najwyższy, akurat w 10-lecie ich wprowadzenia, może zakwestionować legalność małżeństw jednopłciowych.

Dodajmy, że w wielu miejscach nie będzie już wolno umieszczać flag tęczowych obok państwowych i stanowych. Taką samą decyzję podjęła ostatnio, jako pierwsza w Wielkiej Brytanii, rada miejska West Northamptonshire, gdzie od maja rządzi prawicowa partia Reform UK. W Szkocji natomiast, awangardzie postępu, władze zrobiły nieoczekiwany krok w tył, wstrzymując prace nad dwiema ustawami: o zakazie mizoginii i o zakazie stosowania terapii konwersyjnej.

Równie, a może nawet bardziej jeszcze wymowna jest wolta, którą zrobiły wielkie firmy. Bo wielki biznes wyczuwa zmiany, inaczej nie byłby wielkim biznesem. I oto Google, dotychczas wierny ideałom LGBT, z góry zapowiedział, że w jego kalendarium nie będą już odnotowywane dni, tygodnie i miesiące dumy. Logo BMW straciło tęczową otoczkę, która otaczała je przed rokiem w Miesiącu Dumy. Ciekawe, jak Disney, kwintesencja genderu i różnorodności w kinematografii, będzie wyjaśniać swoje zmiany – bo przecież muszą one nastąpić.

Wszystko to dzieje się w Ameryce i w Wielkiej Brytanii, która dokonawszy brexitu, uwolniła się spod uciążliwego wpływu Brukseli. W Unii Europejskiej bowiem ciągle jest po staremu, genderowa kontrrewolucja dociera tu powoli. Dowodem EuroPride, w tym roku zorganizowane w Lizbonie, i poparcie unijnych instancji dla BudapestPride, która odbyła się mimo oficjalnego zakazu wydanego przez władze węgierskie. Ursula von der Leyen, choć z ociąganiem, ostatecznie zadeklarowała, że „jest sojuszniczką ludzi LGBT", a 20 państw Unii – bez Polski – podpisało petycję, w której żądają przywołania Węgier do porządku. Jeśli o czymś to świadczy – to tylko o Unii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

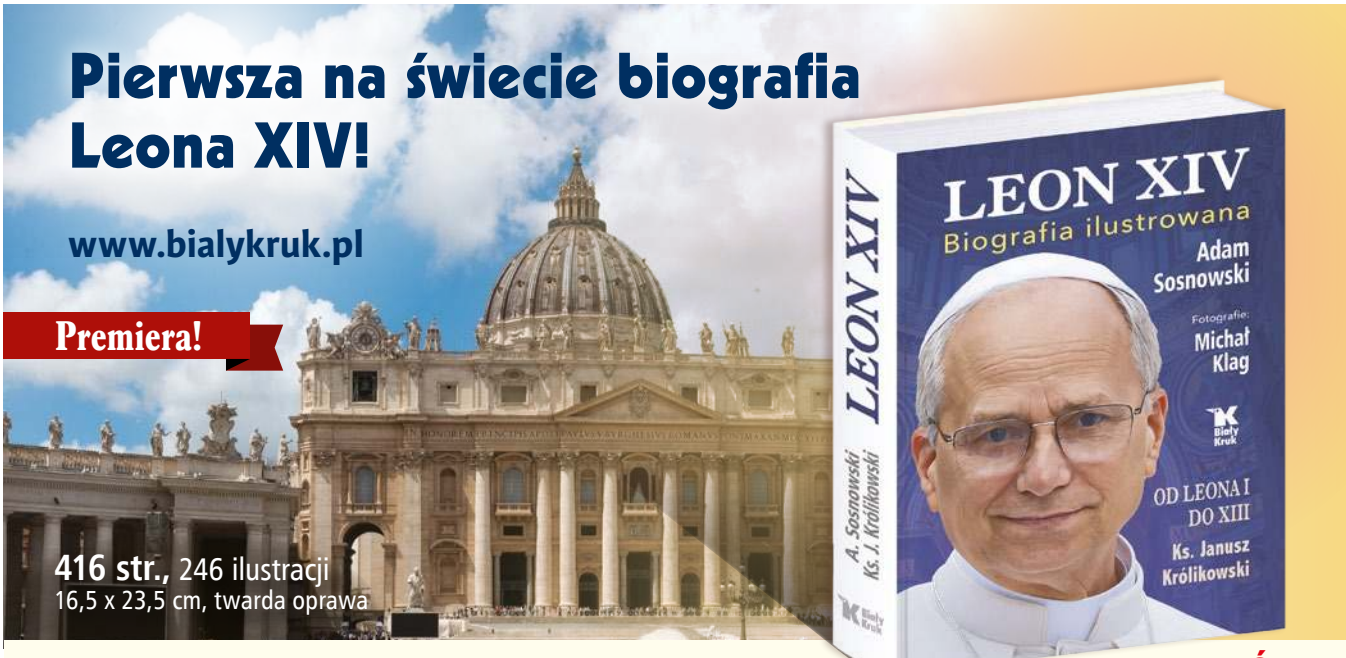

Dla czytelników „Do Rzeczy" 25% taniej!
Wejdź na stronę bialykruk.pl i wykorzystaj kod rabatowy DORZECZY25

ZAMÓW:
bialykruk.pl, tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl. Przy zamówieniu powyżej 300 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl ad30e406bf

Mapa Krakowa z 1618 r. z zarysem wiślanej żeglugi śródlądowej

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Port Kraków

Cezary Gmyz

Flisacy z Krakowa, Kazimierza czy Tyńca, obok flisaków z Ulanowa położonego na dopływie Wisły, czyli Sanie, uchodzili za najlepszych w Polsce

Port Kraków? Ale przecież w Krakowie zasadniczo nie ma portu. Dziś rzeczywiście nie ma, jednak przez stulecia Kraków był najważniejszym portem śródlądowym w tej części Polski, a niektórzy wręcz utrzymują, że ówczesna stolica Polski, choć nie leży nad morzem jak większość miast hanzeatyckich, jednak do Hanzy należała, jako miasto odgrywające kluczową rolę w dostarczaniu towarów do portów bałtyckich, a przede wszystkim do Gdańska. Nie budzi też wątpliwości, że gród Kraka od zarania jego dziejów stanowił też bardzo ważny punkt na mapie handlowej Europy od średniowiecza.

Jedna z pierwszych legend dotyczących początków państwa polskiego opowiada o Wandzie, co Niemca nie chciała i dlatego rzuciła się w odmęty Wisły. Nieco ironicznie trzeba stwierdzić, że co prawda Wanda Niemca nie chciała, ale jednak potęga Krakowa wyrosła na handlu z państwami niemieckimi, a kupcy niemieccy, tacy jak Bonerowie czy Wierzynkowie (niemieckie nazwisko Wirsig), odegrali olbrzymią rolę w budowie transportu śródlądowego.

ŻYCIE MARYNARZY ŚRÓDLĄDOWYCH

W poprzednich odcinkach cyklu wspominaliśmy o tym, że Wisła była żeglowna od ujścia Przemszy na wysokości Oświęcimia. To prawda. Jednak pierwszym dużym portem na jej trasie był właśnie Kraków. Jego znaczenie wyrosło nie tylko z tego powodu, że miał dostęp do południkowej rzecznej drogi śródlądowej, którą jest Wisła, lecz także z tego, że był częścią ułożonej równoleżnikowo Via Regia, czyli traktu królewskiego ciągnącego się od Santiago de Compostela aż na tereny dzisiejszej Rosji. I właśnie to sprawiło, że Warszawa jeszcze przez stulecia pozostawała zabitą dechami dziurą, gdy Kraków był już metropolią rozpoznawalną wśród kupców w całej Europie.

Od razu powiedzmy, że określenia „Kraków" używamy w dzisiejszym znaczeniu, gdyż tak naprawdę mówimy o trzech ośrodkach, czyli właściwym grodzie Kraka, znajdującym się po drugiej stronie Wisły Kazimierzu oraz nieodległym Tyńcu. Przy czym kluczową rolę w transporcie śródlądowym odgrywały te dwa ostatnie jako ośrodki portowe i centra flisackie.

To właśnie w tych dwóch miejscowościach było skupione życie marynarzy śródlądowych, jakbyśmy to dziś określili. Zarówno w Tyńcu, jak i w Kazimierzu działali najsłynniejsi szkutnicy, którzy do perfekcji opanowali sztukę budowy dwóch typów łodzi, które przez stulecia dominowały w wiślanej żegludze śródlądowej. Chodzi o galary i szkuty. Obie jednostki miały dość podobną konstrukcję. Jednak galar był jednostką bezpokładową, w której nie było wyróżnionych części dziobowej i rufowej. Szkuta była większa i miała wyniesiony dziób. Na pokładzie zwykle budowano tzw. budkę szyperską lub retmańską, gdzie nocowali flisacy, choć większość z nich spała na łodzi pod otwartym niebem. Galary miały mniejszą ładowność sięgającą 70 ton. Szkuty mogły pomieścić nawet 100 ton ładunku. Dla porównania: największe dopuszczone do ruchu po drogach samochody ciężarowe mają dopuszczalną masę całkowitą 44 tony.

Oprócz szkut i galarów budowano też mniejsze jednostki, takie jak baty, komięgi, dubasy czy kozy. Integralną częścią konwoju flisackiego były też każdorazowo tratwy, które były jednostkami jednorazowego użytku. W tym przypadku budulec jednostki pływającej był jednocześnie towarem, bo po dopłynięciu na miejsce tratwę rozbierano, a drewno sprzedawano. Tratwy były zbijane i wiązane w specjalnych miejscach na brzegach zwanych bindugami.

eprasa.pl ad30e406bf

Organizacja konwoju flisackiego stanowiła nie lada wyzwanie. Za wszystko był odpowiedzialny retman. Retmani to absolutna elita flisackiego rzemiosła. Ich funkcja była zwykle dziedziczna, jednak to nie oznaczało, że każdy syn retmana musiał przejąć funkcję po ojcu. Przyszli retmani przechodzili często kilkuletni kurs flisacki, począwszy od wiązania tratew, a skończywszy na operowaniu wiosłami oraz innymi narzędziami, które miały decydujące znaczenie w prowadzeniu zestawów na wodzie. Były to m.in. bosaki, specjalne żerdzie do hamowania jednostek, czy kotwice, które służyły nie tylko do cumowania łodzi, lecz także do manewrowania nimi. Trzeba pamiętać, że zestawy płynące po Wiśle miewały nieraz po 100 jednostek, z których poszczególne miały swoje zadania.

Zasadniczo taki konwój był prowadzony przez szkutę, na której pokładzie znajdował się retman. Szkuty jednak stanowiły najcięższe jednostki takiego zestawu i były najbardziej narażone na osadzenie na mieliźnie. To zaś stanowiło jedno z największych niebezpieczeństw na rzece, bo jednostki idące w samospławie były ciężkie do wyhamowania i w takim przypadku wpadały na siebie, doprowadzając do prawdziwych katastrof, w których ginęli ludzie i tracono towar. Dlatego szkuta retmańska zwykle poprzedzana była przez jedną mniejszą jednostkę lub kilka, tzw. bat wiślany. Ich załogi stanowili tzw. wytyczni, zwani też tyczkarzami. To właśnie oni przy pomocy długich żerdzi sondowali głębokość szlaku wodnego i przekazywali informacje do szkuty, a załoga szkuty do kolejnych jednostek. Komunikacja odbywała się głosowo. Stąd do dziś funkcjonuje w polszczyźnie powiedzonko „drzeć się jak oryl na Wiśle". Oryl to inna nazwa flisaka.

W SZCZYCIE SEZONU

Sezon żeglugowy na Wiśle trwał cały rok. Jednak jeśli chodzi o organizację największych zestawów, to sezon miał trzy szczyty. Pierwszy przypadał na wezbrania po zimowych roztopach, drugi na okolice św. Jana w czerwcu, trzeci to sezon jesienny, kiedy ulewne deszcze znowu podnosiły poziom wody.

Za najważniejszy uchodził spływ na janówce, czyli w czerwcu. Właśnie przed św. Janem zaobserwowano regularnie padające obficie deszcze, które powodowały wystąpienie czegoś w rodzaju fali powodziowej. I to właśnie na tej fali płynęło się najszybciej. Jej zaletą było to, że zabierała przeszkody, np. w postaci powalonych drzew, co ułatwiało żeglugę, bo można było płynąć prawie całą szerokością rzeki. Jednak pływanie na janówce nadal pozostawało olbrzymim wyzwaniem nawigacyjnym, właśnie ze względu na szybkość nurtu. Nurt Wisły to zazwyczaj 3–4 km na godzinę. Jednak podczas wezbrań jego prędkość rosła kilkukrotnie. A Wisła nie ma prostego koryta. Manewrowanie całym zestawem składającym się nawet ze stu jednostek było wyzwaniem wymagającym niebywałej koordynacji i umiejętności nawigacji.

Płynięcie na janówce miało też jedną zaletę. Noce są wtedy najkrótsze. Zazwyczaj termin spływu wybierano tak, by na jego środek przypadła pełnia Księżyca. To umożliwiało spław praktycznie całodobowy. Zapewne interesuje was, ile trzeba było poświęcić czasu na spłynięcie od Krakowa do Gdańska. Średnia wynosiła dwa tygodnie, choć najbardziej doświadczeni retmani potrafili się zmieścić w 10 dniach. A legendy flisackie opowiadały o rekordzistach, którzy potrafili się uwinąć nawet w pięć dni. Byłoby to niebywałe tempo. Na pewno nieosiągalne dla największych zestawów, gdzie średnia pokonywania dystansu zależna jest od najwolniejszych jednostek, którymi były tratwy. Jednak niewykluczone jest, że w przypadku konwojów bez tratw, składających się z jednostek mających podniesione dzioby, takich jak właśnie szkuty, było to w zasięgu możliwości przy płynięciu na fali powodziowej.

FLISACKA ELITA

Niewątpliwie flisacy z Krakowa, Kazimierza czy Tyńca takimi umiejętnościami dysponowali. Obok flisaków z Ulanowa położonego jednak na dopływie Wisły, czyli Sanie, uchodzili za najlepszych w Polsce. Górny odcinek Wisły wymagał większych umiejętności żeglarskich i nawigacyjnych ze względu na liczniejsze płycizny i mielizny. Prawdziwym wyzwaniem było też przekroczenie progu rzecznego na wysokości Niepołomic, gdzie dochodziło do licznych katastrof. Przez wieki miał on podobną sławę jak przylądek Horn w żeglarstwie pełnomorskim.

Flisacy ze względu na niebezpieczeństwa, na które byli narażani, bywali ludźmi zazwyczaj bardzo pobożnymi, ale też przesądnymi. Nawiasem mówiąc, żeglarskie przesądy, takie jak nieplucie do wody, to echa właśnie przesądów flisackich. Główną patronką flisaków była św. Barbara, choć o wstawiennictwo prosili też świętych Floriana czy Jana Nepomucena związanych nierozerwalnie z wodą. Nie da się jednak ukryć, że mimo demonstrowanej pobożności flisacy mieli podobną opinię do marynarzy, którzy mają dziewczynę w każdym porcie. I nie jest to opinia na wyrost. Wiadomo, że liczne karczmy na wiślańskich brzegach oferowały nie tylko strawę i nocleg, lecz także towarzystwo pań swawolnych. Mimo przesądu, że kobieta na pokładzie przynosi nieszczęście, czasem zabierano je nawet w rejs. Co ciekawe, jeszcze w XX w. marynarze śródlądowi mieli specjalny sygnał dźwiękowy, który oznaczał wymianę panienek między jednostkami płynącymi w dół i górę rzeki.

Ile trzeba było poświęcić czasu na spłynięcie od Krakowa do Gdańska? Średnia wynosiła dwa tygodnie, choć najbardziej doświadczeni retmani potrafili się zmieścić w 10 dniach

Niestety, w dzisiejszym Krakowie niewiele zostało pamiątek po flisakach. Warto na pewno odwiedzić znajdujący się w cieniu bazyliki Mariackiej kościół św. Barbary czy przespacerować się po ulicy Starowiślnej, której część stanowiła starorzecze. Jeśli ktoś chciałby bliżej poznać flisackie tradycje, to powinien udać się do wspomnianego wyżej Ulanowa nad Sanem, gdzie prężnie działa Bractwo Flisackie św. Barbary, które organizuje spływy tratwami i galarami, flisackie biesiady oraz koncerty dawnej muzyki ludowej. Na pewno warto z tymi fascynatami dawnej żeglugi śródlądowej się zapoznać, gdy będą państwo w okolicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad30e406bf

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Szydłowiec stolicą hrabstwa

JACEK KOMUDA

Szydłowiec uznawany jest za gniazdo rodowe sławnego rodu Szydłowieckich, którzy w średniowieczu nazywani byli Odrowążami. Ich rodowód sięga czasów Bolesława Krzywoustego, który mianował wójtem grodu wznoszącego się w miejscu dzisiejszego zamku pochodzącego z Czech Bolka Odrowąża. Dopiero pod koniec XIV w. jego przedstawiciele – Jakub i Sławko – przyjęli nazwisko od założonej przez nich osady targowej, która wkrótce zaczęła rozrastać się tak, że dała początek późniejszemu Szydłowcowi. Ciekawe, że właściciele nadali jej prawo średzkie wywodzące się ze Środy Śląskiej i nadawane miastom oraz osadom na równi z magdeburskim (znanym jako niemieckie) i chełmińskim. Później potwierdzili je kolejni władcy Polski, w tym Władysław Jagiełło w 1427 r.

RYS. MART

Prawdziwy rozwój miasta rozpoczął się jednak za panowania Kazimierza Jagiellończyka, który w 1470 r. zmienił jego prawo na magdeburskie. Do wzrostu znaczenia mocno przyłożył się Stanisław Szydłowiecki, kasztelan żarnowski, a potem radomski, marszałek nadworny króla i ochmistrz synów królewskich. Był też pod koniec życia starostą krakowskim. Niemal natychmiast po zmianie praw miejskich wybudował w Szydłowcu, w miejscu dawnego grodu, zamek będący wówczas imponującą rezydencją. Budowla przetrwała do dziś. Obecnie mieści się tutaj muzeum instrumentów ludowych.

Kolejna rozbudowa miasta miała miejsce za czasów rządów syna Stanisława, Jakuba, burgrabiego krakowskiego, kasztelana sandomierskiego i podskarbiego wielkiego koronnego. Szlachcic, który podpisał konstytucję nihil novi na sejmie w Radomiu, wzniósł w Szydłowcu murowany kościół św. Zygmunta na miejscu poprzedniego, drewnianego. Nieźle też rozbudował miasto ostatni z rodu, Mikołaj Szydłowiecki młodszy, którego renesansowy nagrobek znajduje się we wspomnianym kościele w miasteczku. Założył szpital dla inwalidów i biedaków, przebudował zamek w stylu renesansowym. Dodatkowo załatwił przywileje na dwa jarmarki, rozbudował miasto o trzy kolejne dzielnice, założył także szkołę elementarną. Niestety, jego potomstwo zmarło w dzieciństwie. Gdy zmarł bezpotomnie w 1532 r., Szydłowiec dostał się Radziwiłłom jako wiano Elżbiety Szydłowieckiej, która wyszła za Mikołaja Radziwiłła „Czarnego". Co ciekawe, wkrótce książę otrzymał od cesarza Ferdynanda Habsburga tytuł hrabiego na Szydłowcu i choć nie rezydował tutaj, przysyłając starostów, zabiegał o rozwój miasta. Za jego czasów stało się ono stolicą prawdziwego „hrabstwa" złożonego z okolicznych włości. Mikołaj wystarał się u króla Zygmunta Augusta o przywilej na kolejne dwa jarmarki oraz dla kupców, których zwolniono od opłat targowych i cła wodnego.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kolejny właściciel – znany już nam z licznych opowieści – Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, zwany „Sierotką", pozwolił na założenie gildii kupieckiej, nakazał powoływanie na wyprawy wojenne 12 dobrze wyćwiczonych piechurów. Za jego czasów, na przełomie wieków XVI i XVII, Szydłowiec, podobnie jak większość miast polskich, przeżywał okres niezwykłego rozkwitu i bogactwa obywateli. Na jarmarki ściągali kupcy z zagranicy, rozwijało się rzemiosło, w 1602 r. rozpoczęto budowę ratusza. Działała tutaj także liczna kolonia włoska, tak liczna, że niektórzy z jej przedstawicieli bywali burmistrzami miasta. Obok Włochów pojawili się także Szkoci zwani Szotami. Szydłowiec liczył dobrze ponad tysiąc mieszkańców. Nie miał jednak – co bywało częste w Polsce – murów miejskich ani żadnych fortyfikacji. Co więcej, chociaż w pobliżu znajdowały się kamieniołomy, większość domów była drewniana.

Miasto podzieliło los wielu innych polskich osiedli. Zostało splądrowane i zrujnowane w czasie potopu szwedzkiego tak bardzo, że większość domów i posesji stała pusta, opuszczona przez właścicieli, którzy zostali zabici, wypędzeni lub zmarli na skutek zarazy. Dlatego pod koniec XVII w. właściciel Dominik Radziwiłł zabiegał o osiedlanie się w mieście Żydów, a kolejny pan na Szydłowcu – Michał Antoni Radziwiłł – o zbudowanie dla nich synagogi. Niestety, wkrótce, w trakcie wielkiej wojny północnej na początku XVIII w., podnoszące się z ruin miasto zostało po raz kolejny złupione i spustoszone. Podnosiło się powoli do czasów Sejmu Wielkiego, aby po upadku I Rzeczypospolitej znaleźć się w III rozbiorze austriackim, potem – w Księstwie Warszawskim; wreszcie – w Królestwie Kongresowym. Dziś jest to malownicze miasteczko, dobre na niedzielny wypad turystyczny. ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

CUPRA TERRAMAR VZ „AMERICA'S CUP"

FOT. JAP

Nowy model hiszpańskiej marki to usportowiony SUV dla tych, którzy uwielbiają się wyróżniać zarówno na lądzie, jak i nad wodą (stąd zapewne połączenie w nazwie ziemi i morza, czyli „terra" oraz „mar").

Stojący na 20-calowych aluminiowych czarnych felgach i mierzący 4,519 m długości Terramar jest dynamiczny, świetnie wykonany (choć ocena ta nie dotyczy wszystkich plastików w kabinie) i sporo tańszy, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Agresywnie zarysowana sylwetka z rekinim nosem zapowiada auto z pazurem i na szczęście w tym przypadku nie jest to tylko chwyt marketingowy. Pod maską kryje się klasyczny dwulitrowy turbodoładowany silnik z bezpośrednim wtryskiem paliwa (TSI) o mocy 265 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi 400 Nm. Sprint od zera do pierwszej setki zajmuje zaś Terramarowi VZ zaledwie 5,9 s. Radości z jazdy jest sporo, zwłaszcza że świetny układ zawieszenia i sztywno zestrojone zawieszenie sprzyjają żwawemu pokonywaniu serpentyn. A jak na trasie trafią się nawet jakieś wyboje, to zawieszenie nie jest aż tak sztywne, aby pasażerowie z tyłu musieli się bardzo skarżyć.

Jednocześnie testowana Cupra w wersji „America's Cup" z przyciągającym spojrzenia szarym matowym lakierem i skórzaną tapicerką to wyjątkowo rzadki okaz na europejskich drogach. Na drogi całego świata rozjechało się zaledwie 1337 sztuk wariantu stworzonego po to, aby uczcić finały 37. edycji Louis Vuitton America's Cup w Barcelonie. Do polskich salonów terramarów w tej wersji trafiło zaledwie... 10. Ryzyko, że mąż koleżanki z pracy żony kupi sobie właśnie takie auto, jest więc minimalne. Terramar podoba się zresztą zarówno dużym, jak i małym chłopcom. Czasem trzeba poświęcić kilka chwil na parkingu na opowiadanie, cóż to jest za model, jaką ma moc, ile pali i oczywiście... ile kosztuje.

Otóż apetyt na paliwo zależy od obchodzenia się z pedałem gazu. Podczas dynamicznej jazdy w trasie będzie to od 8 l/100 km w górę. Ale Terramar potrafi być też oszczędny (podczas testu na drogach krajowych udało mi się zejść do średniej 6,8 l/100 km, nie wlokąc się specjalnie).

Terramar to więc jednocześnie auto usportowione i – jak na rodzinnego SUV-a przystało – praktyczne. Jest wiele schowków. Pasażerom na tylnej kanapie miejsca powinno zaś wystarczyć zarówno na nogi, jak i na głowy. Ten model to też dobry wybór dla tych, którym podobał się Formentor, ale potrzebują np. większego bagażnika (kufer w Terramarze ma 540 l pojemności, co jest już przyzwoitą wartością). Jednocześnie cieszy, że konstruktorzy pamiętali o zachowaniu wielu elementów kabiny w charakterystycznym „cuprowym" kolorze.

Ile kosztuje Terramar? W najtańszej wersji nówkę sztukę można kupić za 180,2 tys. zł. Wersja VZ z silnikiem 2.0 TSI kosztuje co najmniej 230 tys. zł. ©℗

XIAOMI 15 ULTRA

Fantastyczna jakość zdjęć, świetny wyświetlacz oraz wysoka wydajność – to największe zalety flagowca chińskiej marki Xiaomi.

Na pierwszy rzut oka ten potężny smartfon ważący aż 226 g nie zachwyca. Jest minimalistycznie i elegancko (obudowa białej wersji przypomina masę perłową), ale najsmuklejszy smartfon świata to to na pewno nie jest (ma 9,35 mm grubości). Wzrok przyciąga gigantyczna wyspa z obiektywami, która wyraźnie wystając ponad tylną obudowę, jasno wskazuje, na czym skupili się twórcy Xiaomi 15 Ultra. Testowany model walczy o tytuł mistrza fotografii mobilnej i – jakby to powiedział Donald Trump – ma w ręku solidne karty. Aparat główny 50 Mpix został wyposażony w optykę legendarnej firmy Leica, a także w dużą, 1-calową matrycę Sony LYT-900w. Efekt? Fantastyczna jakość zdjęć, świetna głębia ostrości, mnóstwo szczegółów. Naprawdę trudno się do czegoś przyczepić. I to zarówno w słoneczny dzień, jak i w nocy. A na pokładzie tego modelu są też świetne: teleobiektyw 50 Mpix f/1.8, obiektyw peryskopowy 200 Mpix f/2.6 oraz ultraszerokokątny 50 Mpix f/2.2. Jakość wideo też jest dobra, choć stabilizacja mogłaby być jeszcze lepsza.

Dużą zaletą jest też przepiękny czterostronnie zakrzywiony wyświetlacz OLED o przekątnej 6,73 cala o rozdzielczości QHD (3200 x 1440 pikseli) i adaptacyjną częstotliwością odświeżania wynoszącą od 1 do 120 Hz. Kolorowy są żywe i nasycone, czerń głęboka, kontrast imponujący. Wysoka maksymalna jasność ułatwia korzystanie z tego modelu w ostrym słońcu. Obsługa HDR10+ i Pro HDR sprawia zaś, że dużo przyjemniej korzysta się z serwisów streamingowych.

Sercem urządzenia jest ośmiordzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 8 Elite z Adreno 830, który współpracuje z 16 GB pamięci RAM (LPDDR5X). Mamy też 512 GB pamięci wewnętrznej UFS 4.1. Wszystko więc śmiga, aż miło, nie tylko z benchmarkach. Po stronie plusów trzeba też zapisać głośniki stereo z Dolby Atmos, obsługę eSIM i dual SIM, Wi-Fi 7 oraz ultradźwiękowy czytnik linii papilarnych.

Minusy? Smartfon mógłby mieć bardziej pojemną baterię (5410 mAh to dziś mało jak na flagowca, o czym producent dobrze wie, bo w Chinach oferuje wariant z baterią 6000 mAh), stopień ochrony IP69 (jest IP68) oraz fizyczny spust migawki (można jednak dokupić fotograficzną obudowę lub użyć po prostu przycisku głośności).

Xiaomi 15 Ultra staniał od premiery z ponad 6 tys. zł do poniżej 5 tys. zł. W takiej cenie tak zaawansowany model to atrakcyjna propozycja. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl ad30e406bf

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Fasolowe wariacje na wakacje

Fasolka szparagowa najlepiej smakuje w lipcu – razem z młodymi ziemniakami, polana oczywiście podsmażoną na złoto bułką tartą z masełkiem. Takie smaki pamiętamy z czasów naszego dzieciństwa. Podobnie jak smak wakacyjnej zupy jarzynowej z żółtą fasolką i czosnkiem, zabielanej śmietaną i ze świeżym koperkiem – do tego zawsze pajda świeżego chleba. Taki obiad serwowała nam babcia podczas wakacji we wsi Strojców koło Dąbrowy Tarnowskiej. Na deser był kompot z truskawek.

FOT. ADOBE STOCK

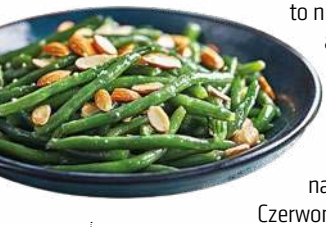

Właściwie jak na obiad to nie za dużo, ale zupa była pożywna, czasami gotowana na mięsie. Czerwone mięso jadałyśmy dość rzadko, bo go po prostu nie było, ale też latem nie miałyśmy na mięso ochoty. Za to kurczaka pieczonego w prodiżu nigdy nie odmawiałyśmy.

Babcia hodowała swoje kurczaki i kury – nie za dużo, ale zawsze coś na obiad było. Czasami dziadek przynosił „kuraki" – jak to mówił z akcentem lwowskim – od sąsiadów. Bo dziadek był tzw. złotą rączką i zawsze pomagał wszystkim dookoła: naprawiał garnki, urządzenia domowe, a za to otrzymywał worek mąki czy skrzynkę ogórków albo kurczaki właśnie. Smak kurczaka z prodiża był niepowtarzalny i zawsze się zastanawiałyśmy, jak to jest, że w tym małym, prostym urządzeniu można przygotować coś tak pysznego. Bo z prodiża wszystko wychodziło dobre: kurczaki, serniki i ciasta drożdżowe. Być może dlatego, że niczego innego wtedy nie było. A może to wspaniałe ręce naszej babci i jej dar przyprawiania czyniły wszystko smacznym?

Smaki zawsze wracają wraz z rozpoczęciem się wakacji i chociaż czasy się zmieniły, i to bardzo, to chciałybyśmy, aby nasze dzieci też mogły poczuć tamten klimat. Latem staramy się gotować prosto i sezonowo, jemy więcej warzyw i te wspaniałe owoce letnie, na które czekamy cały rok, szczególnie na maliny. Przepisy trochę udoskonalamy, zmieniamy, dodajemy inne przyprawy, tak aby wszystkim smakowało – ale chcemy zachować pamięć kulinarną naszej rodziny. Dzisiaj proponujemy fasolkę.

Aby zrobić dobrą fasolkę, trzeba ją oczyścić, obciąć końcówki i włożyć do garnka z wrzątkiem, dodać po małej łyżeczce cukru i soli. Gotujemy ją al dente, czyli na półtwardo, ok. 15–20 min. Oprócz polania fasolki bułką tartą z masłem możemy też przełożyć ją na patelnię z roztopionym masłem i podsmażonym przez chwilkę czosnkiem, wszystko podsmażyć i podać z prażonymi migdałami albo prażonymi orzechami laskowymi. Smakuje wyśmienicie. Można serwować z młodymi ziemniakami w mundurkach.

Za to zieloną fasolkę możemy przygotować podobnie – ugotować w osolonej wodzie, przełożyć na patelnię, dodać płatki chili, trochę oliwy z oliwek, płatki czosnku i drobno posiekaną kiełbaskę chorizo, posypać natką pietruszki i skropić sokiem z cytryny. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

W lipcu się nie umiera

Proszę się nie śmiać. Istnieją jeszcze ludzie, którzy czytają XIX-wieczne powieści. Ja jestem takim człowiekiem. I czytam po raz enty „Noce i dnie" Marii Dąbrowskiej (wydanie 1932–1934, ale duch XIX-wieczny), długą powieść, której już nikt nie czyta.

Niczego nie opuszczam: opisów przyrody (wtedy istniała przyroda), opisów prac na roli, rozmów towarzyskich o wojnie rosyjsko-japońskiej, opisów życia uczennic na pensji, aluzyjnych scen miłosnych, opisów charakterów postaci i ich stanów psychicznych.

Ale najbardziej się skupiam na opisach (proszę się nie śmiać) chorób i śmierci, a jest tego u Marii Dąbrowskiej tyle, co w życiu, czyli sporo. Kto we współczesnej literaturze by opisywał choroby? Od tego są portale medyczne, z których dowiesz się tego, co już wiesz. Oraz internetowe rewelacje z odkryć uczonych na Yale School of Medicine. A jak kto chory, to do szpitala.

W powieści to jest proste: człowiek nagle choruje. Na co, nie wiadomo dokładnie, bo o chorobach wtedy nie wiedziano tyle, co dzisiaj wie każdy z portalu Medinet. Bóle, gorączka, poty, omdlenia. Kładzie się chorego do łóżka. Wzywają doktora, który mierzy puls – to fundamentalna część badań i diagnozy. Puls mówi wszystko. W „Nocach i dniach" stale mierzą puls. Doktor, który jest przyjacielem domu, osłuchuje, zaleca kompresy z lodu, okłady z gorczycy, lekkie jedzenie, kieliszek czerwonego wina, krople i odpoczynek. Czasem postawią choremu bańki, pijawki, puszczą krew. Nie wiozą na ostry dyżur. Wszystko odbywa się w domu. Rodzina czuwa na zmianę przy chorym, a jak już jest źle, to wzywa się księdza. Opiekują się chorym wzorowo, ale on i tak wkrótce umiera. W zasadzie wiadomo, że jak już ktoś zachoruje, to niedługo umrze.

Jak już jesteśmy przy chorobach i śmierci, to np. w kinie wyglądają one całkiem elegancko. Opuszcza się ten świat szybko, czysto, nie sprawiając nikomu kłopotu. Chory leży na wznak, trochę przybladły (makijaż), w ładnej pościeli. Obok łóżka fotel dla gościa, na stoliku kwiaty. Jeden chory ma cały pokój dla siebie, uśmiechnięte pielęgniarki, cierpliwych lekarzy, wokół najnowocześniejszą aparaturę. Nie ma krwi i brzydkich zapachów. Jak bohater w jednej scenie raz zakaszle, to wiadomo, że ma gruźlicę i w następnej scenie umrze. W powieściach też tej całej fizjologii nie ma, ale jednak przykrej rzeczywistości, takiej materialnej, jest więcej niż w kinie. Wiadomo, choroba nie pachnie różami.

Mówi się, że „w maju się nie umiera". W czerwcu i lipcu tym bardziej. Więc proszę wybaczyć ten nieprzyjemny, mało wakacyjny temat w wesołym, bezproblemowym świecie. To wszystko z tych nudnych XIX-wiecznych powieści, jak „Noce i dnie". ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Sezonowy ogórek kandydata

Czy w ogóle jeszcze będziemy kiedykolwiek mieli sezon ogórkowy? Dla młodzieży, dla której może sam termin nie jest jasny, tłumaczę – chodzi o to, że szczególnie w okresie wakacji zamierało życie polityczne: działacze, politycy, a nawet wojskowi robili sobie wakacje i media musiały się starać o znalezienie tematów zastępczych. Coś jak ogórki… promowane przez byłego kandydata na prezydenta jako nasz wkład w wymianę eksportową świata. To, że tłumaczę młodzieży, co to takiego, już świadczy, że jest coś na rzeczy.

Nowym pokoleniom od zarania nie dane już jest przeżywanie chwil beztroskich. Cały czas coś się dzieje, a to z dwóch powodów: po pierwsze, czasy przyspieszyły, gdyż tasują się karty mocarstw i trzeba już tylko się modlić (i działać, ale to nie w naszym przypadku), by takie tasowanie nie skończyło się wypadnięciem paru kart w przypadku wojny. Drugi powód to wszechobecna strategia medialna polegająca na codziennym bombardowaniu odbiorców coraz to bardziej eskalowanymi sensacjami, stawiającymi przyszłość indywidualnego życia ludzkiego pod znakiem zapytania. Wojny, zarazy, klimaty, migracje, rasizm, faszyzm – czego tu nie ma? I bombardowany tym widz, który nie widzi alternatywy takiego stanu, staje się coraz bardziej zdenerwowany nowymi bodźcami oraz sfrustrowany swą bezradnością, którą jednocześnie suflują media.

Starsze pokolenie ma do tego chyba większy dystans, bo widziało przecież w swoim życiu całe ciągi „sezonów ogórkowych", gdzie nic się nie działo (czy naprawdę, to już inna sprawa), i można było w trakcie letniej laby odetchnąć od obrotów ciał ziemskich. A więc możemy, my starsi, mieć do tego dystans, wiedząc, że to tylko kwestia dozowania, nie zaś tego, że świat się kończy i trzeba koniecznie zobaczyć każdą klatkę filmu ten fakt relacjonującego.

Jak daleko zaszliśmy, widać po nieśmiałych i coraz bardziej nieudanych próbach powrotu mediów do „ogórków". I tak wieści o zagładzie w Gazie stoją sobie medialnie obok rewelacji dotyczących nowego olejku do opalania. Nawet smutne tematy wojenne lądują tym sposobem w dziale infotainment, czyli prędzej zobaczymy popularnonaukowe przekroje bombowca B-2 niż zdjęcia jego ofiar.

I żeby nie było – ja tam tęsknię za mniej ciekawymi czasami, bo mam porównanie. Młodzi, tego nie mając, nie mają za czym tęsknić, „urodzeni w (medialnej) niewoli, okuci w powiciu". A czasy mamy dziwne, gdyż za komuny człek myślał, że jak to padnie, to nic go już nie zaskoczy. Co okazuje się naiwnością równą złudzeniom niegdysiejszych proroków „końca historii". ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Polska w outsourcingu

Patrząc na ostatnie wydarzenia w Polsce, zastanawiam się, po co premierowi Tuskowi państwo. Ponieważ w podstawowych obszarach struktury państwa sobie nie radzą, obywatele biorą sprawy w swoje ręce.

Dowodem jest Ruch Kontroli Wyborów. To m.in. mobilizacja obywateli podczas tych wyborów prezydenckich sprawiła, że nawet mimo lamentu głównych mediów i pieniactwa sekty pana Romana Sąd Najwyższy i większość opinii publicznej uznają rozstrzygnięcie drugiej tury – zwycięstwo Karola Nawrockiego. Autentyczny zryw obywatelski widzimy też na granicy z Niemcami. Już nie tylko Roty Niepodległości i Robert Bąkiewicz, ale setki zwykłych mieszkańców Zachodniopomorskiego i Lubuskiego organizują patrole i straże obywatelskie. Opór i umieszczane w mediach społecznościowych liczne filmiki, na których widać bezradność polskich służb i bezczelność niemieckiego mechanizmu „ubogacania Polski", mocno oddziałuje na nastroje społeczne. Tym właśnie należy tłumaczyć nagłą decyzję premiera o wprowadzeniu od 7 lipca kontroli na zachodniej granicy. Spektakularny sukces odnotowało też, wcześniej nieznane, Stowarzyszenie Katechetów Świeckich, które w trzy miesiące zdołało zebrać i złożyć w Sejmie 500 tys. podpisów pod obywatelskim wnioskiem w obronie lekcji religii w szkole. Wcześniej protesty rodziców i nauczycieli ostudziły minister Nowacką przed wprowadzeniem do podstawówek i liceów obowiązkowej edukacji seksualnej.

Obywatelska mobilizacja, jak widać, przynosi rezultaty. Skandaliczne zaniedbania państwa w kwestii obrony cywilnej także zrodziły obywatelski zryw. Jacek Bartosiak i Marek Budzisz z niezależnego zespołu ekspertów Strategy & Future opracowują i publikują poradniki, organizują w całej Polsce szkolenia samorządowców, wyprzedzając rząd w przygotowaniu społeczeństwa na ewentualność agresji. Polacy sami też zadbali, by po przejęciu TVP mieć swoje media. Potężny zryw społeczny obywateli przeznaczających stałe darowizny na telewizje Trwam, Republika, wPolsce24, Radio Wnet i liczne autorskie kanały pozwala na dostęp do szerokiego spektrum informacji, do różnych opinii, buduje realny pluralizm.

Wiemy, że rząd Tuska oddał w outsourcing politykę bezpieczeństwa państwa. Choć jesteśmy w NATO, Tusk snuje jakieś opowieści o unijnym systemie obrony. Oddał też politykę gospodarczą i międzynarodową Komisji Europejskiej. Najwyższy czas oddać w outsourcing władzę. Podpowiem, jak to zrobić. Należy podać rząd do dymisji i doprowadzić do przyspieszonych wyborów. ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Fala upałów...

Wątpliwości nie ma: Bodnar Adam jako minister sprawiedliwości przeszedł do historii polskiego sądownictwa. Stop. Jako pierwszy i jedyny na razie minister stanął przed Izbą Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, którą przez kilka godzin tytułował „Wysoki Sądzie", polemizował z sędziami, nazywając ich sędziami, twierdząc jednocześnie, że to nie jest sąd. Stop. Rozmawiać publicznie z bytem, którego nie ma? Śmiałe. Stop. Spróbuję ustalić, czy pan Adam zapisał się również na kartach polskiej psychiatrii. Podzielę się z państwem tą wiedzą. Stop.

Zacytuję teraz dowcip „naukowca", na którym oparł się wyżej wymieniany Bodnar, mówiąc o rzekomych anomaliach przy głosowaniu, więc nie będzie śmiesznie. Stop. Tym „naukowcem" jest niejaki Krzysztof Kontek, który sugerował swoje powiązania ze Szkołą Główną Handlową, ale SGH po zapoznaniu się z jakością pracy Kontka odżegnała się od figlarza brutalnie. Stop. Kontek zajął się analizą komisji wyborczych, ale – jak sam przyznał – tylko pod kątem jednego kandydata, tak jakby oszukiwać można było tylko na niekorzyść Trzaskowskiego. Stop. Złożył protest wyborczy, ten został odrzucony, choć znany z prawniczej klasy Sąd Najwyższy nie nazwał elaboratu Kontka kuriozalnie głupawym. Stop. Tegoż „naukowca" obśmiał nawet raczej propeowski Marek Migalski i nie zachwycał się nim Marcin Matczak. Stop. Dobra, bo przydługi ten wstęp do dowcipu Kontka, oto on: „Idą dwa orangutany, a naprzeciwko Matczak z Migalskim. Migalski: Nie widzę orangutanów. Orangutan: Widzę dwóch idiotów". Stop. To jest ten moment, w którym wstydzę się za ludzkość...

Niemcy oficjalnie przyznają, że są złodziejami. Co więcej – cieszą się do tej pory tym, co zrabowali w czasie drugiej wojny światowej. Stop. Biblioteka Uniwersytecka we Frankfurcie nad Menem ma w swoich zbiorach ok. 7,5 tys. książek, które Niemcy zrabowali w czasie drugiej wojny światowej. Stop. Tak tylko zauważę, że druga wojna światowa skończyła się 80 lat temu. Stop.

I jeszcze jedna ciekawostka z Niemiec. Jak podały niemieckie media, prokuratura w Hesji prowadzi dochodzenie w sprawie molestowania seksualnego dziewczynek na basenie. Najmłodsza miała 11 lat, a najstarsza 16. Stop. Pedofilami okazali się imigranci z Syrii, ale nie to jest ciekawostką. Stop. Ciekawostką jest to, że niemieckie media zaczynają o tym informować, a przecież to trąci rasizmem i polityczną niepoprawnością. Stop.

Adwokat od Wolnych Sądów, niejaki Marcin Wawrykiewicz, stwierdził, że Państwowa Komisja Wyborcza nie zna wyniku wyborów. Stop. Przez Polskę przeszła fala upałów... ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Tęczowi Apacze

Tajemnicze przemiany przechodzą na oczach świata amerykańskie siły zbrojne. Jeszcze niedawno szczyciły się pierwszym wojskowym śmigłowcem, którego załoga składać się miała wyłącznie z żołnierzy LGBT. Zdjęcie czterech amerykańskich lotników, dzierżących tęczową flagę na tle wojskowego śmigłowca, obiegło w 2021 r. światowe media. O wojennych sukcesach pierwszej tęczowej załogi nie dane nam już było niczego usłyszeć. Zapewne utajniono te informacje w obawie przed naśladownictwem ze strony walczących z Amerykanami talibów.

Opisywane w 2018 r. na łamach „New York Timesa" jednopłciowe „małżeństwo" dwóch pilotów bojowego śmigłowca Apache także skończyło się na relacjach z wesela. Szczęśliwi nowożeńcy, obaj kapitanowie służby czynnej, zawarli swój związek w kaplicy najsłynniejszej amerykańskiej akademii wojskowej w West Point. W wywiadzie, zatytułowanym wzruszająco „Z miłości do kraju i siebie nawzajem", opowiedzieli dziennikarzom o licznych nieprzyjemnościach, które zmuszeni byli znosić przed rokiem 2011. W amerykańskich siłach zbrojnych obowiązywała jeszcze wtedy zasada „Don't ask, don't tell" (Nie pytaj, nie mów). „To było naprawdę frustrujące, kiedy kochający się ludzie czuli do siebie tak dużo, ale nie mogli sobie tych uczuć okazać" – wspominali zakochani piloci. „Teraz już nie musimy się ukrywać".

Wiele wskazuje na to, że radość ich była przedwczesna. Amerykańskie władze podjęły właśnie decyzję o zmianie nazwy amerykańskiego tankowca wojskowego USNS „Harvey Milk". Ten nowoczesny okręt, zwodowany w roku 2021, nazwany został na cześć gejowskiego aktywisty, pierwszego radnego San Francisco otwarcie przyznającego się do orientacji homoseksualnej. Zanim doceniła go marynarka USA, Harvey Milk zdołał podbić serca Hollywood. Film „Obywatel Milk" (2008) nagrodzony został dwoma Oscarami i Złotym Globem, a w roli tytułowej zagrał gwiazdor Sean Penn.

Nowym patronem wojskowego tankowca został Oscar V. Peterson, wyróżniony Medalem Honoru marynarz, poległy w bitwie morskiej z Japończykami na Morzu Koralowym. „Kończymy z polityką w nazywaniu okrętów. To nie jest miejsce dla upamiętniania aktywistów politycznych, jak za poprzedniej administracji. Ludzie chcą być dumni z okrętu, na którym służą" – skomentował amerykański sekretarz obrony Pete Hegseth.

Jest to kierunek słuszny, choć i on niesie pewne ryzyko. Miejmy jednak nadzieję, że kolejny amerykański lotniskowiec nie będzie się nazywał USS „Brokeback Mountain". ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Karzeł z łapą zaciśniętą w pięść

Mamy powód do dumy – Polska była jedynym krajem z tzw. demoludów, który nie miał pomnika Stalina, choć niewiele do tego brakowało. Już 7 marca 1953 r., dwa dni po jego śmierci, Rada Państwa podjęła wiernopoddańczą uchwałę o przemianowaniu Katowic na Stalinogród i budowie monumentalnego, 15-metrowego pomnika Chorążego Pokoju, kolosa, który miał stanąć przed wejściem do Pałacu Kultury. Rozpisano konkurs na jego projekt, w którym wzięli udział znakomici rzeźbiarze, m.in. Marian Wnuk, Alfons Karny, choć i tak było wiadomo, że to priorytetowe zlecenie powierzone zostanie faworytowi władzy, sztandarowemu socrealistycznemu twórcy, mistrzowi Xaweremu Dunikowskiemu, już wtedy 70-letniemu, o międzynarodowej sławie, a ekipie Bieruta zależało właśnie na poparciu przedwojennych elit.

Wybór Dunikowskiego wiązał się jednak z ryzykiem, bo choć był rzeźbiarzem wybitnym, to zarówno człowiekiem, jak i twórcą nieobliczalnym, niesterowalnym, krewkim i gwałtownym, nazywanym ze względu na swój niski wzrost kurduplem skandalistą. Awanturował się, pojedynkował, a w 1903 r. w Krakowie zastrzelił podczas kłótni młodego malarza, ale udowodnił, że w obronie własnej. Był autorem wielu wspaniałych rzeźb, m.in. cyklu „Macierzyństwo", „Kobiety brzemienne", „Głowy wawelskie", a także socrealistycznych, z wazeliny, jak olsztyński pomnik wdzięczności dla Armii Czerwonej zwany Szubienicami. Zawsze jednak lubił prowokować i zaskakiwać. W 1949 r. na konkurs w Moskwie wykonał popiersie demonicznego Lenina, uwydatniając jego azjatyckie, kałmuckie rysy twarzy, skośne oczy; schowano je więc głęboko w magazynie.

Jego Stalin nie przypominał dobrotliwego Ojca Narodów ani myśliciela z fajką. Był zbudowany z potężnych, grubo ciosanych bloków granitu. Krępy, niski, a nawet karłowaty

Dostał na pomnik Stalina gigantyczną zaliczkę i zabrał się do roboty. Wyraźnie się jednak nie śpieszył, zniecierpliwiona władza zażądała więc oględzin i wpadła w panikę, wyrzeźbił bowiem Potwora. Jego Stalin nie przypominał dobrotliwego Ojca Narodów ani myśliciela z fajką. Był zbudowany z potężnych, grubo ciosanych bloków granitu. Krępy, niski, a nawet karłowaty, bo tak rzeczywiście było, tylko oficjalne wizerunki dodawały mu wzrostu. Lewą ręką trzymał się pod boki, prawą na szerokim, wypiętym torsie dłoń, a raczej łapę, miał ściśniętą w pięść. Prostacką gębę prymitywnego, butnego chama, grubianina, azjatyckiego despoty. Wydęte policzki, tak jakby chciał pluć na cały świat, i wielkie, ciężkie buciory, którymi mógłby go zmiażdżyć. Zaśmiał się tylko Cyrankiewicz, zniesmaczeni Berman i Minc chcieli jak najszybciej pomnik zakryć, Sokorski, minister kultury – zniszczyć. Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego, uważał jednak, że to mimo wszystko dzieło wybitnego artysty. Bierut wpadł w szał, nakazując mistrzowi pomnik przeprojektować. Ten jednak zdecydowanie odmówił, wyrzeźbił Stalina jako mocarza i nic zmieniać nie będzie!

Schowano go więc i utajniono, zamierzając realizować projekt innego z uczestników konkursu, ale zaczęły się odwilż, referat Chruszczowa i koniec kultu Stalina. „Ja specjalnie takiego skurwego syna wyrzeźbiłem, żeby go nie wystawiali" – mawiał więc otwarcie Dunikowski. Nic złego go jednak nie spotkało, upiekło mu się, wybronił go Cyrankiewicz, który był razem z nim w obozie w Oświęcimiu. Jednak mimo to Stalina mu zapamiętano i nie pozwolono na wykonanie pomnika oświęcimskiego, nie przyjęto jego pomnika walczącej Warszawy, nie doczekał obiecanego mu muzeum jego bogatego dorobku, o który latami zabiegał. Żył lat 89, zmarł w 1964 r., a dopiero rok później otwarto w Warszawie, w Królikarni, muzeum jego imienia, gdzie znajduje się Stalin plujący na świat. ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

DEFECATIO

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Byłem kilka razy w indiańskich wioskach, gdzie jeszcze nie widziano białego człowieka. Słyszeli o Białych, ale ich nie widzieli na własne oczy. Wiedziałem, co będzie, gdy się tam pojawię, więc byłem przygotowany – na dokładne oględziny. Indianie przychodzili mnie dotknąć, poskrobać moją skórę w różnych miejscach i najbardziej interesowały ich te miejsca, gdzie skóra jest najbardziej biała. Ostatecznie cała wycieczka szła za mną do lasu sprawdzić, czy moja kupa też będzie biała.

Potem byli rozczarowani i odchodzili. Koniec sensacji. Na kolejną kupę mogłem już iść sam, no ale ta pierwsza za każdym razem wiązała się z wieloosobową widownią ustawioną za moimi plecami. Praca antropologa wymaga samozaparcia.

***

Przenoszenie kultur z miejsca na miejsce może powodować rozwój lub upadek kultury miejscowej. Islam zaniesiony do Czarnej Afryki podniósł tamtych ludzi cywilizacyjnie – islam przynoszony obecnie do Polski powoduje upadek, zdziczenie i degradację kulturową. W Senegalu nakręciłem odcinek „Boso przez świat" o afrykańskiej odmianie islamu i chwaliłem TAMTEN islam, bo był pokojowy, ale przede wszystkim wymuszał na Murzynach mycie rąk i całego ciała z tyłkiem włącznie, czego wcześniej Murzyni nie robili. Przyszedł islam, nakazał ablucje, zaczęli się myć, zaczęli być zdrowsi, bo przestali wycierać tyłek ręką, piachem lub liściem.

Ten sam islam przeniesiony do współczesnej Polski powoduje DEGRADACJĘ I UPADEK. Zacytuję list, który dostałem kilka dni temu: „Proszę Pana o pomoc w przekazaniu narastającego problemu, bo Pan trafi do większej liczby ludzi. Chcę też z góry przeprosić za formę i użyte słownictwo. Wie Pan, jak kiedyś wyglądały u nas publiczne toalety. Stan ich był spowodowany przez ludzi mających problem z alkoholem. Teraz wchodzi to na zupełnie inny poziom i zwykłych szarych ludzi zmusza się do korzystania z toalet na budowach, a nawet – jak ostatnio zauważyłem – i w urzędach, w których chcąc skorzystać, brodzimy w gównach muzułmanów.

Pracując jako elektryk, nie mogę oddalić się z miejsca pracy, żeby skorzystać z toalety, a zatrudnieni na tej samej budowie muzułmanie myją sobie dupy, kucając na podłodze, bo tak im nakazuje wiara. Co za tym idzie, wchodząc do toalety, widzimy butelkę po wodzie, mokrą podłogę i kawałki gówna, w które musimy wejść, żeby skorzystać. Oczywiście wszyscy (kierownicy budowy, sanepid i Ministerstwo Zdrowia) mają to gdzieś i bezczelnie mi mówią, że jestem nietolerancyjny, bo takie są muzułmańskie przykazy wyznaniowe. Inna sprawa, że urzędy i szpitale mają dla personelu osobne toalety, a i na budowach kierownicy mają osobny toi toi".

***

Moim zdaniem każda imigracja niszczy Polskę, a nie poprawia. I proszę mi wykazać, że się mylę. Proszę mi wskazać jakieś pożytki z imigracji, bo ja widzę wyłącznie wady. Jeżeli wcześniej w Polsce było chamstwo, to w wyniku przyjazdu imigrantów poziom chamstwa wzrósł. Wzrosła też liczba wypadków samochodowych, a co za tym idzie – wzrosły stawki ubezpieczenia oraz liczba ofiar. Szczególnie mocno wzrosła liczba wypadków po pijaku. Przed falą imigracji istniały w Polsce choroby weneryczne, w tym AIDS. W wyniku imigracji liczba zakażonych wzrosła KOLOSALNIE. Przestępczość też wzrosła i pojawiły się w Polsce zagraniczne gangi.

W jaki sposób ktoś miałby bronić imigracji jako zjawiska przynoszącego pożytek? Ja nie wiem. Pożytku nie widzę. Ale jestem otwarty na argumenty. Ktoś powie, że gdyby nie ukraińskie ręce do pracy, to w polskiej ekonomii byłoby gorzej? Nieprawda. Pieniądze zarabiane przez imigrantów nie zostają w Polsce, nie zasilają naszej gospodarki – są WYWOŻONE lub wysyłane do rodzin w obcych krajach. Imigracja powoduje wysysanie gotówki z Polski, a nie przywóz kapitału.

Proszę pytać zwolenników imigracji, gdzie jest jakiś pożytek z wpuszczania do Polski obcych. Co zyskujemy? Ja widzę zjawiska złe, których wcześniej nie było. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by w Polsce jeden ojciec kopnął w twarz dziecko drugiego ojca. A Krzysztof Bosak podaje coś takiego, cytuję: „37-letni Ukrainiec zajmujący się swoim dzieckiem na placu zabaw w Krakowie kopnął w twarz polskiego chłopca tak mocno, że ten stracił przytomność i trafił do szpitala. Policja wezwana przez ojca małego Polaka zatrzymała sprawcę, prokurator postawił zarzut, ale nie zdecydował się na areszt. Przypominam, że na mocy praw wprowadzonych przez układ PiS-PO-PSL-Lewica-PL2050-PAD nadal każdy człowiek z paszportem z Ukrainy ma wszystkie przywileje należne polskim obywatelom i pierwszeństwo w dostępie do niektórych usług. Jesteśmy jedynym państwem na świecie, które prowadzi tak głupią politykę".

***

Siemoniak powiedział, że Straż Graniczna wykonuje swoje podstawowe obowiązki. A ja na to, że Straż Graniczna powinna wykonywać wszystkie swoje obowiązki, a nie tylko te podstawowe. Częścią obowiązków SG jest deportacja. Dalej władza mówi, że zamknięcie granicy to ostateczność.

Hę? A dlaczego „ostateczność"? Zanim nastała Strefa Schengen, kontrole graniczne były wszędzie i świat się nie walił. Niemcy przedłużyły kontrole na swojej granicy do września. Wiele państw ze Strefy Schengen przywróciło kontrolę graniczną: Hiszpania, Austria, Belgia, Słowacja, Norwegia. Zamknięcie polskiej granicy to nie „ostateczność", lecz rzecz pierwsza, którą powinno się zrobić.

Jedną z decyzji nowego prezydenta będzie utworzenie ministerstwa do spraw deportacji cudzoziemców. To na razie tylko obietnica bez konkretu w postaci objaśnienia jak Karol Nawrocki planuje to wykonać. Moje hasło WSZYSCY WON nadal aktualne i nabiera nowych znaczeń. ©℗

eprasa.pl ad30e406bf

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

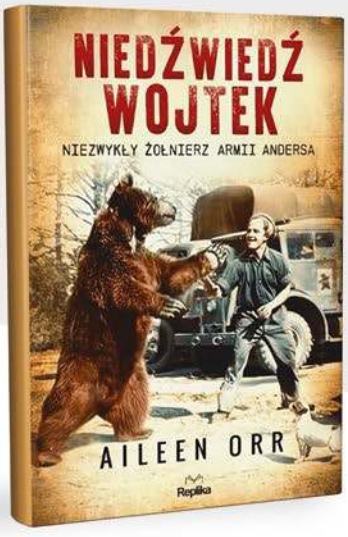

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

AILEEN ORR: „NIEDŹWIEDŹ WOJTEK" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~761 ZŁ~~

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 469 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ad30e406bf

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

WAKACYJNE CUDA II RZECZYPOSPOLITEJ

Od Helu do Okopów św. Trójcy – Przedwojenna Polska była turystycznym rajem, oferując urlopowiczom przyrodnicze i kulturowe bogactwo

Automobilowe szaleństwo – Samochód był w II RP bardzo rzadkim widokiem. Tylko najbogatsi mogli sobie pozwolić na automobilowe wojaże po kurortach

Krucjata Morela – Młody Brytyjczyk uparł się, by nagłośnić zbrodnie dokonywane w Kongu przez władcę Belgii. Zorganizował kampanię społeczną, która pokrzyżowała jego plany

Polska królowa pędzla i palety – Olga Boznańska przez wielu znawców, a także zwykłych muzealnych oglądaczy uważana jest za najwybitniejszą polską malarkę wszech czasów

Jana Parandowskiego sztuka mimikry – Miano olimpijczyka przylgnęło do niego m.in. dlatego, że ten wybitny znawca antyku na gruncie piśmiennictwa polskiego zajmował pozycję bliską bogom na Olimpie

„Król" zagłębiowskich Żydów – Mojżesz Merin w czasie wojny niepodzielnie rządził żydowską społecznością Zagłębia. Wolną rękę dał mu w tym zakresie sam Heinrich Himmler

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ad30e406bf